

Roger Zelazny

Robert Sheckley

Przyniescie mi glowe ksiecia

Zbliza sie przelom pierwszego i drugiego tysiaclecia. Przesadnych ludzi ogarnia lek przed koncem swiata. Co tysiac lat sily Dobra i Zla toczy walke o panowanie w nastepnym tysiacleciu oraz o... osobista nagrode dla osoby, która przechyla szale zwyciestwa na swoja strone. Demon Azzie Elbub wpada na genialny pomysl zapewnienia silom ciemnosci zwyciestwa, a sam liczy na wielka nagrode. Glówna role w tym spektaklu maja odegrac Ksiazka i Spiacza Królowa.

Czyz korzystajac z Szatanskiej Karty Kredytowej o niemal nieograniczonych zasobach, a takze z pomocy ckliwej czarownicy Ylith, mógł przegrac?

Kłopot w tym, że i w piekle administracja pracuje nie najlepiej i nawet najprostsza sprawa może utonąć w morzu biurokracji. A jeśli jeszcze w pobliżu pojawi się nieznosny anioł Barbiel...

Jutrznia

Rozdział pierwszy

Te bekarty znowu się obijały, natomiast Azziemu było wygodnie; znalazł sobie miejsce dokładnie pomiędzy górejaca dziurą ziejacą pośrodku Otchlani, a otaczającą ją, pokrytą szronem, żelazną ścianą.

Przegrody były utrzymywane w temperaturze bliskiej absolutnego zera przez własny, diabelski system klimatyzacji; w centralnej Otchłani było wystarczająco gorąco, by obłuskać atomy z ich elektronów, a powtarzające się sporadycznie wybuchy mogły stopić protony.

Rzecz nie polegała na tym, że potrzeba było dużo ciepła lub zimna - wszystkiego tego było dokuczliwie zbyt wiele, bowiem człowiek cisniety po śmierci w głąb Otchłani zachowywał nadal swoje wąskie (w kosmicznym tego słowa znaczeniu) pasmo odporności na warunki zewnętrzne. Raz przekroczywszy granice strefy komfortu termicznego, istnienia ludzkie traciły możliwość odróżnienia warunków złych od jeszcze gorszych. Po cóż zatem było poddawać nieszczęsnika działaniu milionów stopni Celsjusza, jeżeli odczuwał je tak samo, jak niedźnych piecset? Te ekstremalne warunki miały na celu dreczenie demonów oraz innych nadprzyrodzonych stworzeń, zajmujących się dozorem przeklętych. Potwory miały daleko szersze widmo zmysłów od ludzi; czasem ku swej niewygodzie, a niekiedy dla nadzwyczajnej przyjemności. Nie wydaje się jednak właściwym mówić o rozkoszach w takim miejscu, jakim jest Otchłan.

Piekło ma oczywiście więcej Otchłani niż tylko jedna. Zmarłych są miliony milionów, a każdego dnia przybywają następni. Większość z nich spędza w końcu jakiś czas w Otchłani. Oczywiście jest, że warunki przestrzenne pozwalają na przyjęcie ich wszystkich. Otchłan, w której służył Azzie, nazywała się Północna Dolegliwość nr 405 i oddano ją do użytku w czasach babilońskich, kiedy to ludzie naprawdę potrafili grzeszyć; należała tym samym do jednych z najstarszych. Do dziś dnia nosiła na ścianach żardzewiałe płaskorzeźby skrzydlatych lwów i znajdowała się na liście Piekelnego Rejestru Miejsc o Historycznym Znaczeniu. Na Azzie nie robiło wrażenia, że służy tak słynnej Otchłani; wszystko, czego pragnął, to wydostać się stamtąd.

Jak i inne Otchłanie, Północna Dolegliwość nr 405 składała się z żelaznej ściany otaczającej olbrzymi dół na odpadki; w jego centrum znajdował się otwór, a w nim buzował nadzwyczaj gorący ogień. Bryzgala stamtąd płonąca lawa i gorący żużel oraz błysk nieustający blask, a tylko w pełni wykwalifikowane demony, jak Azzie, mogły używać okularów przeciwsłonecznych.

Tortury, jakim poddawano potępionych, wzmocnione były przez akompaniujący wszystkiemu hałas, pragnący uchodzić za muzykę. Podreżne diabelki wygrały do czysta półkole w samym środku spleśniałego, gnijącego rumowiska ubitego z tuczni rudy miedziowo-niklowej. Orkiestra, usadowiona amfiteatralnie na pomarańczowych pakach udających podium, składała się z nieudaczników, którym zmarło się w trakcie dawania koncertu. W Piekło zmuszeni byli grać utwory najgorszych kompozytorów, jakich tylko znali, których imion nikt już na Ziemi nie pamiętał; lecz tu, gdzie ich dzieła wykonywano bez najmniejszej chwili przerwy, a nawet transmitowano w sieci składającej się z bucących tub i membran, byli naprawdę sławni.

Diabelki pracowały zawzięcie, obracając i poprawiając ułożenie pokutujących na rusztach. Biesy, niczym wampiry, lubiły, by ich ludzie byli dobrze nadpsuci i serwowani w marynacie z domieszką octu, czosnku, sardeli i zrobaczywiałej kielbasy.

Cos wyrwało Azziego ze stanu błogiego odpoczynku; w sektorze znajdującym się bezpośrednio nad jego głową zmarli ułożeni byli jeden na drugim w pryzmach liczących zaledwie osiem do dziesięciu warstw. Niechętnie opuścił swoje względnie wygodne legowisko i poprzez gnijące skorupki jajek, gąbczaste wnętrza i głowy kurczaków wygramolił się na równy grunt, gdzie mógł łatwo stapać po zwłokach.

- Kiedy mówiłem: układajcie potępionych wysoko - powiedział do diabelków - miałem na myśli: o całą furę wyżej!

- Ale oni spadają, gdy próbujemy układać wyższe sterty! - zaprotestował naczelny diablik.

- W takim razie powiadzcie ich lub postarajcie się o jakieś klamry, aby to towarzystwo porządnie przytrzymało. Chce, by te stosy były wysokie co najmniej na dwadzieścia ciał w górę!

- To będzie trudne, proszę pana.

Azzie wytrzeszczył oczy. Diablik miał czelność mu odszczekiwać?

- Rób, co mówię, albo znajdziesz się na ich miejscu! - powiedział.

- Rozkaz, panie. Już się robi! - Diabełek odbiegł raczo, wykrzykując polecenia do swoich pracowników.

Wszystko zaczęło się jak w każdy typowy dzień w jednej z Otchłani Piekła, ale już w następnej chwili miało wziąć zgoła dramatyczny i nieoczekiwany obrót. Tak to właśnie jest ze zmianą! Chodzimy utartymi ścieżkami ze spuszczone głową oraz miną winowajcy, zmęczeni naszą nieustanną rutyną i pewni, że tak, jak jest teraz, będzie już zawsze. Dlaczegoż zresztą miałoby się cokolwiek odmienić, skoro na horyzoncie nie rysują się zapowiedzi ekscytujących wypadków, nie oczekujemy na żaden list, nie wyglądamy przesyłki poleconej ani paczki, nie nasłuchujemy nawet dzwonka telefonu zapowiadającego jakiegoś ważnego wydarzenia? Tak więc rozpaczamy, nie zdając sobie sprawy z tego, iż goniec został już wysłany i że nadzieje niekiedy się spełniają - nawet w Piekło. Niektórzy powiedzieliby - i słusznie - że zwłaszcza w Piekło, ponieważ już sama nadzieja uważana jest za jedną z szatanskich udrek. Traci to jednak przesada uprawiana przez osoby w duchownych sukienkach, bazgrzące niezliczone tomy o podobnych sprawach.

Azzie obserwował swoich podwładnych i widział, że diabełki zaczęły pracować zadowolająco. Na swojej zmianie musiał odpracować jeszcze tylko dwie godziny (w Otchłani dni są bardzo długie), zanim będzie mógł się wypocząć przez trzy godziny, by potem znów zacząć szyć. Właśnie miał zamiar powrócić do tego wygodnego - względnie wygodnego - miejsca, które dopiero co opuścił, kiedy nadbiegł zdyszany posłaniec.

- Czy ty jesteś szefem tej Otchłani?

Pytającym był efret o fioletowo upierzonych skrzydłach, jeden spośród starej bagdadzkiej paczki, która teraz trudniła się głównie pracą kurierską, ponieważ Złym Mocom Rady Wyższej podobały się ich różnobarwne turbany.

- Jestem Azzie Elbub - odparł demon. - Wszystko się zgadza: stoję na czele tej Otchłani.

- W takim razie jesteś tym, którego szukam.

Efret wręczył Azziemu azbestowy dokument zapisany ognistymi literami i demon włożył rękawiczki, zanim wziął go do ręki. Pismo urzędowe tego rodzaju używano wyłącznie w Radzie Wyższej Sadu Piekielnego.

„Wiedźcie wszystkie demony - czytał Azzie - że popełniono niesprawiedliwość; pewien człowiek, mianowicie, został sprowadzony do Otchłani przed swoim czasem. Siły Światłości już złożyły protest w jego sprawie, gdyby bowiem żył tak długo, jak mu było przeznaczone, miałby jeszcze czas na skruchę. Jakkolwiek rzeczywiste prawdopodobieństwo, iż człek ten istotnie będzie pokutował, jest zupełnie znikome i ma się jak 1 do 2000, to jednak szansa owa - choć wyłącznie teoretycznie - istnieje. Prosimy

cie wiec i rozkazujemy, abys zabral tego czlowieka z Otchlani, wymazal z jego pamieci nas i przywrócił go zonie oraz rodzinie na Ziemi; i abys tam z nim zostal dopóty, dopóki nie bedzie w stanie zarobic na zycie; w przeciwnym zasz wypadku to my bedziemy odpowiedzialni za jego utrzymanie. Potem bedziesz wolny, aby sprawowac normalne obowiazki demona na Ziemi. Z pozdrowieniami - Asmodeusz, Dyrektor Pólnocnej Dzielnicy Otchlani Piekla.

PS. Czlowiek nazywa sie Thomas Scrivener”.

Azzie tak byl uradowany wiadomoscia, ze usciskal efreta, który cofnal sie pospiesznie i poprawil swój turban, mówiac:

- Nie przejmuj sie, koles.

- Jestem po prostu niezmiernie podekscytowany - wyjasnil Azzie. - Nareszcie wyrwe sie z tego miejsca! Wracam na Ziemie!

- Zwodnicze miejsce - zauwazyl efret. - Inne dla kazdego.

Azzie ruszyl galopem na poszukiwanie Thomasa Scrivenera.

W koncu zlokalizowal go w rzedzie 1002WW. Istnieje dokladny, wzorowy plan Piekla, którego Otchlanie zbudowane sa na ksztalt amfiteatrów, zatem do kazdego miejsca mozna lacno trafic - lecz w praktyce wyglada to zgola inaczej. Diabelki niedbale rzucaja ludzi na stosy, sterty te obalaja sie na inne sagi i w koncu tylko w przyblizeniu wiadomo, gdzie kogo szukac.

- Czy jest tutaj Thomas Scrivener? - zapytal Azzie.

Ci sposród grzeszników w rzedzie 1002WW, których twarze zwrócone byly w odpowiednim kierunku, przerwali swoje rozmowy i popatrzyli na niego. Zamiast solidnie oddawac sie pokucie i zalowac za grzechy, uwazali czas spedzany w Otchlani za okazje do prowadzenia zycia towarzyskiego: do poznawania sasiadów, wymiany pogladów i mysli, do smiechu wreszcie. Tym sposobem umarli nadal sie oszukuja; zupełnie jak za zycia.

- Scrivener, Scrivener? - stropil sie stary czlowiek w srodku rzędu.

Z trudem odwrócił glowe, by zajrzec pod swoja pache.

- Z pewnoscia gdzies tu jest. Nie wiecie, chlopaki, gdzie jest Scrivener?

Pytanie wedrowalo w góre i w dól wielkiej sterty pokutujacych. Ludzie przestali rozmawiac o sporcie (w Piekle jest cale mnóstwo dyscyplin, ale twoja druzyna zawsze przegrywa, chyba ze akurat zalozyles sie, ze wlasnie przegra!), aby zapytac:

- Scrivener, Scrivener? Ten wysoki, chudy, zbzikowany facet, z zezem w jednym oku?

- Nie mam pojecia, jak on wyglada - przyznal sie Azzie. - Mialem nadzieje, ze odezwie sie, gdy wywolam go po nazwisku.

Sterta ludzi mamrotala, pokaszliwala i roztrzasala to na glosy miedzy soba, jak to zwykle robia ludzie w

tlumie - zywi lub umarli - i gdyby Azzie nie mial nadprzyrodzonego sluchu wlasciwego demonom, nie uslyszalby slabego pisku dochodzacego skads z glebi stosu.

- Hej, tam! Tutaj jestem! Czy ktos o mnie pytal?

Azzie polecil diablikom wyciagnac Scrivenera ze sterty, napominajac swych pomagierów, by uczynili to delikatnie, bez odrywania mu jakichs istotnych czlonków. Mozna by je, oczywiscie, przywrócic na miejsce, ale bolesny ten proceder mógłby w efekcie spowodowac powstanie u Scrivenera jakiegos urazu psychicznego. Azzie wiedzial, iz powinien sprowadzic tego czlowieka z powrotem na Ziemie w stanie nienaruszonym, by nie przysporzyl klopotu Silom Ciemnosci za to, ze przedwczesnie zabraly go ze swiata.

Wkrótce Scrivener wygramolil sie ze sterty, czochrajac sie zawziecie. Byl to maly, lysiejacy, zwawy czlowieczek.

- Jestem Scrivener! - wykrzyknal. - Spostrzezliscie sie w koncu, ze to byla pomyłka, co? Mówilem im od razu, jak tylko mnie tutaj sprowadzili, ze nie jestem umarly. Ale ten wasz Nieublagany Zniwiarz nie bardzo slucha, nieprawdaz? Nie przestaje szczerzyc zębów w tym swoim idiotycznym grymasie. Po prostu mnie porwal. Mam zamiar poskarzyc sie komus tam, wyzej.

- Posluchaj - odparl Azzie. - Masz cholerne szczescie, ze w ogóle zauwazono te omylke. Jezeli zaczniesz sie procesowac, zamkna cie do izolatki, gdzie bedziesz oczekiwal na swoja sprawe. To moze potrwać z wiek lub dwa. A wiesz ty, jakie sa nasze izolatki?

Z szeroko otwartymi oczami Scrivener potrzasnal glowa.

- Sa tak zle - wyjasnil Azzie - ze nawet sprzeczne z prawem piekielnym!

Zdawalo sie, ze zrobilo to odpowiednie wrazenie na Scrivenerze.

- Sadze, iz mam szczescie, ze w ogóle stad wychodze. Dzieki za rade. Czy jestes prawnikiem?

- Nie z wykształcenia - rzekl Azzie. - Ale my wszyscy, tu, na dole, mamy w sobie cos z kauzyperdów. No, ruszajmy, trzeba cie zaprowadzic z powrotem do domu.

- Cos mi sie zdaje, ze mam tam kilka problemów - wyznal Scrivener z wahaniem.

- Na tym polega zycie - zauwazyl filozoficznie Azzie. - Problemy. Ciesz sie, ze bedziesz mial czym sie martwic. Cokolwiek ci sie dzieje - przeminie, a potem zacnie sie od nowa.

- Nie wróce tu wiecej - rzekl Scrivener.

Azzie chcial go zapytac, czy nie mialby ochoty zalozyc sie o to, ale uznal, iz nie byloby to stosowne w obecnych okolicznosciach.

- Bedziemy musieli wymazac z twojej pamieci wszystko, czego tu doznales - powiedzial zamiast tego. - Rozumiesz, nie mozemy pozwolic na to, aby różni faceci wracali na Ziemie i opowiadali niestworzone historie.

- Jesli o mnie chodzi, to w porzadku - zgodzil sie Scrivener. - Niczego stad nie pragne pamietac, chociaz wczesniej, w Czysccu, spotkalem sukkuba, taka blond szatanice...

- Daj temu spokój - warknął Azzie, chwytając Scrivenera za ramię i kierując go do furty w murze prowadzącej do innych części Piekiła oraz - ewentualnie - wszędzie indziej.

I vice versa.

Rozdział drugi

Azzie i Scrivener przeszli przez metalową furte w żelaznym murze i wspinali się pod górę spiralną drogą prowadzącą przez peryferie Czyscca - teren składający się z zawilich przepasci i zawrotnych wysokości; dokładnie tak, jak narysował to Fuseli. Posuwali się naprzód, demon i człowiek, a droga była łatwa, bo łatwe są drogi Piekiła, ale była też nudna, bo w Piekiłku nie ma rozrywek. Po chwili Scrivener zapytał:

- Czy to jeszcze daleko?

- Nie mam pojęcia - wyznał Azzie. - Pierwszy raz jestem w tym sektorze. Prawde mówiąc, w ogóle nie powinienem tu być.

- Tak samo jak ja - powiedział Scrivener. - Od czasu do czasu zapadam w śpiączkę i wyglądam jak nieboszczyk, ale to jeszcze nie powód, aby wasz Nieublagany Zniwiarz porwał mnie bez dokładnego sprawdzenia co i jak. To było niedbalstwo z jego strony, mówię ci. A czemu i ty nic nie powinieneś się tu znajdować?

- Byłem przeznaczony do lepszych spraw - odparł Azzie. - Miałem dobre stopnie w Liceum Cudotwórstwa i ukończyłem je jako jeden z trzech najlepszych w klasie.

Nie powiedział Scrivenerowi, że reszta jego grupy zginęła, gdy nagle inwazja Dobra nadeszła z południowej, kapryśnej, metafizycznej flanki i zabiła wszystkich z wyjątkiem Azziego i dwóch innych, którzy mieli widocznie naturalnie podwyższoną odporność na jego podmuchy. A poza tym, była jeszcze gra w pokera.

- Dlaczego zatem tu jesteś?

- Odrabiam dług karciany - przyznał się Azzie. - Nie mogłem go spłacić, więc muszę go odsiedzieć.

Zawahał się, a potem dodał:

- Lubię hazard.

- Ja też - powiedział Scrivener z odcieniem skruchy w głosie.

Przez chwile szli w milczeniu. Potem człowiek zapytał:

- Co się ze mną stanie?
- Włożymy cię z powrotem do twego ciała.
- Czy będę normalny? Słyszałem, że niektórzy zmartwychwstali ludzie bywają dosyć dziwni.
- Będę w pobliżu, by wszystkiego dopilnować. Zostanę tak długo, póki nie upewnisz się, że jesteś w porządku.
- Miło słyszeć - ucieszył się Scrivener.

Przez jakiś czas szedł w milczeniu, a później powiedział:

- Kiedy się obudzę, nie będę naturalnie wiedział, że jesteś obok mnie?
- To chyba jasne.
- W takim razie nie będę czuł się pewnie.
- Kiedy jesteś żywy, nic nie może sprawić, byś poczuł się bezpiecznie - odparł rozdrażniony Azzie. - Te mądroski także możesz docenić wyłącznie teraz, gdy jesteś martwy.

Szli dalej. Kiedy już szmat drogi mieli za sobą, Scrivener odezwał się ponownie.

- Wiesz, ja niczego nie pamiętam ze swego życia na Ziemi.
- Nie martw się, wszystko sobie przypominasz.
- Zdaje mi się, że byłem żonaty.
- Świetnie.
- Ale nie jestem tego całkiem pewien.
- Wszystkie twoje wspomnienia powrócą, kiedy tylko ponownie znajdziesz się w swoim ciele.
- A jeżeli nie? Może zostanie dotknięty amnezją?
- Wszystko będzie cacy - pocieszył go Azzie.
- Czy możesz przysiąc na swój honor demona?
- Oczywiście - skłamał z łatwością Azzie.

Miał ukończony specjalny kurs krzywoprzysięstwa i okazał się nad wyraz biegły w tej sztuce.

- Nie okłamałbyś mnie, prawda?
- Zaufaj mi - powiedział Azzie, używając tej mistrzowskiej mantry, będącej w stanie ulagodzić nawet

najbardziej podejrzliwie i wojowniczo nastawionych osobników.

- Rozumiesz chyba, że w obecnej sytuacji może być nieco zdenerwowany - powiedział Scrivener. - Mam na myśli moje powtórne narodziny.

- Nie masz się czego wstydzić - pocieszył go Azzie. - No, jesteśmy na miejscu.

„Dzięki Szatanowi!” - dodał pod nosem. Długie rozmowy z ludźmi zawsze wprowadzały go w stan rozdrażnienia przez sposób, w jaki w nieskończoność potrafili drążyć jeden temat. Ojcowie Demoni zorganizowali kurs poglądowy Ludzkich Wykretów na Uniwersytecie Demonologii, ale był on nadobowiązkowy i Azziemu nie chciało się brać w nim udziału. Zajęcia z Falszywej Dialektyki wydawały mu się wówczas dużo bardziej interesujące.

Dostrzegł przed sobą dobrze znane, szkarłatne pasy ambulansu należącego do Północnej Otchłani. Pojazd zatrzymał się w odległości kilku jardów i wysiadł z niego medykus. Był to facet z oczami jak dwa obeliski i nosem niczym świnski ryj; różnił się znacznie od Azziego, który miał lisia twarz, rude włosy, spiczaste uszy i przerazliwie błękitne oczeta. Ci, co gustują w demonach, uważali go za bardzo przystojnego.

- To ten gość? - zapytał konował.

- Tak - potwierdził Azzie.

- Zanim cokolwiek zrobisz - odezwał się Scrivener - chciałbym wiedzieć...

Demon o świnkim ryju wyciągnął rękę i dotknął nią czoła Scrivenera. Ten przestał mówić, a jego oczy stały się szkliste i martwe.

- Co zrobiliście? - zapytał Azzie.

- Wylaczyłem go - odparł tamten. - Teraz czas go załadować.

Azzie mógł mieć tylko nadzieję, że ze Scrivenerem wszystko będzie w porządku; to nic dobrego, gdy demon majstruje przy czyjejs głowie.

- Skąd wiesz, dokąd go posłać? - zapytał.

Demon medyczny rozpiął koszulę Scrivenera i oczom Azziego ukazało się jego nazwisko i adres wytatuowane na piersi czerwonym tuszem.

- To diabelski identyfikator - powiedział medykus.

- Usuniesz to, zanim odesłesz go na Ziemię?

- Nie martw się, on tego nie widzi; ten napis służy jedynie nam. Będziesz mu towarzyszył w drodze?

- Dostane się tam na własną rękę - odparł Azzie. - Pokaż mi tylko jeszcze raz ten adres. W porządku, zapamiętałem.

- Do zobaczenia, Tom - powiedział do człowieka o szklistych oczach pozbawionych wyrazu.

Rozdział trzeci

I tak Thomas Scrivener wrócił do swojego domu. Na szczęście dla wszystkich zainteresowanych demonowi medycznemu udało się dostarczyć go, zanim jego ciało doznało nieodwracalnych uszkodzeń. Ziemski lekarz, który je kupił, miał właśnie zrobić naciecie na szyi, aby pokazać swoim studentom, jak wygląda sieć naczyń krwionośnych, gdy Scrivener otworzył szeroko oczy i powiedział:

- Dzień dobry, panie doktorze!

Po czym zemdlął. Doktor Moreau ogłosił Scrivenera żywym i zazał od wdowy po nim zwrotu pieniędzy, co ta uczyniła niezbyt chętnie - jej pozycje ze zmarłym nie należało do zbyt udanych.

Azzie przybył na Ziemię własnym sposobem, nie mając ochoty podróżować wraz ze Scrivenerelem Wehikulem Umarlaków, w którym panował zapach zgnilizny trudny do zniesienia nawet dla istot nadprzyrodzonych. Pojawił się tuż po zmartwychwstaniu swego podopiecznego, ale za sprawą noszonego przez Amuletu Niewidzialności żadne ludzkie oczy nie mogły go dostrzec.

Niewidoczny dla wszystkich z wyjątkiem jasnowidzów, Azzie posuwał się za pochodem konwojującym Scrivenera do jego domu. Poczciwcy z wioski uznali całe zdarzenie za cud, ale jego żona, Milaud, nie przestawała mruczeć:

- Wiedziałam, że ten lajdak udawał!

Pod osłoną Amuletu Azzie krążył dookoła ich domu, gdzie miał przebywać tak długo, póki na Scrivenera nie wygasnie gwarancja. Prawdopodobnie stanowiło to kwestie kilku dni. Dom był wcale duży, miał kilka pokoi na każdym piętrze i wilgotna suterene. Właśnie w niej usadowił się Azzie; było to miejsce w sam raz jak na potrzeby demona. Azzie przyniósł ze sobą kilka zwojów do czytania i worek zgnilych kocich łbów na przekaske. Cieszył się na te chwile spokoju, ale gdy tylko na dobre się zainstalował, zaczęły się kłopoty.

Najpierw była to żona Scrivenera, wysoka dziewczyna z nastroszonymi kasztanowymi włosami, szerokimi ramionami i wielkim zadem, która przyszła do piwnicy po jakieś zapasy. Potem najstarszy syn Scrivenerów, Hans, wychudzony prostak wyglądający dokładnie jak jego ojciec, szukał garnka na miód. Jeszcze później Lotta, służąca, wybrała nieco ziemniaków z przeszłorocznego zbioru. Z takich to - i innych - powodów Azzie znalazł niewiele wypoczynku. Rano rzucił okiem na Scrivenera - wyglądało na to, że wskrzeszony człowiek przychodzi do siebie bez pooperacyjnych komplikacji. Siedział przy stole, pijąc herbatę ziołową, sprzecząc się z żoną i strofując dzieci.

Jeszcze jeden dzień, skonstatował Azzie, by przekonać się, że facet jest w całkowitym porządku, i czas będzie wyruszyć do bardziej interesujących spraw.

Dwa psy należące do rodziny wyczuwały jego obecność i przemykały chylkiem, gdy obok nich

przechodził; to było do przewidzenia. Jednak to, co stało się potem, nie mieściło się w jego planach.

Tego wieczoru zasnął w zatechłej części piwnicy, gdzie znajdowało się nieco zgnilej rzepy i gdzie uwił sobie mile cuchnące gniazdko. Nagle obudziło go światło. W blasku świecy stało dziecko, przyglądając mu się uważnie. Jakież to upokarzające! Azzie chciał się zerwać na równe nogi, ale momentalnie upadł z powrotem. Był przywiązany kawalkiem sznurka oplecionym dookoła jego kostki! Naturalna reakcja kazała mu się podnieść. Dziecko, dziewczynka z okrągłą buzią i płowymi włosami w wieku mniej więcej siedmiu lat w jakiś sposób musiała go widzieć i złapała go w pulapkę.

Azzie wyprostował się na całą swą wysokość, uważając, że lepiej od razu zrobić na niej odpowiednie wrażenie. Próbowal przyjąć groźną postawę, ale ten dziwnie jarzacy się sznurek, którego drugi koniec przymocowany był do belki, powstrzymywał go uparcie - i Azzie ponownie upadł. Dziewczynka rozesmiała się, a demona przeszły ciarki. Nic tak nie wyprowadza z równowagi istoty piekielnej, jak młody, niewinny śmiech.

- Cześć, skarbie - powiedział. - Czy ty mnie widzisz?

- Tak - odpowiedziało dziecko. - Wyglądasz jak stary, wstretny lis!

Azzie spojrzał na malenka tarczę wstawioną w Amulet Niewidzialności; tak jak się tego obawiał, wskazywała spadek mocy niemal do zera. Ci głupcy z Zaopatrzenia! Co prawda, powinien był sam sprawdzić poziom jego naladowania. Wyglądało na to, iż z powodu cudzego oraz własnego niedbalstwa znalazł się w potrzasku; jednak nie takim, z którego nie mógłby się wydostać przy zastosowaniu odrobiny dyplomacji.

- Raczej miły lis, zadarty nosku, prawda? - spytał Azzie, używając pieszczotliwego określenia stosowanego zwykle przez rodziców-demonów. - Fajnie, że cie poznałem. Proszę, odwiąż ten sznurek, a dam ci całą torbę słodczy!

- Nie lubię cie - powiedziało dziecko. - Jesteś zły. Zostawie cie przywiązanego i sprowadzę księdza.

Dziewczynka patrzyła na niego oskarżycielsko; Azzie wiedział, że musi użyć jakiegoś wybiegu, aby uniknąć tej przykrej ewentualności.

- Powiedz mi, kochanie, skąd wzięłaś ten kawalek powroza?

- Znalazłam go w jednym z pomieszczeń magazynowych kościoła - odparła mała. - Leżał na stole wśród kawalków starych koci.

No tak, relikwie świętych! Znaczyło to, że ten niepozorny postronek był łapka na duchy. Trudno będzie się z tego wykaraskać!

- Posłuchaj, jestem tutaj, by opiekować się twoim tatą. Ostatnio nie czuł się dobrze; wiesz, ta cała historia z umieraniem i powrotem do życia... A teraz bądź tak dobra i odwiąż mnie. Bądź miła, grzeczna paniątka.

- Nie - stwierdziło dziecko z nieugietością właściwą małym dziewczynkom; i dużym też.

- Psiakrew, niech to licho porwie! - powiedział Azzie.

Szamotał się chwilę, ale nie potrafił uwolnić stopy z petli odznaczającej się tą niemilą cechą, iż zaciskała

sie tym mocniej, im bardziej demon pragnal ja rozluznic.

- Daj spokój, mala! Zabawa zabawa, ale teraz odwiaz mnie wreszcie!

- Nie mów do mnie „mala” - rzeklo dziecko. - Nazywam sie Brigitte i wiem wszystko o tobie i tobie podobnych! Ksiadz nam to powiedzial. Jestes zlym duchem, prawda?

- Wcale nie - zaprzeczyl Azzie. - Tak naprawde jestem dobrym duchem, albo przynajmniej neutralnym. Przyslano mnie tutaj, abym dopilnowal, by z twoim ojcem bylo wszystko w porzadku. Podgladam go jeszcze troche, a potem pójde sobie, by pomagac innym.

- Aha, rozumiem - powiedziala Brigitka. Zastanawiala sie przez chwile.

- Jednak cholernie wygladasz mi na demona.

- Pozory myla - odparl Azzie. - Wypusc mnie. Musze czuwac nad twoim tata.

- Co mi dasz?

- Zabawki - zdecydowal Azzie. - Wiecej niz kiedykolwiek widzialas.

- Dobrze - przystala Brigitte. - Potrzebne mi sa tez nowe ubrania.

- Dostaniesz ich cala szafe. Teraz juz mnie wypusc.

Brigitka podeszla blizej i brudnym palcem wskazujacym dotknela wezla. Potem zatrzymala sie.

- Jezeli cie wypuszcze, czy przyrzekniesz mi, ze bedziesz sie ze mna bawil, ilekroc cie tylko zawolam?

- Nie. Posuwasz sie za daleko. Mam wiele spraw na glowie i nie moze byc na kazde zawolanie do uslug wiejskiej dziewczuszyny z brudna buzia!

- A wiec obiecuj, ze spelnisz trzy dowolne moje zyczenia. Azzie zawahal sie. Tego rodzaju przysiega musiala zostac dotrzymana przez demona, ale tez spelnianie ludzkich pragnien moglo nastreczac wiele trudnosc; ludzie sa tak nieobliczalni!

- Spelnie jedno - obiecal - i to pod warunkiem, ze bedzie rozsadne.

- No, dobrze - zgodzila sie Brigitka. - Ale nie za bardzo rozsadne, co?

- W porzadku, rozwiazuje.

I Brigitte zrobila to. Azzie potarl udreczona kostke, potem przeszukal swa torbe, znalazl zapasowa baterie do Amuletu Niewidzialnosc, wetknal ja na miejsce zuzytej - i zniknal.

- Pamietaj, przyrzekles! - krzyknela Brigitka.

Azzie wiedzial, ze nie moze zapomniec o swojej obietnicy, nawet gdyby chcial to zrobic. Przyrzeczenia skladane ludziom przez istoty nadprzyrodzone zapisywane sa na biezaco w Urzedzie Równowagi dzialajacym pod zwierzchnictwem Ananke i jesliby jakis demon usilowal wykrecic sie sianem, Sily Koniecznosc szybko i bolesnie przypomniaby mu o zobowiazaniach.

Scrivener czuł się dobrze, zjadał kasze z miski i pokrzykiwał na żonę i służbę. Azzie ulotnił się. Czas było zająć się własnymi sprawami.

Rozdział czwarty

Dla Azziego była to przyjemność móc znowu wędrować po zielonej Ziemi. Tak naprawdę nienawidził swego pobytu w Otchłani, gdzie wszystko w kółko się powtarzało - można było zanudzić się na śmierć przy codziennej, ponurej czynności przypiekania grzeszników. Azzie był przedsiębiorczym, energicznym demonem patrzącym w przyszłość, a nie za siebie. Był przedstawicielem Zła i mimo pewnej cechującej go frywolności, poważnie traktował swoje piekielne obowiązki.

Pierwszą rzeczą, jaką zamierzał zrobić po opuszczeniu wioski Scrivenera, było zorientowanie się, gdzie właściwie jest. Ta okolica była mu obca tym bardziej, że Azzie po raz ostatni odwiedził ziemie w czasach Cesarstwa Rzymskiego; był nawet obecny na jednej z przesławnych uczt Kaliguli. Kiedy teraz leciał nisko nad krajem zwanym Galia, chronił go Amulet, który sprawiał, iż jego posiadacz nie tylko stawał się niewidzialny, ale i niewyczuwalny dla wszelkich ziemskich istot. Przydało mu się to, kiedy przelatywał przez duże stado ląbedzi.

Szybował ponad ogromnym lasem rozciągającym się we wszystkich kierunkach, a wioska stanowiła tylko niewielką wysepkę w olbrzymiej puszczy pokrywającej większą część Europy i ciągnącej się od Scytii do Hiszpanii. Azzie dostrzegł błotnisty trakt biegnący środkiem boru i poruszał się wzdłuż niego na wysokości około pięciuset stóp. Gościńiec ciągnął się bez końca, przechodząc wreszcie w porządną, bitą, rzymską drogę, i Azzie towarzyszył przez pewien czas grupie jeźdźców zmierzających do dość dużego miasta. Później dowiedział się, iż było nim Troyes należące do królestwa Franków, rośłych barbarzyńców, którzy po upadku Rzymu podbili żelaznymi mieczami całą Galie - a nawet nieco więcej.

Nisko i powoli kolował nad miastem składającym się z wielu małych domów, pomiędzy którymi wznosiły się wielkie palace należące do szlachty i kościelnych prałatów. Na peryferiach Troyes odbywał się jarmark i zwabiony wesolą krzatanina wokół namiotów Azzie postanowił odwiedzić to miejsce. Opuszczył się na ziemię i przybrał swój standardowy kamuflaż - postać pocziwego, korpulentnego, lysiejacego jegomoscia o mrugających nerwowo oczach. Rzymska toga, spowijająca go nadal pomimo zmiany kształtu, nie pasowała do nowych czasów, kupił zatem na straganie ręcznie tkana oponcze, dzięki czemu wyglądał mniej więcej tak samo jak wszyscy inni. Ciągle jeszcze nieco zdezorientowany, przechadzał się po targowisku, rozglądając się pilnie dookoła. Pomiedzy rozszanymi bezładnie namiotami stało kilka drewnianych i wyglądających solidnie bud - sprzedawano tu wszelkie możliwe towary: bron, odzienie, żywność, żywy inwentarz domowy, narzędzia i korzenie.

- Hej tam! Panie!

Azzie odwrócił się. Tak, stara baba kiwała właśnie na niego. Siedziała przed małym, czarnym namiotem o kabalistycznych znakach wymalowanych złotem na jego bokach. Miała ciemną skórę Arabki lub

Cyganki.

- Wolalas mnie?

- Tak, panie - odparła kobieta z okropnym, północno-afrykańskim akcentem. - Wejdźcie, panie, do środka.

Człowiek na miejscu Azziego byłby może bardziej ostrożny, słysząc podobne zaproszenie, nigdy bowiem nie wiadomo, co może czekać na ciekawskiego w czarnym namiocie wróżbitki, jednak dla niego było to pierwsze swoje miejsce, jakie ujrzał po bardzo długim czasie. Istnieją całe plemiona duchów zamieszkujących czarne namioty i wędrujących wzdłuż i wszerz po pustkowiach Limbo, krainy rozciągającej się na granicy pomiędzy Piekłem i Niebem, a Azzie, chociaż Kananejczyk ze strony ojca, był spokrewniony z niektórymi wędrownymi beduińskimi demonami.

Od wewnątrz namiot podszyty był bogato zdobionymi kilimami, a na jego ścianach umieszczono lampki oliwne z misternie wykutej cyny; wszędzie wokół leżały haftowane poduszki. W głębi stał niski ołtarz ze stołem ofiarnym, a za nim, wysoko, wyrzeźbiony na heroiczną grecką modłę, majaczył posąg przystojnego młodzieńca z laurowym wieniec na głowie. Azzie poznał, kogo przedstawia.

- To Hermes - powiedział.

- Jestem jego kapłanka - odparła starucha.

- Zdawało mi się - zaprotestował Azzie - że znajdujemy się w chrześcijańskim kraju, w którym kult starych bogów jest surowo zakazany!

- Prawde mówisz - potwierdziła kapłanka. - Dawni bogowie umarli, ale nie do końca, bo powrócili do życia w nowej postaci. Hermes, na przykład, zmienił się w Hermesa Trismegistosa, patrona alchemików. Jego kult nie jest mile widziany, ale nie jest też zabroniony.

- Ciesze się, że tak się stało - odparł Azzie. - Ale dlaczego mnie tu zawołałaś?

- Czy jesteś demonem, panie? - zapytała kobieta.

- Tak. Po czym to poznałaś?

- Jest w twojej postawie coś wielce pńskiego i złowieszczonego - odparła. - Jakby skłonność do zamyslenia i nieublaganego zła, co wyróżnia cię od innych nawet w największym tłumie.

Azzie wiedział, że Cyganki zdolne są do subtelnej percepcji, która obracała potem w słowa pochlebne ich klientom. Mimo to sięgnął do swojej torby, wyszukał złotą monetę i dał ją staruszce.

- Weź to za twój przebiegły język. A teraz mów, czego chcesz ode mnie?

- Mój pan ma do ciebie słówko.

- W porządku - zgodził się Azzie; bardzo dawno nie miał pogawędki z żadnym z dawnych bogów. - Gdzie on jest?

Stara kobieta uklekla przed ołtarzem, mamrocąc coś pod nosem. Wkrótce biały marmur rzeźby oblał się różową poswiatą, posąg ożył, przeciągnął się, zstąpił ze swego piedestału i usiadł obok Azziego.

- Idź i przynies nam coś do picia - polecił Hermes kabalarce, a kiedy ta odeszła, zwrócił się do demona.
- Tyle czasu minęło, Azzie.

- Bardzo dużo - przyznał diabelski wysłannik. - Miło znowu cię widzieć, Hermesie. Nie było mnie tutaj, kiedy chrześcijaństwo zwyciężyło nad pogaństwem - wiesz, zatrzymywały mnie inne zobowiązania - ale zechciej teraz przyjąć moje wyrazy współczucia.

- Dzięki - rzekł Hermes. - Choć tak naprawdę nic nie straciliśmy. Nadal pracujemy; wszyscy dawni bogowie. Idziemy z duchem czasu i niekiedy zajmujemy honorowe stanowiska w obu obozach - niebiańskim lub piekielnym. Daje to zupełnie cudowne perspektywy. Dużo przemawia za tym - swego rodzaju pośrednim - stanem.

- Miło mi to słyszeć - ucieszył się Azzie. - Myśl o wycofanym z obiegu bogu niesie w sobie coś smutnego.

- Nie musisz się o nas martwić. Kazałem swojej służebnicy, Aissie, zawołać cię, bo to ty wyglądałaś na zagubionego. Pomyslałem, że może mógłbym ci pomóc.

- To ładnie z twojej strony - rzekł demon. - Może mógłbys zatem poinformować mnie, co wydarzyło się od czasów cesarza Kaliguli?

- Najkrócej mówiąc, państwo rzymskie upadło z powodu najazdów barbarzyńców oraz zatrucia organizmów Rzymian ołowiem. Barbarzyńcy są teraz wszędzie; nazywają siebie Frankami, Saksonami i Wizygotami. Utworzyli imperium, które zważają Świętym Cesarstwem Rzymskim.

- Świętym? - zdziwił się Azzie.

- Tak je nazywali. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Ale jak upadło to prawdziwe Cesarstwo Rzymskie?

- Możesz o tym przeczytać w każdej książce historycznej - odparł Hermes. - Po prostu uwierz mi na słowo: upadło z hukiem i to był koniec Starożytności. Okres, w którym przebywamy, nazywa się - lub będzie tak zwany krótko po tym, jak już przeminie - Średniowieczem. Ciebie ominęły jego Wieki Ciemne. Mielismy wtedy trochę uciechy, mówię ci. Ale obecne czasy też nie są złe.

- Który mam rok?

- Rok tysięczny - rzekł Hermes.

- Milenium!?

- Tak.

- A zatem prawie czas na Zawody?

- Masz rację, Azzie. Nadeszła pora, kiedy Siły Światłości i Zastępy Ciemności stają do wielkiego współzawodnictwa o to, kto będzie kierował ludzkimi losami przez następne tysiąc lat - czy będzie to dla dobra ludzkości, czy wręcz przeciwnie. Co w związku z tym zamierzasz począć?

- Ja? - zdumiał się Azzie. - A cóż ja mogę zrobić?

Potrząsnął głową.

- Reprezentant Zła wybierany jest podczas Wielkiego Zgromadzenia przez Wyższe Złe Moce, mające zawsze w zanadrzu swoich faworytów - i przydzielające prawo wystąpienia we współzawodnictwie jednemu ze swych licznych przyjaciół. Ja nie miałbym żadnych szans.

- Tak było w dawnych czasach - stwierdził Hermes. - Ale słyszałem, że Piekło się reformuje; Sily Światłości mocno nań naciskają. Nepotyzm, jakkolwiek wspaniały, nie może być systemem preferowania kandydata. Teraz, jak zrozumiałem, wybór zawodnika musi opierać się na ocenie zasług.

- Zasługi? Cóż za nowatorski pomysł! Ale i tak nic nie mogę zrobić.

- Nie bądź defetystą jak tyłu innych młodych demonów - skarcił go Hermes stanowczo. - Tamci są po prostu leniwi, lubią się wylegiwać, zażywać narkotyki, opowiadać kawały i iść przez wieczność wygodną drogą. Ty nie jesteś taki, Azzie. Jesteś mądry i masz zasady, inicjatywę. Zrób coś. Z całą pewnością masz szansę.

- Naprawdę nie mam pojęcia, co mógłbym uczynić - wyznał demon. - A nawet gdybym wiedział, nie miałbym dosyć forsy, żeby przeprowadzić swój zamysł.

- Jednak zapłaciłeś tej starej - wytknął mu Hermes.

- To było czarodziejskie złoto. Znika po jednym lub dwóch dniach. Jeżeli chce stanąć w szranki, potrzebuje prawdziwego kruszcu.

- Wiem, gdzie są pieniądze. Prawdziwa, wielka forsa.

- Gdzie? Ile smoków mam zabić, żeby ją zdobyć?

- Żadnych smoków. Musisz tylko pokonać innych graczy w Wielkim Turnieju Pokerowym, który odbędzie się pod czas Święta Fundatora tej gry.

- Poker! - szepnął Azzie. - Moja namietność! Gdzie to będzie?

- Na cmentarzu w Rzymie, za trzy dni. Tym razem musisz zagrać lepiej niż ostatnio, bo inaczej zesła cię do Otchłani na kolejnych kilkaset lat. Tak naprawdę - dodał Hermes - potrzebny ci będzie jakiś trick, jak to będą nazywać hazardzisci w przyszłych czasach.

- Trick? Co to jest?

- Jakikolwiek fortel, który pomoże ci wygrać.

- Rozgrywkom przyglądać się będą obserwatorzy, a ich zadaniem jest zapobiegać wszelkim możliwym oszustwom - zaprotestował demon.

- Oczywiście. Nie ma jednak żadnego prawa, niebiańskiego czy piekielnego, zakazującego używania kamienia szczęścia.

- One sa tak rzadkie - westchnal zniechęcony Azzie. - Gdybym tylko go miał!

- Moge ci powiedziec, gdzie sie znajduje jeden z nich, ale sam bedziesz musial sie nabiedzic, by go zdobyc.

- Powiedz mi, Hermesie!

- Podczas moich nocnych wędrowek po miescie Troyes i jego okolicach - odparl boski posel - zauwazylem pewne miejsce po zachodniej stronie, na skraju lasów, gdzie rosnie maly pomaranczowy kwiatek. Okoliczni mieszkancy nie wiedza, ze jest to *Speculum* wegetujace wylacznie tam, gdzie znajduje sie feliksyt.

- Feliksyt, kamien szczescia, jest tak blisko?

- O tym musisz sam sie przekonac - odparl Hermes - ale wszystko na to wskazuje.

Rozdzial piaty

Azzie podziekowal Hermesowi i ruszyl w droge. Szedl kotlina w strone lasów otaczajacych miasto tak dlugo, az znalazl ten rzadki, maly i niepozorny kwiatek. Powachal go (zapach *Speculum* jest absolutnie przepiekny), a potem schylil sie nisko i przylozyl ucho do ziemi. Jego nadprzyrodzony, wyjatkowo czuly zmysl sluchu wykryl pod powierzchnia gruntu obecosc czegos ruchomego i wydajacego cichy stukot. Byl to, co oczywiste, charakterystyczny odglos towarzyszacy kopaniu tunelu przez trolla przy pomocy kilofa i lopaty. Te kurduple dobrze zdaja sobie sprawe z tego, ze wywoływany przez nie podczas pracy halas zdradza je, ale nic nie moga na to poradzić; troll musi stale kopac, aby czul, ze zyje.

Azzie tupnal noga i zapadl sie pod ziemie; jest to umiejtnosc, jaka posiada wiekszosc europejskich i arabskich demonów - zycie w glebi litosfery jest dla nich równie naturalne, co dla ludzi zamieszkiwanie na jej powierzchni. Doswiadczaja obecności gruntu na kształt wody, przez którą moga plynac, choc znacznie bardziej wola poruszac sie w tunelach.

Pod ziemia bylo chlodno. Brak swiatla nie przeszkadzal Azziemmu dobrze widziec w uzywanej przez siebie intensywniej podczerwieni. W ogóle bylo tu dosyc przyjemnie - blisko powierzchni zyly krety i ryjówki, a inne stworzenia przeslizgiwaly sie przez glebe o różnej gestosci.

Idac tunelem, Azzie dotarl do przestronnej, podziemnej pieczary. Fosforyzujace skaly jej scian dawaly przycmiony blask i na drugim koncu jaskini ujrzal samotnego karla odmiany północnoeuropejskiej, czyli trolla. Troll ubrany byl w dobrze skrojony, zielono-czerwony garnitur z kreciego futra, malenkie rybackie buty z jaszczurczej skóry, a na glowie nosil futrzana czapeczke z myszy.

- Witaj, trollu - powiedzial Azzie, prostujac sie, na ile tylko pozwalal wznoszacy sie nad nim skalisty sufit pieczary, aby wyrzec na karle imponujace wrazenie.

- Czesć, demonie - odparł troll, niezbyt zadowolony ze spotkania. - Wyszędles na przechadzke?

- Można tak to ująć - przyznał Azzie. - A ty, co tutaj porabiasz?

- Właśnie przechodziłem tedy w drodze na zjazd w Antibes.

- Doprawdy?

- Tak.

- Dlaczego w takim razie stałeś tu i kopales?

- Ja kopalem? Co też ci przyszło do głowy!

- Czyżbym się mylił? Cóż zatem robiles tym kilofem, który trzymasz w reku?

Troll spojrział w dół i zdawał się być autentycznie zdziwiony widokiem oskarda we własnej garsci.

- Tylko sprzatałem - kurdupel usiłował zgrabic kilka skalnych okruchów, co mu się nie bardzo udawało z tej prostej przyczyny, iż kilof nie jest najlepszym narzędziem do tego celu.

- Sprzatales ziemie? - zdumiał się uprzejmie Azzie. - Czy ja wyglądam na idiote?! A tak w ogóle, to kto ty jesteś?

- Jestem Rognir, członek Stowarzyszenia Trolli z Uppsali. Uprzatanie ziemi może wydac ci się absurdalne, ale jest zupełnie naturalne dla nas, którzy lubimy, aby wszystko było na swoim miejscu.

- Szczerze mówiac - odrzekł Azzie - opowiadasz jakies brednie.

- To dlatego, że jestem zdenerwowany - wyznał Rognir. - Zwykle mówię całkiem do rzeczy.

- Wiec rób to i teraz - polecił demon. - Odrzecz się, nie mam wobec ciebie złych zamiarów.

Konus przytaknął, ale nie wyglądał na przekonanego do końca. Nie miał zaufania do demonów i, po prawdzie, nie można go było za to ganic. Wiele jest nie znanych człowiekowi rodzajów rywalizacji w królestwie duchów, ponieważ żaden Homer ani Wergiliusz nie znajdował się w pobliżu, gdy coś istotnego działo się w świecie cieni. Ostatnio stosunki pomiędzy trollami a demonami były dosyć napięte, a to za sprawą sporów terytorialnych. Demony zawsze rościły sobie prawo do podziemia, chociaż jako upadłe dzieci Światłości wcale stamtąd nie pochodziły. Mimo to uwielbiały podziemne drogi Ziemi, głębokie jaskinie, bezdenne trzesawiska, zapadliska, groty i skalne szczeliny ofiarujące uroczą niesamowitość ich poetyckiej, ale ponurej wyobraźni. Trolle natomiast uważały podziemny świat za swoje królestwo, mając się za jego dzieci zrodzone spontanicznie z chaotycznych, ognistych splotów pierwotnego płomienia pochodzącego z najgłębszych warstw płaszcza planety. Była to zwykła fantazja; prawdziwe pochodzenie tych kurdupli jest, co prawda, również interesujące, ale nie czas się tu nad nim rozwodzić - liczy się siła wyobraźni, przyjęcie pewnej opcji i kurczowe trzymanie się jej. W myśl tej zasady trolle upierały się, iż wolno im wędrować podziemnymi szlakami do woli i do syta, bez żadnych przeszkód ani ograniczeń. Nie było to po myśli demonów, które wołały samodzielnie władać terytoriami, do których uzurpowały sobie prawo. Demony lubią chadzać samotnie własnymi ścieżkami, a inne stworzenia starają się schodzić im z drogi. Ale nie trolle, wędrujące stadami, powiewające w kółko białymi bokobrodami, zawsze z kilofami i lopatami na pododrodziu, z lomotem i śpiewem (bo są kurduple

zamilowanymi spiewakami), często przechodząc w marszowym ordynku wprost przez zgromadzenie demonów; te mają bowiem z kolei zwyczaj urządzać sympozja w celu omówienia zasadniczych problemów doktryny Zła, chociaż wnioski z ich dyskusji rzadko brane są pod uwagę przez tych, którzy naprawdę mają władzę. Jakkolwiek tam było, nikt nie lubi, gdy mu się w dyspucie przeszkadza maszerowaniem, kopaniem i chóralnym śpiewem na głosy, a trolle mają w sobie jakąś tajemniczą zdolność do wybierania najmniej odpowiedniego momentu oraz miejsca na swe górnicze wybryki - byle tylko przeszkodzić głęboko pogrążonemu w myślach demonowi siedzącemu na bazaltowym glazie z rękami zakrywającymi uszy - jak to widać na niektórych portretach rodzinnych wykutych w kamieniu na wieżyczkach katedry Notre Dame. Demony czują wyraźnie, że trolle ograniczają ich przestrzeń życiową. Wojny wybuchały już z mniej ważnych powodów.

- Zdaje mi się - powiedział Azzie - że obecnie nasze plemiona są w stanie pokoju. W każdym razie przyszedłem tu po coś, co nawet nie będzie cię interesować, ponieważ nie jest to cenny kamień.

- A dokładnie, to czego właściwie szukasz? - zapytał Rognir.

- Feliksytu - odparł demon.

W owych czasach zaklęcia i talizmany miały jeszcze wielką wagę na świecie. A było ich wszędzie wiele, chociaż trolle chowały skarby w tajnych skrytkach, aby ukryć je przed smokami. Działania te rzadko bywały wieńczone wielkim powodzeniem, bowiem smoki wiedziały, że tam, gdzie są karły, znajduje się także i złoto. Trolle i smoki idą ze sobą w parze jak dzień i noc, śledz i kwaśna śmietana, dobro i zło, pamięć i skrucha.

Karły ciężko pracowali, aby wydobyć z glebi ziemi kamień szczęścia. Feliksyt występuje jedynie w małych ilościach w pokładach neptunicznego bazaltu, który jest najstarszy i najtwardszy na świecie. Kamień dobrej wróżby, feliksyt, był w częstszym użyciu dawniej, gdy wszystko było szczęśliwsze, lepsze, droższe i prawdziwsze w Złotym Wieku, który skończył się tuż przed pojawieniem się na ziemskiej scenie prawdziwych ludzi. Niektórzy twierdzą, że te złoża zostały zdeponowane w głębinach planety przez starodawnych bogów władających Ziemią w odległych, prastarych czasach, zanim jeszcze rzeczy przyjęły swe nazwy. Nawet wówczas jednak feliksyt był najrzadszym minerałem na świecie. Już śladowa jego ilość mogła przenieść na posiadacza jego przyrodzoną, radosną i pogodną karmę, zapewniając pomysłny przebieg każdego przedsięwzięcia. Toteż ludzie zabijali się dla niego.

Jedno jest pewne - jeżeli pragniesz posiadać magiczny kamień pomysłności, musisz albo go ukrasć (co jest niezwykle trudne, bowiem prawdziwy kamień szczęścia sam zabezpiecza się przed wykradzeniem od swego właściciela i staje się w znacznym stopniu odporny na złodziejskie zakusy), albo musisz znaleźć złożę feliksytu we wnętrzu skorupy ziemskiej i samemu go sobie wykopać. Mógłbyś oczywiście pomyśleć, że do obecnych czasów naturalny feliksyt musiał ulec wyczerpaniu, skoro trolle szukały go pod ziemią (obok innych minerałów) od tak dawna, jak ludzkość zamieszkuje na jej powierzchni, ale myliłbyś się w swym sądzie - feliksyt przynosi tak wiele szczęścia, że nawet Ziemia czuje się przez niego błogosławiona i od czasu do czasu, niczym w ekstazie, stara się wyprodukować go więcej - choć zawsze w niewielkich ilościach.

- Feliksyt? - Rognir zaśmiał się krótko, ale nieprzekonująco. - Skąd ci przyszło do głowy, że on tu gdzieś jest?

- Powiedziała mi to myszka - odparł Azzie, robiąc sprytną aluzję do poprzedniego zajęcia Hermesa, boga Myszy, zanim został on obalony i przemieniony wraz z resztą Olimpijczyków. Nie zrobiło to spodziewanego wrażenia na Rognirze.

- Tu nie ma zadnego feliksytu - powiedział. - To miejsce zostało wyeksploatowane już bardzo dawno temu.

- To mi wcale nie wyjaśnia, co ty tutaj porabiasz.

- Ja? Ja po prostu szedłem na skróty - rzekł Rognir. - Ten punkt znajduje się na podziemnej trasie z Bagdadu do Londynu.

- Jeżeli tak się rzeczy mają, nie będziesz miał nic przeciwko temu, jak się tu trochę rozejrze?

- Oczywiście, że nie. Śmieci są dla każdego za darmo.

- Dobrze to ujales - odparował Azzie i zaczął weszyc wokolo.

Jego przenikliwy lisi nos pochwycił bardzo nagle pasemko zapachu, który kiedyś, niedawno, mógł być skojarzony z czymś innym, a to z kolei łączono, może tylko przelotnie, z feliksytem. (Demony mają bardzo czuły węch, aby ich służba w Otchłani była dla nich bardziej uciążliwa). Niuchając jak głodny lis, Azzie szedł przez jaskinie wiedziony tą wonią wprost do torby ze skóry lemura spoczywającej u stóp Rognira.

- Nie masz nic przeciwko temu, że zagłębne do środka? - zapytał Azzie.

Rognir miał bardzo wiele przeciwko temu, ale skoro trolle nie mogą być równymi przeciwnikami w walce z demonami, to zdecydował, że rozsadek musi zapanować nad odwagą.

- Proszę bardzo.

Azzie wypróżnił sakwę. Kopnął na bok rubiny, zebrane przez Rognira w Birmie, zignorował kolumbijskie szmaragdy, odsunął na bok południowoafrykańskie diamenty (wraz z całą ich przyszłą ponurą konotacją) i podniósł mały kawałek różowego kamienia w kształcie walca.

- To mi wygląda na feliksyta - stwierdził. - Czy mogę go sobie pożyczyć na jakiś czas?

Rognir wzruszył tylko ramionami, bo nic innego nie mógł zrobić w tej sytuacji.

- Tylko oddaj mi go na pewno.

- Nie martw się - odrzekł Azzie i odwrócił się, by odejść.

Potem popatrzył jeszcze raz na drogocenne kamienie rozsypane pod nogami.

- Posłuchaj, Rognir. Wyglądasz mi na porządnego trolla; może byśmy tak ubili interes, ty i ja?

- Co proponujesz?

- Planuję pewne przedsięwzięcie. Teraz nie mogę ci o nim wiele opowiedzieć poza tym, że ma ono związek z obchodami milenijnymi. Potrzebny mi twój feliksyta i twoje klejnoty, bo bez pieniędzy demon nie jest w stanie nic zrobić. Jeżeli znajdzie poparcie, jakiego oczekuje od Wyższych Złych Mocy, będę ci mógł odplacić dziesięciokrotnie.

Rognir schylił się i zaczął chować swoje klejnoty.

- Zamierzalem zabrac je do domu i dodac do swojej kolekcji - powiedzial.

- Twoje zbiory sa juz na pewno bardzo duze, prawda?

- Och, nie mam sie czego wstydzic - odparl Rognir, którego kolekcja mogla isc w zawody z najlepszymi.

- Dlaczego zatem, nie mozesz mi zostawic tych kilku kamieni? Twoje domowe muzeum jest juz dostatecznie wielkie.

- To wcale nie znaczy, ze nie chcialbym go powiekszyc!

- Oczywiscie, ze nie. Dodajac je jednak do pozostalych, spowodujesz, ze twoje pieniadze nie beda pracowac na ciebie. Jesli natomiast zainwestujesz je we mnie, to beda.

- Pieniadze pracujace dla mnie? Cóż za dziwaczny pomysl! Nie wiedzialem, ze forsa powinna pracowac.

- Jest to idea rodem z przyszlosci i jest w niej zawarty kapitalny sens. Dlaczegoż to pieniadze mialyby sobie lezec i nic nie robic? Wszak wszystko inne musi tyrac na tym swiecie!

- To dobry argument - zastanowil sie Rognir. - Ale jaka mam pewnosc, ze dotrzymasz obietnicy? Jesli przy stane na twoja oferte, wszystko co bede mial, to twoje slowo, ze twoje slowo jest dobre; jezeli natomiast nie zgodze sie, nadal bede posiadal wszystkie swoje klejnoty!

- Moge uczynic swoja propozycje tak atrakcyjna, ze nie zdolasz sie jej oprzec - rzekl Azzie krótko. - Zamiast stosowac normalna procedure bankowa, wyplace ci twój zysk z góry!

- Mój zysk? Alez ja jeszcze nie zainwestowalem w ciebie!

- Zdaje sobie z tego sprawe. Dlatego, dla zachety, dam ci zysk, jaki przypadlby ci po roku, gdybys jednak przystal na te transakcje.

- A co mam robic?

- Po prostu otwórz dlonie.

- No, dobrze - zgodzil sie Rognir, który jak wiekszosc trolli byl zachlanny.

- Oto twój zysk - powiedzial Azzie.

Dal Rognirowi dwa mniejsze sprosód diamentów, jeden rubin z malenka skaza i trzy doskonale szmaragdy. Rognir przyjal je i spojrzal na nie niepewnie.

- Ale czy one nie sa moje?

- Naturalnie, ze tak. Sa twoim zyskiem!

- Przeciez od poczatku nalezaly do mnie!

- Wiem. Ale ty mi je wypożyczyles.

- Pożyczylem? Nie pamiętam.

- Nie pamiętasz, że przyjales procent, gdy ci go dałem?

- Oczywiście, że pamiętam. Któż by odrzucał zarobek?

- Słusznie. Ale twój zysk opierał się na tym, iż pożyczyles mi te kamienie, abym z nich mógł uzyskać procent dla ciebie. Teraz masz kilka z nich z powrotem. Ale nadal jestem ci winien i te, które ci zwróciłem w ramach twego zysku, jak i cała reszta. One stanowią kapitał. Za rok dostaniesz je wszystkie z powrotem. A zarobek już masz w garści.

- Nie jestem tego pewien - medytował Rognir.

- Zaufaj mi - pocieszył go Azzie. - Zrobiles mądra inwestycję. Przyjemnie było być z tobą interes.

- Zaczekaj chwilke!

Azzie zgarnął resztę klejnotów i nie zapominając o kawałku feliksytu, zniknął, przenosząc się do górnego świata. Demony, oczywiście, potrafią dematerializować się na życzenie - i to daje im generalne, praktyczne wyczucie teatralności.

Rozdział szósty

Azzie dawno nie był w Rzymie, chociaż stanowi on ulubione miasto demonów przyjeżdżających tam zwiedzać zabytki - już to pojedynczo, już to grupowo, po kilkuset osobników naraz, w towarzystwie demonów rodzaju żeńskiego i dzieci oraz pod wodzą piekielnych przewodników wyjaśniających obszernie, co i kiedy się tutaj działo. A nie brakowało interesujących rzeczy do oglądania. Ponad wszystko inne, największe atrakcje stanowiły miejscowe cmentarze - czytanie napisów nagrobnych uchodziło za wielką rozrywkę, a i same kirkuty, dzięki swej melancholijnej atmosferze spowodowanej przez wysokie cyprysy i stare, pokryte mchem pomniki, tworzyły znakomite miejsce służące rozmyślaniom. Także sam Rzym dostarczał wielu emocji towarzyszącym ciągłym wyborom jedynie słusznego papieża i rzucaniu siarczastych kłatw na innych papieży; zawsze też dla sprytnego demona znalazła się okazja, aby pomóc w tym, by sprawy potoczyły się trochę gorzej niż mogły.

Teraz wszystko to było daleko bardziej ekscytujące, ponieważ zbliżał się koniec Milenium - A.D. 1000. Otton III, Święty Cesarz Rzymski, walczył w kleszczach pomiędzy swymi niemieckimi zwolennikami a Włochami, popierającymi miejscowych kandydatów. Rzymska szlachta stała w ciągłym pogotowiu wojennym przeciwko Cesarzowi i pomiędzy oboma zwaśnionymi obozami dochodziło do sporadycznych starć. Człowiek nie mógł się pokazać bezpiecznie w nocy na ulicy, a i za dnia mogło każdego spotkać coś złego. Korzystając z tego, iż nikt nie miał głowy się nimi zajmować, bandy rozwiązłych i chciwych

oprysków włączyły się bezkarnie po mieście i biada mężczyźnie czy niewieście, którzy wpadliby w ich łapy.

Azzie przyleciał o zmroku, gdy słońce właśnie chyliło się ku zachodowi, kryjąc czerwonym blaskiem kopuły i wieżycy Wiecznego Miasta, podczas gdy terakotowe szczyty dachów spowijał już wieczorny mrok. Sunał nisko nad kretymi ulicami, od czasu do czasu zniżając jeszcze bardziej lot, aby z uznaniem popatrzeć na Forum Romanum czy Colosseum. Potem ponownie nabral wysokości i poszybował w stronę Palatynu. Znajdował się tu całkiem szczególny cmentarz, Narbozzi, stanowiący miejsce, w którym demony od niepamiętnych czasów urządziły swe doroczne turnieje pokerowe. Nie inaczej powinno być i tym razem.

Cmentarz Narbozzi, rozciągający się na wiele hektarów wzdłuż falistej, północnej granicy Wzgórza Palatynskiego, pokryty był marmurowymi sarkofagami, lasem kamiennych krzyży i grobowcami rodzinnymi. Azzie wędrował po zarosniętych trawą ścieżkach, teraz bardziej dla niego wyraźnych, gdyż demony lepiej widzą w nocy, stanowiącej wszak naturalne ich środowisko. Kirkut był ogromny i Azzie poczuł się obawiać, iż może nie trafić na miejsce rozgrywek. Ufał jednak, że znajdzie graczy - wszak w jego torbie, wraz ze szlachetnymi kamieniami ze zbioru Rognira mającymi posłużyć jako stawka w grze, spoczywał bezpiecznie amulet szczęścia, feliksyt, zawinięty w pergamin z godłem króla Salomona.

Szedł szybko przed siebie, a zmrok wkrótce ustąpił pola zupełnej nocy. W górze pojawił się rogaty księżyc; Syriusz, Psia Gwiazda, świecił czerwonym blaskiem na niebie - dobra wróżba dla złego. Z pobliskich bagien dochodziło cykanie świerszczy i rechotanie zab. Azzie zaczął się martwić, czy aby nie przybył na niewłaściwy cmentarz - w owym czasie Rzym dzierzył palme światowego prymatu w ilości wysoce zabytkowych miejsc grzebalnych. Sprawdzenie ich wszystkich zabrałoby zbyt wiele cennego czasu, a on nie miał nawet przy sobie kompletnego ich spisu. Właśnie zaczynał kląć na siebie za nieodpowiednie przygotowanie eskapady (powinien wszak był skontaktować się z Nadprzyrodzonym Komitetem Zjazdu, aby zasięgnąć dokładnych informacji), gdy doszedł go obiecująco nieludzki dźwięk. Ruszył w jego stronę, by przekonać się, iż był to śmiech dobiegający ze wschodniej części Narbozzi, zwanej w starożytności „Przekłeta”. Gdy podszedł bliżej, usłyszał chóralne składanie przysięgi, a jeszcze później rozpoznał donosny, basowy rechot Newzejotha, jednego z największych panów wśród demonów, którego głosu nie sposób było zapomnieć. Azzie szybko poleciał w stronę źródła owych hałasów.

Demony skupiły się na pustym miejscu pomiędzy dużym marmurowym sarkofagiem Romulusa a świeższej daty grobem Pompejusza. Znajdowały się one w małym gaju otoczonym przez krąg wiecznie młodych debów. Choć demony baraszkowały tam zaledwie od kilku godzin, teren ten był brudny i wykazywał już ślady daleko posuniętego chaosu charakterystycznego dla zebranych sił nieczystych. Tu i ówdzie stały wielkie kadzie pełniące rolę posilku regeneracyjnego, gdzieś tam płonęły ogniska, a te spośród demonów, którym nieobca była sztuka kulinarna, przypiekały na grillu mięso ludzi rozmaitych ras.

Azzie został gościnnie przyjęty przez to szlachetne zgromadzenie.

- Mięso białe czy ciemne? - zapytała go jakaś demonica.

Azziemu spieszyło się jednak do gry i nie miał czasu ucztować, chociaż przypieczeni na różnie złoto-brazowi młodzi ludzie wyglądali nad wyraz apetycznie.

- Gdzie odbywa się Turniej? - zapytał.

- Tam dalej - powiedział gościnny sukkub.

Była to indyjska demonica, co Azzie poznał po pierścieniu tkwiącym w jej nosie i stopach zwróconych palcami do tyłu; uśmiechała się do niego uwodzicielsko. Była naprawdę piękna, lecz Azzie nie miał teraz ani czasu, ani ochoty na ksiuty, gdyż czuł wzbierająca w swych żyłach gorączkę hazardu. Ruszył pośpiesznie w stronę graczy.

Karciarze siedzieli w kole oświetlonym płonącymi ogniskami i lojowymi świecami zrobionymi zrecznie z przykro woniejących woskowych substancji. Poza nimi znajdował się kolejny krąg stłoczonych demonów - kibiców. Kiedy Azzie nadszedł, gra szła już o spora stawkę - w puli leżała garsc złotych monet, kilka srebrnych denarów i ludzki tors (bardzo cenny, bo krew jeszcze kapłała z kikutów ramion i nóg). Wygranym w tym rozdaniu okazał się brzuchaty demon o chudych kończynach i dużym, długim nochału - Laponczyk, jak można było wnosić po jego swetrze z welny renifera.

- Nowy gracz! - zawołał ktoś, i demony rozsunęły się, robiąc Azziemu miejsce.

Azzie usiadł, położył przed sobą klejnoty i podniósł przypadające mu karty. Z początku był ostrożny; już bardzo dawno nie brał udziału w Turnieju. Tym razem, nawet ze szczęśliwym kamieniem feliksytu, postanowił dmuchać na zimne i licytować tylko dobrą kartę, a pasować przy wątpliwej - słowem: miał zamiar zrobić wszystko to, co gracze w pokera - czy są ludźmi, czy demonami - zawsze obiecują sobie czynić, siadając do stolika. Wymienił część klejnotów na różne członki ludzkiego ciała i wszedł do gry. W ciemnościach rozświetlonych blaskiem niesamowitych, zielono zabarwionych płomieni toczyły się pokerowe zapasy, a demony śmiały się lub kleły w miarę tego, jak szczęście przychodziło i odchodziło.

Grające w pokera zjawy stanowią wesolą kompanię tak długo, jak sprzyja im pomysłowość. Siadają do kart w świetnym humorze, stawiając całe ludzkie głowy i podnosząc stawki z radosną rozrzutnością, a wszystkiemu temu towarzyszą zarty (zabawne z punktu widzenia poczucia humoru demona!), które przez inne istoty uważane są za co najmniej niewybredne.

- Ktoś ma ochotę na sandwicza z bohaterą? - zapytał jeden z posługujących, podczas gdy taca z ludzkimi podrobami krążyła wokół.

Wkrótce Azzie wyzbył się ostrożności. Zaczął grać bez opamiętania o coraz wyższe, wręcz szalone stawki, myślał cały czas o Milenijnym Bankiecie Złych Czynów, w którym tak bardzo pragnąłby wziąć udział. Gdyby tylko mógł wygrać! Chciał być przedstawicielem Zła w wielkich, raz na każde tysiąc lat rozgrywanych zawodach pomiędzy Światłością a Ciemnością.

Niestety, jak na razie jego stos ludzkich szczątków stale się zmniejszał. Licytował dziko, głupio, opętancko, ale nic nie mógł na to poradzić. Pogrążony w szybkiej grze ledwie zauważył, że duże pułki zgarniały ważniejsze demony. Co było nie w porządku z jego feliksytem? Dlaczego nie wygrywał większych stawek?

Przyszło mu na myśl, że wszyscy obecni mają jakieś amulety, a im poważniejszy demon, tym na lepszy talizman było go stać. Stawało się jasne, że kamienie szczęścia innych graczy neutralizowały działanie jego feliksytu. Znowu był przegrany. Nie do pomysłowości; to było bardzo nie fair!

Noc przeleciała niezwykle szybko i wkrótce Azzie zauważył delikatną jasność na wschodniej polaci nieba. Niedługo zacznie świtać i grę trzeba będzie przerwać, chyba że ktoś dysponował kluczami do jakiegoś prywatnego grobowca. W tym czasie Azzie pożegnał się już z większością tego, z czym przystępował do gry.

Wściekłość i żal ogarnęły jego lisi łeb. Karty, które ścisnął w dłoni, były znowu do niczego - para

dwójek i trzy różne blotki. Już miał je złożyć i spasować, kiedy doświadczył pewnego szczególnego uczucia. A właściwie nie tyle uczucia, co doznania. Dotarło do niego wrażenie ciepła promieniującego z jego torby. Czyżby amulet szczęścia chciał mu coś przekazać? Tak, tak musiało być! Azzie pomyślał, że jeżeli feliksyt naprawdę chciał mu pomóc, to musiał czekać na tę jedną jedyną partię, podczas której mógł użyć całej swej mocy - i wygrać ją dla niego.

Był tak pewien swego, iż blefując, brawurowo zaczął podbijać stawkę, nie przejmując się lichymi kartami. Dokonał wymiany blotek i nawet nie spojrzal na te dokupione. Licytował dalej. Doszło do sprawdzenia i rozkładając karty, Azzie widział swoje dwie dwójki i jeszcze jakąś parę; miał więc zaanonsować dwie pary, kiedy dotarło do niego, że ma przed sobą cztery jednakowe karty - karetę z dwójką! Nikt nie był lepszy. Sarkając, gracze rzucili karty, a największa pula tej nocy dostała się Azziemu. Znajdowała się w niej, oprócz stosu złotych monet, klejnotów i ludzkich członków, także rekojesc miecza z ulamana klingą ozdobiona czerwona, jedwabna kokarda jakiejś panny. Była tam też para męskich nóg w bardzo dobrym stanie, prawie nie naruszona, a także spora ilość pomniejszych rzeczy: kostek, przegród nosowych i rzepek kolanowych, które Azzie wymienił na złoto.

Jako prawdziwy demon, Azzie grałby nadal, do ostatniego grosza albo ostatniej części ciała, ale słońce wyjrzało właśnie niesmiało spoza wschodniego horyzontu i dla wszystkich nadszedł czas, aby opuścić cmentarz. Azzie wepchnął swoją wygraną do płóciennego worka, który miał przy sobie, na wszelki wypadek, w takim właśnie celu. W jego umyśle zaczął kielkować pewien pomysł. Był on jeszcze dosyć mglisty, ale coś tam jednak było.

Lauda

Rozdział pierwszy

Opuszczywszy Turniej Pokerowy, Azzie poleciał na północ. Zdecydował się wpaść na wielki konwent demonów odbywający się w Akwizgranie, dawnej stolicy Karola Wielkiego, i stanowiący część obchodów zapoczątkowujących otwarcie milenijnych zawodów. Silne przeciwne wiatry utrudniały mu lot, bo z faktu, że jest się niewidzialnym i trochę rozrzedzonym, nie wynika wcale, iż znika całkowicie hamowanie wywołane oporem powietrza. Na wieczór nie dotarł dalej niż do Rawenny. Postanowił odpocząć i znalazł sobie miły cmentarz poza murami miasta.

Było to bardzo przyjemne miejsce, z wieloma dużymi, starymi drzewami - debami i wierzbami - co stanowi ładną kompozycję, i oczywiście z cyprysami, dumnymi cmentarnymi strażnikami rejonu Morza Śródziemnego. Wszędzie wokół miał rozpadające się grobowce i mauzolea, a w oddali widać zarys

murów miejskich zbudowanych z szarego kamienia.

Azzie rozsiadł się wygodnie obok zwietrzałego nagrobka. Teraz potrzebne mu było przytulne ognisko. Spenetrował pobliskie mauzoleum i znalazł kilku nad wyraz wysuszonych nieboszczyków. Wraz z truchłami paru kotów otrutych przez jakiegoś intryganta z miasta posłużyło to za opał.

Z upływem nocy Azzie zaczął odczuwać głód. Co prawda, podjadł sobie znakomicie poprzedniej nocy podczas gry w pokera, a demony potrafią doskonale znosić długie przerwy pomiędzy posiłkami, ale cały dzień lotu na przekór przeciwnym wiatrom sprawił, że nabrał niespotykanego apetytu. Opróżnił swój sakwojusz, aby sprawdzić, czy nie uchwycił w nim jakichś smakolików.

Ach, cóż za radość! Znalazł kilka zawiniętych w kawałek stęchłego calunu kandyzowanych głów szakali, które zabrał przezornie z wczorajszej uczty. Stanowiły one smakowite kaski, lecz nie zaspokoili jego głodu. Przyjrzał się jeszcze raz zawartości worka i spostrzegł owa wygrana para nóg. Wyglądały znakomicie, ale nie chciał ich zjeść; przypomniał sobie, że wczoraj, gdy pierwszy raz na nie spojrzał, zaswitał mu w związku z nimi jakiś pomysł, ale niestety zupełnie nie pamiętał jaki. Był jedynie pewien, iż może z nimi zrobić coś daleko bardziej pożytecznego, niż tylko je zezrec - więc postawił je i oparł o nagrobek. Ich widok sprawił, że nabrał nieodpartej ochoty na mówienie do samego siebie. W tamtych czasach demony gotowe były przewedrować setki mil, aby znaleźć naprawdę dobry obiekt zasługujący na wygłoszenie przy nim monologu, a dla Azziego okazało się to teraz szczególnie przyjemnym zajęciem wśród odludnej, włoskiej wyzny, przy napierającym zewsząd wietrze i dalekim poszczekiwaniami szakali w tle.

- O, nogi! - zaczął demon. - Recze, że poruszalyscie się z wielką gracją ku zadowoleniu damy waszego serca i dojrzałyście się zginając, bo jesteście para muskularnych i zwinnych konczyn, na jakie białogłowy patrza zazwyczaj z ukontentowaniem. O, nogi! Wyobrazam was sobie rozstawione szeroko z wesolą nonszalancją, a potem ciasno scisnięte w ostatnim paroksyzmie miłości. Gdy byliście młode, nogi, wspinałyście się na niejedną okazję dąb i biegałyście wzdłuż płynących wartko strumieni po przyjaznych, zielonych łąkach waszej ojczyzny. Zapewne przedzieraliście się przez gestwiny i żywopłoty, torując sobie dzielnie drogę, z których żadna nie była dla was ani zbyt długa, ani meczaca.

- Tak uważasz? - zapytał jakiś głos dolatujący nieco z góry, zza pleców Azziego.

Demon obejrzał się i ujrzał ponurą, odzianą w płaszcz postać Hermesa Trismegistosa. Azzie nie zdziwił się, że ten mag przyleciał za nim; Hermes, a także inni dawni bogowie, zdawali się poruszać zgoła innymi drogami przeznaczenia niż demony czy duchy - ścieżkami, z którymi problemy dobra i zła nie miały nic wspólnego.

- Miło ponownie cię widzieć, Hermesie - przywitał go Azzie. - Właśnie filozofowałem sobie nad tą parą nóg.

- Nie będę ci przeszkadzał - rzekł Hermes.

Unosił się w powietrzu jakiś piec stóp ponad głową demona. Teraz z wdziękiem opadł na ziemię, pochylił się i przyjrzał ludzkim konczynom.

- Jak sądzisz, do jakiego rodzaju człowieka należały te nogi? - spytał boski posłaniec.

Azzie odwrócił się i też spojrzał na obiekt rozmowy.

- Do jakiegoś dandysa, najpewniej, bo popatrz - nadal spowite są w welniane, pasiaste, kolorowe

rajtuzy, jakie nosza strojnisi oraz faceci majacy o sobie wysokie mniemanie.

- Fircyk, powiadasz?

- Z cala pewnoscia. Spójrz tylko, jak slicznie toczone sa lydki; zauwaz doskonaly ksztalt ud z pieknie zarysowanymi muskulami. Zwróc tez uwage na te mala stopa o wysokim, arystokratycznym podbiciu; wreszcie na ksztaltne palce i równo przyciete paznokcie. Nie maja tez stwardnialej skóry na pietach, ani zadnych zrogowacen po bokach stóp. Ten facet nie musial wiele pracowac, aby zarobic na zycie - a juz z cala pewnoscia nie stopami. Jak myslisz, jaki byl jego koniec?

- Nie mam pojecia - odparl Hermes - ale zaraz mozemy sie tego dowiedziec.

- Znasz jakis sposob? - zapytal Azzie. - Jakies zaklecie nieznanne pospolstwu demonów?

- Nie na darmo jestem patronem alchemików - odparl Hermes - którzy wzywaja mnie, gdy sporzadzaja swoje mikstury. Oni pragna przemienic zwykly metal w zloto, a ja potrafię obudzic zywa pamiec w martwym ciele.

- To pozyteczna sztuczka - przyznal Azzie. - Mozesz mi ja pokazac?

- Z przyjemnoscia - sklonil sie Hermes. - Popatrzmy zatem, jak te nogi spedzily swój ostatni dzien.

Jak to zwykle przy wymawianiu zaklec bywa, znikad pojawil sie klab dymu i rozbrzmial dzwiek jakby mosieznego gongu. Dym rozwial sie i Azzie ujrzal...

...ksiecia ruszajacego w droge, by bronic zamku swego ojca. Ksiaze byl przystojnym mlodym czlowiekiem, dobrze obznajomionym z wojennym rzemioslem. Jechal konno na czele oddzialu dzielnych ludzi, a purpurowe i zólte choragwie szarpane letnim wiatrem powiewaly nad rycerska druzyna. A potem ksiaze i jego ludzie ujrzeli przed soba inny oddzial; mlody czlowiek wstrzymal wierzchowca, przywolujac do siebie seneszala.

- Mamy ich - powiedzial - miedzy skala a bryla lodu, jak mówia w Laponii.

Tyle zobaczyl Azzie, a potem wizja znikla.

- Mozesz sie dowiedziec, jaki los go spotkal? - po prosil.

Hermes westchnal, zamknal oczy i podniósł glowe.

- Ach - rzekl bóg - skoncentrowalem sie na starciu. Cóz za wspaniala potyczka zbrojnych! Popatrz tylko, jak wsciekle uderzaja na siebie; posluchaj, jak wysokim tonem brzeza naostrzone miecze! Nacieraja - wszyscy odwazni, wszyscy zwinni. Ale co to? Jeden z wojowników opuscil pole bitwy i swój oddzial! Nawet nie jest drasniety, a juz sie wycofuje! To byly wlasciciel twoich nóg!

- Tchórz! - krzyknal Azzie, bo mu sie zdawalo, iz widzi przebieg walki.

- Tak, ale nie ujdzie calo. Pedzi za nim czlowiek o oczach przekrwionych od bitewnej furii, skandynawski wielkolud - jeden z tych, z którymi Frankowie walczyli setki lat, i których nazywaja szalencami z pólnocy.

- Ja tez nie przepadam za pólnocnymi demonami - wyznal Azzie.

- Wiking dopędza tchórzliwego księcia, a jego miecz zataczając świetlisty łuk, zadaje z boku cios wymierzony z niesamowitą złością i dziką siłą!

- Trudno się złożyć w biegu do takiego ciecica - skomentował Azzie.

- Cios jest morderczy - przepolawia księcia. Tułów toczy się w kurzu, ale jego tchórzliwe nogi nadal biegają, uciekając teraz przed Śmiercią. Uwolnione od ciężaru górnej części ciała gnają z łatwością, choć jedynie siła rozpędu. Ile energii potrzebuje para nóg, aby się poruszać, jeżeli zgubiła w pedzie swego właściciela? Scigają je demony, ponieważ konczyny przekroczyły już granicę oddzielającą normalność od nieograniczonego świata nadprzyrodzonych możliwości. Wreszcie, chwycenie, nogi stawiają kilka ostatnich kroków, przechylają się, a potem wala się na ziemię bez czucia.

- Krótko mówiąc, mamy tu odnoża tchórze! - stwierdził Azzie.

- Niewątpliwie masz rację. Ale pewnego rodzaju boskiego tchórze, który uciekał przed Śmiercią nawet po śmierci, ponieważ tak bardzo się bał, iż stanie się to, co już faktycznie się dokonało.

Rozdział drugi

Gdy Hermes opuścił Azziego, aby przewodniczyć zebraniu magów w miejscu, w którym później powstanie Zurych, demon usiadł i pogryzł się w myślach. Markotnie szturchał nogi; głód się nasilał, ale płochliwe konczyny były zbyt cenne, aby zmarnować je jako przekaske. Właśnie to dał mu Hermes do zrozumienia na swój zwykły, pokretny sposób.

Co powinien z nimi zrobić? Pomyslał jeszcze trochę o tym wielkim wydarzeniu - milenijnym współzawodnictwie. Potrzebny był mu jakiś pomysł, koncept... Przyglądał się nogom, zmieniał ich pozycje, obracał to w tę, to w tamtą stronę. Musi coś być...

Nagle usiadł wyprostowany, jakby kij polknął. Tak, te nogi! Już wiedział! Miał wspaniały pomysł, który z pewnością przyniesie mu sławę w kregach Zła. Była to gotowa recepta na wygranie Zawodów, która przyszła mu do głowy w wybuchu demonicznego natchnienia. Nie może teraz stracić ani chwili, musi się pośpieszyć, zgłosić swą inicjatywę i uzyskać dlań poparcie Złych Mocy. Jakże to dzień mamy? Policzył szybko i jęknął w duchu. Był to, oczywiście, ostatni dzień, w którym można jeszcze było zarejestrować swój udział! Musi udać się do Najwyższej Rady Demonów - i to natychmiast!

Za czym wziawszy głęboki oddech, Azzie odleciał z Ziemi do tej okolicy Otchlani, gdzie Najwyższa Rada odbywała swe zebranie.

Nie jest rzeczą powszechnie znana, iż demony miewają takie same trudności w dostaniu się przed oblicze swych najwyższych władz, co i zwykli śmiertelnicy. Jeżeli nie stoisz wysoko w hierarchii, jeżeli nie jesteś krewnym kogoś ważnego albo chociaż utalentowanym sportowcem, zapomnij o osobistej

audiencji czy osobistym kontakcie z piekielnym notabłem. Musisz docierać kanałami, a to zwykle wymaga czasu i zachodu. A Azzie nie miał czasu - następnego ranka Wysoki Komitet wybierze zawodnika i sprawa będzie przesadzona.

- Musze się niezwłocznie dostać przed oblicza Komitetu Zawodów - powiedział Azzie do demona stojącego na straży przy bramie Ministerstwa zajmującego szereg budynków, z których część straszyła barokiem ozdobionym kopułami w kształcie cebuli, a inne nowoczesną surowością prostych kształtów; załatwiano tam sprawy demonów, diabłów i innych nadprzyrodzonych siewców Zła. Wielu z nich pracowało tu w roli urzędników i potrzeba było mnóstwo papieru na nie kończące się próby ujęcia zachowań mieszkańców zaswiatów w ramy prawne. Rząd Nadprzyrodzonych Złych Istot był bardziej rozbudowany niż jakkolwiek administracja państwowa na Ziemi i zatrudniał w takim lub innym charakterze większość piekielnego bractwa. Działo się tak, mimo iż rządzenie demonami nie zostało nigdy skodyfikowane w żadnej konstytucji. Jedyną uznaną władzę nad Dobrem i Złem stanowił dziwny i mglisty twór zwany Ananke, czyli Konieczność albo Fatum, i nie było wcale pewne, czy łańcuch rozkazodawców na niej się zaczynał, czy też biegł z niewiadomej głębi jeszcze wyższych poziomów. Ananke była tak daleko, jak mogli sięgnąć swą filozoficzną myślą demoniczni teoretycy, którzy mieli istotną trudność w porozumiewaniu się z nią, bo była tak tajemnicza, tak trudna do uchwycenia, tak bezcielesna i niekomunikatywna, że w jej przypadku niczego nie można było być pewnym, poza tym jednym właśnie, że zdawała się istnieć. To Konieczność rozsądzała comilenijne zawody pomiędzy Dobrem i Złem. Jej decyzje były podejmowane w tajemniczy sposób; stanowiła prawo dla samej siebie, ale było ono jakby „migoczące” - ukazujące się we fragmentach i znikające bez jednego słowa komentarza.

Dlaczego jednak w ogóle należało rządzić demonami? Teoretycznie były one autonomicznymi stworzeniami, które szły za kierującymi nimi impulsami, by czynić Zło. Wydaje się, że istnieje jednak jakaś wrodzona przekora w naturze inteligentnych stworzeń, ludzi czy istot nadprzyrodzonych, która każe im postępować na przekór swemu temperamentowi - wbrew temu, co w nich najlepsze, wbrew wszystkiemu, w co powinny wierzyć. Tak więc demonom potrzebny był rząd, Biuro Wydawania Instrukcji i Dekretów, co je niezmiernie bawiło, ponieważ ich najwybitniejsi teoretycy uważali, iż zmuszanie demonów do przestrzegania opracowywanych standardów Zła było gorsze, niż samo czynienie tegoż. Nie było zgody co do owego poglądu, niemniej wydawał się on rozsądny.

Azzie postępował nad wyraz nieprzepisowo, mijając pedem strażników, którym szczeki opadły na widok podobnego zuchwalstwa - ich zaskoczenie było pełne wobec tak niedemonicznego postępowania. Zwykle demony są potulne wobec tych, którzy sprawując władzę, stoją ponad nimi. Nikt jednak nie spieszył się, by go scigać lub próbować powstrzymać, bo ten młody, lisiogłowy demon wyglądał na całkiem niezłe zwariowanego; a jeśli tak istotnie było, mógł być bosko natchniony, to jest natchniony przez samego Szatana, w którego niewidzialnej służbie harowały wszystkie piekielne moce.

Azzie gnał przez korytarze Ministerstwa, dobrze wiedząc, dlaczego strażnicy nie próbują go zatrzymać. Szło mu na razie jak po masle, ale on wiedział, że nie jest wcale natchniony, a poza tym był przekonany, że Najwyższa Rada nie będzie zachwycona jego zachowaniem. Przyszło mu nagle na myśl, że być może popełnił wielki błąd i że nie będzie w stanie sprostac temu, co zamierza wziąć na swoje barki. Pozbył się czym prędzej tych myśli. Był zdeterminowany; skoro już zaczął, musi ciągnąć to dalej.

Biegł na górę jedną stroną imponującej, podwójnej klatki schodowej i skreślił w lewo, o mało co nie przewracając urny ze świeżo zerwanymi wiosennymi chwastami; i dalej korytarzem, skreślając zawsze w lewo, gdy tylko była ku temu okazja. Po drodze mijal kancelistów z rekami pełnymi papierysk, aż dotarł do wysokich, spizowych drzwi. Wiedział, że to musi być tu. Otworzył je i wszedł do środka.

Kiedy Azzie jak huragan wtargnal do pomieszczenia posiedzen, zebranie Mocy Zla znajdowalo sie w pelnym toku. Nie bylo to szczesliwe zgromadzenie - na zwierzeczych twarzach waznych demonów znac bylo rysujace sie niezadowolenie. Glowly miały spuszczone, a oczy czerwone i podpuchniete.

- Co sie dzieje? - zapytal Belial, podnoszac sie na swoje kozle nogi, aby lepiej widziec klanijacego sie teraz nisko intruza.

Azzie, który nagle zapomnial jezyka w gebie, tylko sie zajaknal i gapil sie przed siebie bez slowa.

- To calkiem jasne - odezwal sie Azazel, garbiac swe potezne plecy i stroszac czarne skrzydla. - Mamy przed soba pospolitego demona, który osmielil sie wtargnac tutaj podczas obrad Najwyzszej Rady. To nieslychane, do czego posuwa sie mlodziez w dzisiejszych czasach! Za moich dni tak nie bywalo. Mlode demony przepelnial szacunek wobec starszych, którym staraly sie przypodobac. Teraz natomiast rozpychaja sie, chodzac calymi bandami - slyszalem, iz nazywaja to gangami ulicznymi - bynajmniej nie troszczac sie o to, czy nie obraza kogos swym halasliwym i niestosownym zachowaniem. Nie dosc na tym, jak widac - wybieraja nawet jednego sprosód siebie, aby ten wdarl sie do naszego *sanctorum* i naublizal nam!

Belial, odwieczny rywal Azazela, uderzyl racicami w stól prezydialny i powiedzial afektowanym glosem:

- Wielce szanowny mój poprzednik jest dostatecznie utalentowanym krasomówca, aby przedstawic wtargniecie pojedynczego demona jako napad wojowniczego ulicznego gangu. Ja nie widze zadnej bandy, tylko jednego, dosyc niemadrze wygladajacego prostaczka. Pragne tez zaznaczyc, iz w tym wypadku slowo *sanctum* jest bardziej odpowiednie niz *sanctorum*, co szanowny pan wiedzialby, gdyby opanowal w swoim czasie drogi, stary, ojczysty jezyk, to jest lacine!

Oczy Azazela roziskrzyła wscieklosc, z nosa poczely mu sie saczyc pasemka siwego dymu, a z pyska pociekl mu kwas, wyzerajac dziury w stole z drzewa zelaznego.

- Nie pozwole - wrzasnal - aby jakis stwór podskakujacy niczym koza, który nie wiadomo skad sie wzial, i którego uczyniono raczej demonem, nizli nim byl z urodzenia, szydzil ze mnie! Z powodu niepewnego pochodzenia nie mozna polegac na jego znajomosci prawdziwej natury Zla!

Rozpetalo sie istne pieklo, wszystkie demony krzyczaly, proszac o glos, bo niczego tak nie lubily, jak sprzeczac sie o to, kto naprawde rozumie istote Zla, kto jest najbardziej zly, a kto jeszcze niedostatecznie do tego dojrzal. Azzie natomiast odzyskal w tym harmiderze równowage ducha. Zdawal sobie sprawe z tego, ze uwaga Lordów Demonów powróci wkrótce do jego osoby. Pospieszyl, aby przemówic we własnej obronie.

- Panowie! - powiedzial. - Przepraszam, iz stalem sie mimowolnym powodem tego zamieszania. Nie pozwolilbym sobie na wybryk wtargniecia i przerwania obrad Najwyzszej Rady, gdybym nie mial do powiedzenia czegos nie cierpiacego najmniejszej zwloki!

- Zatem - zapanowal nad audytorium Belial - dlaczego przyszedles? Widze przy tym, iz nie przyniosles zadnych prezentów, jak to jest we zwyczajaju. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

- Przychodze z pustymi rekoma, to prawda - przyznal Azzie. - To z powodu nadzwyczajnego pospiechu. Prosze o wybaczenie.

Zrobil pauze. Podeszepnelo mu to jego demoniczne wyczucie dramaturgii, kazac przerwac w tym

momencie, zamiast wyjawic ciag dalszy.

Lordowie Demoni takze wiedzieli cos niecos o teatrze - patrzyli na Azziego w oskarzycielskim milczeniu. Po chwili, która urosła do rangi wieczności, Belphegor, pragnący jak najszybciej zakonczyc zebranie i troche sie przespac, zapytal:

- W porzadku juz. Niech cie lichy porwie! Co takiego przynosisz, co jest wazniejsze od prezentów?

Niskim, matowym glosem Azzie powiedzial:

- To, z czym przychodze, jest najcenniejsze ze wszystkiego - to pomysl!

Rozdzial trzeci

Slowa Azziego trafily w samo sedno, bowiem wspólna troska spedzajaca sen z powiek Lordów Demonów byl brak jakiegos pomyslu na sposób rozegrania zbliżających sie Zawodów pomiedzy Swiatloscia a Ciemnoscia - jakiejś sztuki dramatycznej, z która wystapiliby we współzawodnictwie Dobra ze Zlem, a która wykazalaby w sposób niejako homiletyczny wyzsosc tego ostatniego, zapewniajac mu tym samym prawo do panowania nad ludzkimi losami przez nastepne tysiac lat.

- Jaki to pomysl? - zapytal Belial.

Azzie sklonil sie nisko i poczal opowiadac basn o Spiacej Królownie.

Tak jak wsród ludzi, basnie maja wielkie znaczenie i znajduja zywy oddzwiek w swiecie demonów. Wszyscy Lordowie znali opowiesc o mlodym czlowieku, który przychodzi ocalic zakleta, skazana na wieczny sen królowne. Wspierany przez swoje czyste serce i szlachetna, mezna dusze, królewicz wywalcza sobie droge przez wszelkie czyhajace nan niebezpieczenstwa, omija wszystkie zasadzki, by na koniec przedrzec sie przez sciane kolczastych zaroslí zagrządzających droge do zamku królowny, wspiac sie na szklana góre, na której byl on wzniesiony i pocalunkiem obudzic wiecznie spiaca dziewice, która w zamian oddaje mu swa reke. I odtad zyli dlugo i szcieszliwie.

Pomysl Azziego zasadzal sie na zaadaptowaniu wzruszającej fabuly na sztuke teatralna i rozegraníu jej w wybranej przez niego obsadzie.

- Panowie, przyznajcie mi subwencje, tak abym mógł swobodnie korzystac z Zaopatrzenia, a stworze Królowne i Królewicza, którzy wystapia w tej ckliwej historii i przerobia ja na swoja modle. Moja para ksiazat zademonstruje inne zakonczenie, bedace wynikiem działania ich wolnej woli, z minimalnym udzialem mej własnej ingerencji zza kulis. Zakonczenie to w zdecydowany sposób wykaze - ku radosci naszych przyjaciól i konsternacji wrogów - iz majac wolna reke w zmaganiach ludzkiego ducha, Zlo musi nieuchronnie zwyciezyc.

- Niezły pomysł - powiedział Azazel. - Dlaczego jednak sadzisz, że aktorzy będą postępować wedle tej myśli, skoro dasz im wolny wybór?

- Można to osiągnąć - odparł Azzie - przez rozważny dobór części ciała bohaterów oraz odpowiednie motywowanie, gdy już zostaną skompletowani i ożywieni.

- Rozważny dobór? - zainteresował się Flegeton. - Co przez to rozumiesz?

- Mam tu pierwszy element - odparł Azzie - na bazie którego zamierzam dobudować resztę swego Królewicza.

I wyjął z płóciennego torby parę wygranych w pokera meksykańskich nóg. Lordowie Demoni pochylili się, aby lepiej się im przyjrzeć. Skumulowana siła ich spojrzeń wywołała obłoczek pamięci i każdy w pomieszczeniu mógł na własne oczy ujrzeć dzieje odnoży oraz sposób, w jaki rozstały się z właścicielem.

- Zaiste, diabelsko tchórzliwa para nóg! - zawyrokował Belial.

- Tak, panie - potwierdził Azzie. - Z takimi kulasami mój Książę nie sprosta żadnej trudnej próbie; one same wycofają go w haniebnie bezpieczne miejsce.

- Czy właśnie taki wynik przewidujesz dla swej szarady? - chciał wiedzieć Belial.

- Nie, panie. Ale proszę o pańską wyrozumiałość i niezmuszanie mnie do wyjawienia konkluzji całego planu zbyt wcześnie, gdyż przyjemność, jaką daje śledzenie rozwoju wypadków, polega na podziwianiu twórczej inwencji, gdy nie wie się z góry zbyt dobrze, jaki będzie ostateczny rezultat przedsięwzięcia.

W innych okolicznościach plan Azziego mógłby spotkać się z całym szeregiem sprzeciwów, ale był już najwyższy czas, by przyjąć czyjeś zgłoszenie, a nic lepszego nie było pod ręką. Zgromadzenie przyklasnęło mu zatem.

- Myślę, że to jest to, o co nam chodzi - stwierdził Belial. - Co o tym sadzicie, koledzy?

Koledzy coś tam pomruczeli, udając, że się zastanawiają, po czym w końcu przyklepali sprawę.

- Zabieraj się zatem do dzieła - polecił Belial Azziemu - i dokonaj tego, co obiecałeś. Zostałeś wybrany, aby stanąć w szranki Zawodów. Idź i czyn przestrasz oraz zło w naszym imieniu!

- Dziękuję - wystękał Azzie; był naprawdę wzruszony. - Będzie jednak potrzebował pieniędzy, by zrealizować ten zamysł. Części ciała, których mi potrzeba, nie są tanie. A chodzi jeszcze o inne rzeczy, jakie będą mi niezbędne - dwa zamki, po jednym dla każdego z królestw, oraz rezydencje dla mnie samego, skąd mógłbym mieć baczenie na całość przedsięwzięcia. Także na opłacenie służby i sporo innych spraw.

Wrecono mu czarna kartę kredytową z jego imieniem wytłoczonym ognistymi literami ponad odwróconym pentagramem; można ją było włożyć do czegokolwiek ciemnego i złowieszczonego.

- Dzięki temu - powiedział Belial - będziesz miał natychmiastowy i nieograniczony kredyt w Zaopatrzeniu. Możesz skontaktować się z tą sekcją w dowolnym czasie i miejscu, jak tylko znajdziesz coś wystarczająco plugawego, by wetknąć tam kartę. Nie będzie to trudne, jeżeli zważyć, że świat jest

taki, jaki jest. Karta nadaje się także do kierowania zjawiskami meteorologicznymi.

- Sam jednak musisz dostarczyć swego bohatera i jego heroine - dodał Azazel. - I, oczywiście, jesteś całkowicie odpowiedzialny za kierowanie akcją.

- Zgoda - powiedział Azzie. - Nie chciałbym, by było inaczej.

Rozdział czwarty

Gdyby ktoś patrzył z wysokiego okna należącego do ulokowanego na stromiznie wąskiego, starego domu przy głównym placu miasteczka Hagenbeck, ujrzałby mężczyznę wysiadającego z dyliżansu przybyłego z Troyes. Ani młody, ani stary, był wysoki i atrakcyjny. Jego twarz nie budziła nieprzyjemnych skojarzeń, choć miała w sobie pewną surowość wskazującą na to, iż jej właściciel jest ważną osobistością. Ubrany był w strój z dobrego, angielskiego materiału, a przy jego bucikach połyskiwały elegancko mosiężne sprzączki. Wsiadł w Hagenbeck, poszedł wprost do zajazdu i poprosił o pokój, a kiedy właściciel gospody zapragnął dowiedzieć się czegoś bliższego na temat wypłacalności przybysza, Azzie (on to był bowiem), wyciągnął sakiewkę, w której kryły się niezliczone sztuki hiszpańskiego złota odlanego w Dubliny.

- Doskonale, proszę pana - powiedział gospodarz, płaszcząc się przed znamienitym gościem, aby ponieważś okazać mu swoje uznanie. - Mamy wolny nasz najlepszy apartament. Zwykle bywa zajęty, ale wszyscy pojechali na wielki jarmark do Champagne.

- Zatem jest mój - stwierdził Azzie.

Apartament był bardzo ładny; główny pokój miał duże okno w wykuszu i należała doń nawet mała łazienka, w której można się było umyć w razie potrzeby, ale demony nad wyraz rzadko korzystają z podobnych udogodnień.

Z przyjemnością zaś Azzie położył się na ogromnym łóżku z puchową koldrą i dobrze wypchanymi poduszkami. Wyglądało na to, że rozpoczął właśnie start do swej kariery. Był nawet nieco zaskoczony szybkością, z jaką awansował ze skromnego posługacza w Północnej Dolegliwości nr 405 na głównego impresario wspaniałej, nowej gry na obchody milenijne. Leżał w łóżku, rozpamiętując to swoje niewiarygodne szczęście, a potem wstał, aby zabrać się do realizacji tajemnego planu mającego zapewnić mu powodzenie.

Pierwszą rzeczą, jakiej potrzebował, był sługa. W tej sprawie postanowił zasięgnąć rady gospodarza.

- To oczywiście, że musi pan mieć sługę - zgodził się otyły arendarz. - Bylem nawet zaskoczony, iż tak wytworny dzentelmen, jak pan, przybył samotnie i bez pokaznego kufra podróżnego. Ale skoro ma pan pieniądze, nietrudno będzie temu zaradzić.

- Potrzebuje specjalnego rodzaju sluzacego - sprecyzowal Azzie swe zadanie. - Takiego, od którego mozna wymagac bardzo niezwyklych uslug.

- Czy wolno mi wiedziec - zapytal gospodarz - o jakich to niezwyklych poslugach mówi wasza ekscelencja?

Azzie spojrzal na niego bystro. Wlasciciel zajazdu wygladal na zadowolonego z siebie grubasa, ale w jego twarzy mozna bylo dostrzec jakis ponury rys. Temu czlowiekowi zle uczynki najwyrazniej nie byly obce. Nie cofal sie przed niczym i odczuwal pewna radosc na mysl o niegodziwosciach mogacych dostarczyc mu podniecenia, jakiego nie znajdowal w normalnym zyciu.

- Gospodarzu - odezwal sie demon - czyny, jakich bede zadal, moga calkowicie nie mieścić sie w granicach królewskiego prawa!

- Tak, panie - powiedzial tylko gospodarz.

- Przygotowalem tu spis wymagan, jakie stawiam sluzacemu. Chce, abys go gdzieś wywiesil...

Podal arendarzowi kawalek pergaminu, a ten wzial go i poczal przyblizac i oddalac od oczu, by znalezc odleglosc dogodna dlań do czytania. Bylo tam napisane:

Potrzebny sluzacy niewrazliwy, przyzwyczajony do krwi i posoki, uczciwy, gotowy do wszystkiego, na którym mozna polegac.

Przeczytawszy to kilka razy, patron stwierdzil:

- Takiego czlowieka da sie znalezc. Jezeli nie w samym Hagenbeck, to w pobliskim Augsburgu. Z przyjemnoscia przybije to ogłoszenie do frontowej sciany, obok zamówien na siano oraz owies - i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Uczyn tak - przystal Azzie. - I przyslij mi pekata flaszke najlepszego wina na wypadek, gdyby czekanie bylo uciążliwe.

Gospodarz sklonil sie nisko i zniknal za drzwiami. Przed uplywem kilku minut pojawila sie dziewczka sluzebna, nieszczesne stworzenie o zniekształconej twarzy i chromej nodze, przynoszac nie tylko butelke wina, ale i troche malych ciasteczek, które kucharka upiekla tego własnie dnia. Azzie wynagrodzil sluzaca srebrnym pensum, za co ta stala sie rozczulajaco wdzieczna. A potem usiadl i zabral sie do biesiady.

Oczywiscie, ze demony tak naprawde nie potrzebuja pozywienia, ale kiedy przybieraja ludzka postac, przyjmuja takze czlowieczne checi i przyzwyczajenia. Jednym z nich byla ochota na jedzenie, wiec Azzie pochlonal obfity obiad, a potem poslal jeszcze po pasztet z kosów, bo rozkoszny zapach jego pieczenia dolecial go z dobrze zaopatrzonej kuchni gospody.

W niedlugi czas potem pierwszy kandydat na sluzacego zapukal do drzwi. Byl to wysoki mlody czlowiek, chudy jak tyka i o rozczochranych blond włosach unoszacych sie wokół jego glowy na ksztalt aureoli. Ubranie na nim prezentowalo sie jeszcze calkiem dobrze, choc bylo niezle polatane. Trzymal sie

prosto, a sklonił nisko, gdy Azzie otworzył przed nim drzwi pokoju.

- Panie - rzekł obcy - przeczytałem na dole panskie ogłoszenie i przyszedłem od razu, żeby się przedstawić. Nazywam się August Hye, z zawodu poeta.

- Doprawdy? - zdziwił się Azzie. - Oferowana przez ze mnie posada jest nieco niezwykła jak dla poety.

- Bynajmniej - sprzeciwił się Hye. - Poeci muszą z konieczności zajmować się najbardziej skrajnymi ludzki mi emocjami i zachowaniami. Krew oraz plugastwo jak najbardziej mi odpowiadają, gdyż mogłyby stać się na tchnieniu do moich wierszy, w których zamierzam zająć się rozważaniami nad marnością życia i nieuchronnością śmierci.

Azzie nie był do końca zadowolony z uzyskanej odpowiedzi. Wcale nie wyglądało na to, by poeta był tym, o kogo mu chodziło. Postanowił poddać wierszoklete próbie.

- Znasz miejscowe cmentarze? - zapytał.

- Jakżeby nie! - obruszył się tamten. - Cmentarze stanowią ulubione miejsce poetów pragnących, aby kontemplacja nasunęła im myśli o wielkich i tragicznych czynach.

- W takim razie, udaj się tam dziś wieczorem, gdy księżyc będzie nisko świecił, i przynies mi dobrze leciwa ludzka czaszka, z włosami lub nie; to nie robi różnicy. A jeśli przy okazji możesz mi dostarczyć kilka kobiecych palców, to tym lepiej.

- Kobięce paluszki? Czy ma pan na myśli słodczyce o tej nazwie?

- Wcale nie - odparł Azzie. - Chodzi mi o prawdziwe palce, w dosłownym znaczeniu.

Hye wyglądał na zakłopotanego.

- Nielatwo znaleźć takie rzeczy.

- Wiem - zgodził się Azzie. - Gdyby było łatwo, sam bym po nie poszedł. Teraz idź i zobacz, do czego jesteś zdolny.

Hye wyszedł zmartwiony; jego nadzieje na wygodną posadę już słabły. Jak wszyscy poeci, bardziej był przyzwyczajony mówić i pisać o krwi, niżli maczać w niej palce. Postanowił jednak spróbować, bowiem Lord Azzie, jak tamten kazał się tytułować, wyglądał na bogatego człowieka i można było liczyć na suta zapłatę.

Następnym gościem Azziego okazała się chuda, wysoka i stara kobieta ubrana od stóp do głów na czarno. Miała małe oczy i długi nos, a jej wargi były wąskie i bezkrwiste.

- Wiem, że w panskim ogłoszeniu chodziło o mężczyznę - powiedziała na wstępie - ale mam nadzieję, iż nie okaże się pan nieustępliwy w tym punkcie. Będzie dla pana wspaniałą służącą, Lordzie Azzie, zwłaszcza iż wolno panu będzie cieszyć się moimi względami.

Azziego przeszły ciarki. Ta starucha najwidoczniej była mocno zadufana w sobie, jeżeli uważała, iż jakikolwiek szlachcic (czy choćby demon udający lorda) mógłby używać jej inaczej, aniżeli jako pacholka do ściągania butów po całodzienną forsowną jeźdźdź konno. Niemniej zdecydował, że postawi sprawę uczciwie - i powtórzył polecenie, jakie wcześniej dał Hye'owi. Również Agata, tak miała

na imie kandydatka, wydawała się być zaskoczona. Uważała wcześniej, iż sam jej wygląd predestynuje ją do tej pracy, gdyż miała prezencję kogoś, kto lubując się we krwi i paskudztwie, nie cofnie się przed niczym. Tak naprawdę, trudno by jej było nawet uciąć głowę kurczeciu; mimo to obiecała, iż zrobi, co może, i wróci o północy ze swymi zdobyczami.

Tego dnia nie zgłosił się już żaden chętny i Azzie nie był wcale zadowolony. Wyglądało na to, że w tych stronach ludzie nie mieli ochoty na tego rodzaju robotę. Ale zobaczy się jeszcze, bowiem posiadanie przez Azziego słuzacego było absolutną koniecznością.

Rozdział piaty

Tego popołudnia Azzie udał się do pobliskiego Augsburga; resztę dnia spędził spacerując po mieście i obserwując jego stare kościoły. Demony bardzo interesują się świątyniami, które - choć mieszkają w nich Moce Dobra - dają się niekiedy użyć do niecznych celów. Wczesnym wieczorem wrócił do Zajazdu pod Wisielcem w Hagenbeck, by dowiedzieć się od gospodarza, iż nikt więcej nie zgłosił się do oferowanej służby.

Azzie wyjął swą czarną kartę kredytową i przyjrzał się jej uważnie. Była to piękna rzecz i poczuł nagłą ochotę, by wywołać coś, co by go zabawiło, na przykład tańczące dziewczęta, ale powstrzymał się. Były ważniejsze rzeczy. Przede wszystkim potrzebował dobrego słuzacego, człowieka. Potem zaczęnie się praca i czas na rozrywki.

Wieczorem postanowił zjeść obiad na dole, wraz z kupcami. Miał osobny stół z zasłoną odgradzającą go od reszty gości, ale specjalnie trzymał ją nieco odsuniętą, aby obserwować blazenstwa biesiadników.

Ludzie jedli i pili w wesołym nastroju, a Azzie dziwił się, jak mogło im być tak lekko na sercu? Czy nie wiedzieli, że zbliża się milenium? W wielu innych miejscach Europy wszyscy byli świadomi tego faktu i zabezpieczali się przed jego następstwami, jak tylko mogli. Na przeklętych wrzosowiskach odbywały się Tance Umarłych oraz szerzyły się gusła i cuda przeróżnego autoramentu. Wielu sądziło, iż nadchodzi koniec świata; niektórzy zwracali się więc ku modlitwie; inni, przekonani że i tak są potępieni, spędzali ostatnie chwile na obżarstwie i orgiach seksualnych. W kilkunastu miejscach kontynentu widziano Anioła Śmierci przepatrującego teren i robiącego wstępny spis tych, którzy zostaną przezeń zabrani. Z kościelnych ambon rzucano klatwy na rozpustników i wyuzdanców, ale wszystko to na niewiele, albo zgola na nic się nie zdało. Ludzkie umysły były wzburzone i przerażone nadchodzącym groźnym rokiem, podczas którego - jak mówiono - zmarli pojawiają się na ulicach, nad Ziemią ukazuje się postać Antychrysta, a wszelkie rzeczy widzialne i niewidzialne staną do Armageddonu - ostatniej wielkiej bitwy pomiędzy siłami Dobra i Zła.

Sam Azzie nie dawał posłuchu takim prostackim przesadom - wiedział doskonale, że ludzkość ma przed sobą jeszcze długą drogę do przebycia. Takie comilenijne walki będą się toczyć nadal w przyszłości przez następne tysiąclecia, tak jak dochodziło do nich w przeszłości, chociaż rodzaj ludzki zachował o nich jedynie mgliste wspomnienie.

W koncu Azzie poczul sie zmeczony i poszedl na góre do sypialni. Bylo mniej wiecej pół godziny do północy. Azzie nie wierzył, by Hye albo Agata wrócili; nie wygladali na ulepionych z dostatecznie twardej gliny. Postanowil jednak, ze okaze im swoja grzeczność w ten sposób, ze jeszcze nie polozy sie spac.

Minuty wlokly sie, a nad miasteczkiem zapanowala martwa cisza. Byl to czas, który Azzie lubil najbardziej - chwile biegly jedna przed druga ku północy, po której oblicze swiata ulegalo zmianie; swiete obowiazki wieczoru popadaly w zapomnienie, a zbawcze poczucie przyzwoitosci switu bylo jeszcze daleko. W tych godzinach, pomiedzy srodkiem nocy a brzaskiem, zlo czulo sie najbardziej w zgodzie ze soba - najbardziej zadne nowych doswiadczen, tajemniczosci i grzechu oraz checi budzenia powszechnej perwersji, wymagajacej stalego podsycania - co tez i bylo rozkosza dla zlej duszy.

Północ nadeszla i minela, a nikt nie zapukal do drzwi. Azzie poczal sie nudzic, a ogromne loze z baldachimem, puszysta koldra i stosem poduszek necilo go swoja wygoda. Byla to oczywista pokusa, ale poniewaz od demonów nie wymaga sie ascezy czy opierania sie chetkom, polozył sie, zamknal oczy i zapadl w gleboki sen.

Snilo mu sie, ze przyszly do niego trzy na bialo ubrane dziewczyny i niosac w dloniach swiete przedmioty, mówily:

- Chodz, Azzie, przyłącz sie do naszych swawoli! Patrzac na nie, miał wielka ochote doszlusowac do ich towarzystwa, usmiechaly sie bowiem i mrugaly na niego bardzo zachecajaco, ale bylo w nich cos, co mu sie nie podobalo - cos, co mówilo jego wyszkolonemu oku, ze tak naprawde nie byly wyznawczyniami zla, a tylko udawaly, by schwytac go w pulapke. Niemniej ciagnelo go do nich niemal wbrew jego woli, chociaz powtarzal sobie w duchu cytaty z Wyznania Wiary Zla: ze Dobro potrafi przybrac przyjemna postac i demon musi miec sie stale na baczności, by nie dac sie zwiesc temu, co tylko pozornie jest Zlem. Wyznanie Wiary nie pomagalo, dziewczeta byly coraz blizej niego, wyciagaly don rece...

Nie dowiedzial sie nigdy, jaki miał byc dalszy ciag snu, bo obudzilo go pukanie do drzwi. Jakiez to smieszne obawiac sie kuszenia przez Dobro! A byla to obawa powszechna wsród demonów i sen ów wytracil Azziego z równowagi.

Pukanie powtórzilo sie.

Azzie sprawdzil swój wyglad w peknietych lustrze. Przygladzil brwi, zaczesal do tyłu rude włosy i wypróbował lypnicie okiem. Tak, byl absolutnie przerazajacy tego wieczoru, przygotowany na przyjecie kazdego kandydata, jaki przejdzie przez próg.

- Wejsc.

Gdy drzwi sie rozwarly i ujrzał swego nocnego goscia, byl mocno zdumiony. Czlowiek, który wszedl, byl iscie niezwycajny - bardzo niski mezczyzna z duzym garbem. Nosil calkowicie owiniety wokół swej postaci szeroki, czarny plaszcz z podniesionym kapturem. Długa, koscista twarz byla smiertelnie blada, wrecz grobowa. Kiedy wszedl, Azzie zauwazyl, ze podpiera sie laska.

- A kimze ty jestes - zapytal Azzie - zeby przy chodzic o tej porze?

Nazywam sie Frike - odparl garbus. - Przychodze w odpowiedzi na panskie ogłoszenie. Poszukuje pan sluzacego, gotowego - jak sie wydaje - na wszystko. To własnie ja.

- Masz czelność! - skwitowal Azzie propozycje. - Musisz wiedziec, ze jest juz dwóch kandydatów,

którzy byli tu przed toba. Powierzylem im pewne proste zadanie i teraz czekam na ich powrót.

- O, wiem - potwierdził Frike. - Przypadkiem ich spotkałem, poete i staruche. Stali przy furcie cmentarza, usiłując znaleźć w sobie dosyć odwagi, by spełnić paskie wymagania.

- Nie powinni byli tak długo zwlekać. Czas wyznaczony na ich powrót już dawno minął.

- No cóż, proszę pana - powiedział garbus. - Spotkał ich pewien nieszczęśliwy wypadek, więc przyszedłem zamiast nich.

- Wypadek? Jaki wypadek? - zainteresował się Azzie.

- Milordzie - rzekł Frike - przyniosłem przedmioty, o które pan ich prosił.

Garbus sięgnął w zanadrze swego płaszcza i wyjął torbę z garbowanej, wołowej skóry. Otworzywszy ją, wydobył dwa pakunki owinięte w workowe płótno, a po rozwinięciu jednego z nich oczom Azziego ukazało się osiem równo jak brzytwa uciętych palców. I kciuk.

- Proszę spojrzeć - powiedział Frike. - Kobięce palce.

- Trochę gumiate - stwierdził Azzie, oglądając je i nadgryzając jeden.

- Są najlepsze, o jakie mogłem się postarać w tak krótkim czasie.

- A dlaczego nie ma kompletu? Brakuje jednego kciuka.

- Wasza lordowska moc mogła nie zwrócić uwagi - odparł Frike - bo dostrzec coś takiego, byłoby poniżej paskiej godności, ale śmiem zauważyć, że Agata, która starała się o posadę paskiej służącej, nie miała jednego kciuka. Niestety nie wiem, w jakich okolicznościach go straciła, nie mogę więc zaspokoić paskiej ciekawości w tym względzie.

- To nie ma znaczenia - uznał Azzie. - Prosiłem także o głowę.

- A tak. Sądził pan zapewne, iż zadanie jest proste do wykonania, skoro nasz miejscowy cmentarz pełen jest takich okazów, ale wierszokleta najpierw krążył wokół muru, potem wszedł wreszcie i przykładal łopate to tu, to tam do ziemi, aż w końcu zrobiło mi się niedobrze od czekania, by skończył te roboty. Pozwoliłem więc sobie, milordzie, za jednym zamachem zdobyć głowę oraz pozbyć się rywala.

To mówiąc, otworzył ponownie torbę, wyjmując z niej głowę Hye'a, poety.

- Nierówno ucięta, jak widzę - skomentował Azzie, ale tylko dla pozorów, bo bardzo był zadowolony z pracy tego kandydata na pomocnika.

- Zależy, ale nie było czasu na dokładne uderzenie - odparł Frike. - Ponieważ jednak był on znany w tych stronach jako bardzo marny poeta, przypuszczam zatem, iż jemu samemu także zdarzały się chyby strofy.

- Frike, spisałeś się bardzo dobrze. Angażuję cię od razu, uważam bowiem, że jesteś perłą wśród śmiertelnych. A skoro poszło ci tak dobrze w tym wypadku, pewien jestem, iż nie będziesz miał także trudności w zdobyciu wszystkiego tego, co będzie mi potrzebne. Przystąpisz do pracy, jak tylko zbadam teren i wyjaśnię ci, o co chodzi.

- Spodziewam sie, ze bede panu dobrze sluzyl.

Azzie podszedl do kufierka, otworzyl go i wyjal zen sakiewke z jeleniej skóry, a z niej cztery złote talary. Wreczyl je Frike'owi, który sklonil sie nisko w podzięcie.

- A teraz - powiedzial Azzie - musimy zabrac sie do roboty. Północ minela, zło ma pole do działania. Czy jestes gotowy na wszystko, co może sie zdarzyc, Frike?

- Tak...

- A jakiego wynagrodzenia oczekujesz za swe trudy?

- Tylko tego, aby nadal ci sluzyc, milordzie - tak teraz, jak i po smierci.

Tym sposobem Azzie dowiedzial sie, iz Frike jest swiadomy tego, kim, albo raczej czym, jest jego nowy pryncypal. Demon ucieszyl sie, ze znalazl tak inteligentnego sluzacego. Nalezalo natychmiast zabrac sie do pracy.

Rozdział szósty

Zanim można było przystąpić do jakichkolwiek dalszych działań, Azziemu potrzebny był jakiś punkt dowodzenia. Zajazd pod Wisielcem miał wiele zalet, ale było w nim zbyt mało przestrzeni, a ludzie za bardzo ciekawi. W miarę jak Azzie i Frike gromadziliby swoje okazy, ich zapach stałby się poważnym problemem. Demon znalazł kilka mistrzowskich zaklęć utrzymujących ludzkie mięso we względnej świeżości, ale nawet magia nie była w stanie usunąć odoru śmierci oraz rozkładu związanego z jego pracą. Wynajęcie ludzi, aby przynosili lód wprost z alpejskich lodowców, także nie stanowiłoby wystarczającego rozwiązania, gdyż zapewnienie ciągłości dostaw byłoby kolosalnym przedsięwzięciem; toteż Siły Ciemności sprzeciwiły się temu projektowi, twierdząc, iż byłoby to nieopłacalne, a ponadto za bardzo zwracałoby uwagę na jego działalność.

Następnym problemem była w takim razie kwestia lokalizacji domu i niezbędnego laboratorium alchemicznego. Azzie musiał mieszkać blisko serca Europy, bo był to główny teatr wojny - tam miała rozgrywać się akcja.

Zdecydował się wreszcie na Augsburg w Alpach, niedaleko Zurychu. Było to piękne, małe miasto położone na trasie handlowej, co znaczyło, iż Azzie będzie mógł od wędrownych kupców nabywać korzenie i naturalne leki potrzebne do pracy. Augsburg stanowił także dobrze znany ośrodek czarnej magii - fakt nie bez znaczenia dla demona: ponieważ każdy był tutaj podejrzany o czary, więc Azzie nie wyróżniał się przesadnie w tym gronie.

Demon spotkał się zatem z burmistrzem i załatwił sobie długoterminowy wynajem Chateau des Artes na

północnym krancu miasta; ta budowla o szlachetnej linii postawiona na ruinach rzymskiej willi, w której w minionych dawno czasach rezydował pretor, odpowiadała mu pod każdym względem. Obszerne piwnice zapewniały brak problemów z przechowywaniem rosnącej kolekcji ludzkich narządów. Wreszcie, blisko było do Zurychu i Bazylei, których szkoły medyczne zapewniały dodatkowo wysmienite zaopatrzenie w niezbędne materiały.

Było jednak lato i nawet konserwujące zaklecia Azziego wyczerpywały się. W końcu musiał się uciec do dodatkowego środka. Od dawna było wiadomo, że umieszczenie organicznych szczątków w kadzi zawierającej ichor, krew bogów, zabezpieczało obiekt przed zepsuciem. Faktycznie, owa eteryczna ciecz była zupełnie uniwersalnym środkiem - dobrym do picia i zdatnym do cudów, gdy ją do nich użyć. Jednak otrzymanie potrzebnej Azziemu ilości ichoru było wielkim problemem. Zaopatrzenie starało się zatrzymać każdą jego kroplę dla siebie i dopiero po wstawiennictwie Hermesa Trismegistosa, którego o to poprosił, Azzie otrzymał niezbędną jej ilość. Jednak i wtedy musiał uprzedzić Frike'a, iż pod karą srogich tortur do śmierci włącznie, nie wolno tknąć mu tych bezcennych zapasów.

Zdobycie tułowi, bioder, rzepek kolanowych i łokci nie przedstawiało większych trudności. Mieli też pokazny zapas zeber i ramion. Ponieważ jednak Azzie chciał znać przeszłość każdego kawałka scierwa, które zakupił, a owa historia najczęściej była nieznana jego kontrahentom, wszystko trwało niemożliwie długo. Kawalek po kawałku, w miarę jak upływały ciepłe dni lata, a zieleni stawała się ciemniejsza i przybywało kwiatów, Azzie zgromadził spory magazyn używanych organów. Były to jednak wszystko najmniej ważne części - głowy, twarze oraz ręce były równie istotne, co trudne do zdobycia.

Mijały kolejne dni, letnie burze przewalały się z trzaskiem i wydawało się, iż Azzie nie posuwa się ku upragnionemu celowi. Zmontował na próbie kadawra, który dreptał w kółko, potykając się i mamrocząc coś pod nosem, więc włożył biednego idiotę z powrotem do kadzi. Mózg tego stworzenia zepsuł się widocznie wcześniej, zanim został zakonserwowany. Demon poczuł się poważnie obawiać, że porwał się z motyka na słońce.

Jasne dni lata sprawiały, iż miał wrażenie, że do końca roku została jeszcze cała wieczność, więc Azzie sprowadził robotników, by wyremontowali Chateau. Wynajął rolników z pobliskich wsi, którzy posadzili szybko rosnące uprawy. Zdawało mu się, że te czarne roboty są dziwnie zadowolającym sposobem spędzania czasu, podczas gdy polowanie na głowy trwało nadal.

Chateau des Artes był dogodnie położony, można więc było podjąć podróż na południe Włoch, do zachodniej Francji, a na wschód do Czech i na Węgry. Tak więc Azzie wypełniał swój czas zajęciami gospodarskimi, a Frike'a wysłał w szeroki świat na dużym siwym koniu i z dwojgiem jucznych zwierząt postępujących za nim. O ile Frike zdobył wiele ciekawych i przydatnych rzeczy, to jeśli chodzi o głowy wyglądało na to, że jest to martwy sezon. Głowy...

W rozmowie z burmistrzem, Estelem Castelbrachtem, Azzie wyznał, iż zajmuje się różnymi badaniami mającymi na celu wynalezienie lekarstwa przeciwko dżumie, malarii i zimnicy, grasującym w tych stronach od czasów rzymskich. Wyjaśnił, że eksperymenty należy prowadzić na ludzkim ciele metodami, jakich nauczył się od wielkich współczesnych alchemików. Burmistrz, a potem reszta miasta, wierzyła mu na słowo, bo wyglądał na morowego chłopca, a poza tym nigdy nie uchylał się od leczenia miejscowych, często nawet z dobrym skutkiem.

Podczas tych zajęć zastanawiał się także, jakie rekwizyty będą mu potrzebne podczas przedstawienia o Śpiącej Królowie. Posyłał do Zaopatrzenia całe spisy towarów, otrzymując w zamian jakies metne odpowiedzi, pełne zastrzeżeń: „o ile jest jeszcze na składzie” albo „wyprzedane, wkrótce nowa

dostawa". Tym, co go najbardziej zdenerwowało, była replika w kwestii dwóch zamków - jednego dla Księcia, drugiego dla Królowy. Za pośrednictwem mówiącej sowy władze Zaopatrzenia oświadczyły mu, że chwilowo nie ma na składzie żadnych wolnych budowli tego typu. Azzie tracił nerwy, sprzecząc się z nimi, iż jego dzieło jest priorytetowe i *maimprimatur* Najwyższej Rady Demonów.

„Okay - odrzekli - wszystkie prace są priorytetowe, a z próżnego i Salomon nie należy...”

Postanowił więc udać się tam osobiście i samemu przejrzeć zapasy Sekcji Zaopatrzeniowej, by odłożyć wszystko, co okaże się potrzebne, kiedy Książeczka Para będzie gotowa do składania. Tak, czas był najwyższy wybrać się do Limbo, tego nieokreślonego rejonu, gdzie kształtują się nadprzyrodzone wydarzenia, mające wpływ na zmienne losy ludzkości.

I wypatrywać odpowiedniej głowy...

Rozdział siódmy

Azzie wyruszył w drogę z uczuciem żalu. Wiedział, że nie powinien sobie pozwalać na sentymenty względem kraju, w którym będzie mieszkał tylko przez krótki czas i w ściśle określonym celu, jednak gdy wspominał całą tę pracę wykonaną w domu i na polach... Nigdy wcześniej nie dał z siebie tyle dla jakiegokolwiek innego miejsca; czuł radość, widząc, jak zmienia się ono zgodnie z jego życzeniami. Zaczynało to wyglądać... jakby... po domowemu.

A znowu podróż do Limbo nie była zbyt bezpieczna - zawsze istniały jakieś trudności z przechodzeniem z jednej domeny do drugiej. Prawa samej domeny, jak i Ziemi, nie są zrozumiałe tak do końca; o ileż więc mniej muszą być jasne zasady rządzące poruszaniem się pomiędzy nimi?

Na szczęście, tym razem wszystko poszło gładko. Azzie przygotował się odpowiednio, po czym wymówił greckie zaklęcie, kończąc je hebrajskim okrzykiem. Błysnęły ognie i demon znalazł się nagle na podłużnej płaszczyźnie obramowanej z obu stron czarnymi górami. Niebo było białe i gorące jak hutniczy piec, a na nim polatywały gdzieś zielone wiry jakby dzinów szybko kołujących w szyku.

Samo poruszanie się w Limbo także stanowiło nie lada problem, ponieważ jego obszar był nieograniczony. Szczęściem, niektóre ważniejsze punkty leżały blisko siebie, emitując coś w rodzaju siły przyciągania kierującej ku nim przybyszów. Na usługi wędrowców czekała także służba olbrzymich Ptaków Rokków, z których pomocy Azzie mógł skorzystać w każdej chwili. Z powodu trudności z wyżywieniem, jakie miały w plejstocenie, potwory te już dawno temu wyginęły na Ziemi; tutaj natomiast ze swoimi szerokimi grzbietami znakomicie służyły w charakterze taksówek.

Zaopatrzenie przedstawiało się jako nieskończony szereg magazynów usadowionych na środku bezbrzeżnej równiny - sekcja potrzebowała dużo przestrzeni. Zajmowany przez nią obszar był wystarczający, aby pomieścić wszystkie pokoje mieszkalne na Ziemi, a jeszcze wiele miejsca pozostawało na kuchnie i stajnie. Tak naprawdę, nigdy nie próbowano zapełnić wszystkich tych

składów. Ilość potrzebnych w tym celu rzeczy była ograniczona wyłącznie ludzka wyobraźnia; zaś liczba przedmiotów niezbędnych niewidzialnym mocom w prowadzeniu ustawicznych działań, aby oświecić ludzką bądź pomysłnie zakończyć akcje wywrotowe, była nieskończona i domagała się wszystkiego, co istniało pod słońcem. Nigdy nie dało się przewidzieć, kiedy jakiś demon będzie potrzebował trackiej włóczni Anno Domini 55, albo czegoś równie egzotycznego. Zaopatrzenie przeważnie sporządzało kopie zadanych przedmiotów, a miało też najbardziej pomysłowych rekwizytorów, jacy kiedykolwiek istnieli.

Sekcja wznosiła się na brzegu Styksu, tej ogromnej rzeki płynącej przez całą Ziemię oraz wszystkie jej nieba i piekła, a na mrocznej jej powierzchni stary przewodnik, Charon, torował sobie drogę przez wieki i światy. Siły nadprzyrodzone, którym służył niekiedy, uważały Ziemię za swoisty lunapark, najciekawszą rozrywkę jaką można sobie wyobrazić - i nie chciały żyć w oderwaniu od żadnych jej spraw, choćby dotyczyły one najdalszej przyszłości czy najodleglejszej przeszłości.

Azzie zsiadł z Ptaka Rokka. Siedział szybko, niekiedy szybując, gdy chodzenie stawało się uciążliwe, posuwając się wzdłuż długich ulic obramowanych z obu stron magazynami. Na drzwiach wszystkich znajdowały się napisy: NIEUPOWAZNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Uzbrojeni salisi, neutralne duchy Limbo, stali na straży tego postanowienia. Ich bron stanowiły rozpylacze energii, podobne z kształtu do włóczni wyposażonej w celownik oraz spust, wysyłające strumienie razących cząstek (niektórzy upierali się, że fal), które mogły zniweczyć osobowość nawet najpotężniejszego demona, „robiąc mu tapiokę z mózgu”, jak się popularnie mówiło tamtego roku. Azzie ominął strażników szerokim łukiem; Limbo stało się ostatnio niebezpiecznym miejscem, i to bardziej z powodu owych stróżów porządku niżli strzeżonych.

Dotarł wreszcie do magazynu, przy którego wejściu nie było straży. Nad wejściem znajdował się napis: TU MOZNA ZASIĘGNAC INFORMACJI. Jak na tak nieokreślone i fantazyjne miejsce, było to zadziwiająco jasno sformułowane zdanie; i Azzie, nie tracąc czasu, wszedł do środka. Wewnątrz zastał około dwudziestu demonów różnego autoramentu i stopnia czekających w kolejce, by złożyć skargi na rece znudzonego urzędnika noszącego na głowie - najwyraźniej wbrew przepisom dotyczącym epoki i ubioru - golfową czapkę w kratkę. (Demonom dozwolone jest wędrować tam i sam po linii czasu, ale nie wolno im przywłaszczać sobie żadnych pamiątek). Azzie błysnął swoją kartą kredytową i przepchnął się na czoło ogonka.

- Sprawa priorytetowa - zwrócił się do urzędnika. - Mam pełne upoważnienie od Najwyższej Rady Demonów.

Na młodym demonie nie zrobiło to szczególnego wrażenia.

- Doprawdy? - zapytał.

Azzie okazał swoją czarną kartę kredytową.

- Czy to prawda, co on mówi? - zwrócił się urzędnik bezpośrednio do karty.

„PRAWDA” - błysnęła w odpowiedzi.

- Dobra - rzekł demon. - Cóż zatem możemy zrobić dla ciebie Panie Gruba Rybo?

Azzie poczuł się urażony jego zachowaniem, ale uznał na razie, że nie czas na wyciąganie z tego konsekwencji.

- Przede wszystkim potrzebuje dwóch solidnych zamków - rzekł. - Wiem, że to niemało, ale są mi

niezbędnie konieczne.

- Tylko dwa zamki, co? - demoniczny młodzian w golfowej czapce patrzył na niego nieprzychylnie. - Przypuszczam, że z całego twojego planu będzie guzik, jeżeli ich nie dostaniesz?

- Zgadza się.

- W takim razie przygotuj się na wielką klęskę, bracie, mamy bowiem na składzie tylko jeden zamek, a i to w formie szczątkowej, bo chociaż ma prawdziwy mur obronny i barbakan, to reszta stanowi myślowy twór trzymający się kupy wyłącznie dzięki starym magicznym zakleciom.

- Zabawne - stwierdził Azzie. - Sądziłem, że Zaopatrzenie dysponuje niezliczoną ilością zamków.

- Tak było dawno temu, ostatnio sprawy uległy zmianie - możliwości zostały zawężone. Sprawa to wszystkim wiele kłopotu, ale tak jest ciekawiej. A przynajmniej tak głosi teoria Mocy Szatanskich związanych z Zaopatrzeniem.

- Nigdy o tym nie słyszałem - zaprotestował Azzie.

- Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz?

- Gdybym wiedział - odparł urzędnik pytaniem - czy tkwiłbym na tej marnej posiadłości, żeby mówić facetom takim jak ty, że mogą dostać tylko jeden zamek?

- No, dobra - zdecydował się Azzie. - Biorę ten, który macie.

Urzędnik nagryzmolił coś na arkuszu pergaminu.

- Musisz go wziąć w takim stanie, w jakim się znajduje. Nie mamy czasu, aby go załatać.

- Co z nim jest nie w porządku?

- Mówiłem ci o spajających go magicznych zakleciach. Nie ma ich dostatecznie dużo, więc niektóre części budowli znikają okresowo.

- Które partie? - chciał wiedzieć Azzie.

- To zależy od pogody - wyjaśnił tamten. - Ponieważ zamek stoi dzięki zakleciom suchej aury, długie okresy deszczu piekielnie źle wpływają na jego kondycję.

- Czy nie ma jakiegoś planu, który precyzowałby, jakie jego fragmenty znikają w określonych warunkach?

- Oczywiście, istnieje taki harmonogram - zgodził się młody demon - ale jest z gruntu przestarzały i tylko głupiec dalby mu wiary.

- Mimo wszystko chce go mieć - powiedział Azzie; zawsze miał dużo szacunku dla wszelkich gryzmołów na pergaminie.

- Gdzie mam go ułożyć? - zapytał urzędnik.

- Chwila moment - powstrzymał go Azzie. - To się nie uda. Ja naprawdę muszę mieć dwa zamki. W mojej sztuce występuje dwoje różnych ludzi - mężczyzna musi wyruszyć ze swego gniazda rodzinnego, aby dostać się do drugiego, w którym mieszka kobieta, jego ukochana; albo tylko tak mu się wydaje. Naprawdę muszę mieć dwa zamki!

- A może jeden zamek i jeden bardzo duży dom?

- Nie, to by było zupełnie niezgodne z duchem przedstawienia.

Poradz sobie jakos z jednym zamkiem - zasugerował urzędnik. - Możesz go przecież odmienić. To można bardzo łatwo zrobić, zwłaszcza kiedy rozmaite komnaty ciągle znikają.

- Myślę, że będę musiał tak postąpić - westchnął Azzie. Albo jeden z nich zastąpię moim pałacem. Kiedy możesz mi go przysłać?

- Och, dla ciebie zaraz się do tego wezmę - powiedział urzędnik głosem, z którego wynikało jasno, iż Azzie nie zobaczy swego zamku, zanim Piekło nie zamrznie.

Azzie zrozumiał ten ton i stuknął w blat biurka czarna karta kredytowa.

„ZRÓB, CO CI KAZANO! I TO SZYBKO!” - błysnął napis.

- W porządku - zgodził się urzędnik. - Ja tylko żartowałem. Gdzie mam dostarczyć te kupe gruzów?

- Znasz obszar na Ziemi, który nazywają Transylwania?

- Nie martw się, znajdzie to miejsce.

- A wiesz może także, gdzie mógłbym dostać dobrą, ludzką, męską głowę?

Urzędnik tylko się roześmiał.

I tak Azzie opuścił Zaopatrzenie i powrócił na Ziemię, gdzie w tym czasie minął niemal tydzień. Dotarł do Chateau des Artes i od razu zdenerwował się, że nigdzie nie ma Frike'a. Wyszedł z domu, zamierzał udać się konno do Augsburga, by tam poszukać swego sługi. Wpadłszy z hałasem do urzędu Estela Castelbrachta, zapytał wprost, czy ten nie widział Frike'a; w tej sprawie nie musiał bawić się w subtelności.

- Istotnie, spotkałem go - odparł burmistrz. - Szedł ulicą, zmierzając szybkim krokiem do domu doktora Albertusa. O, tam! Słyszałem, jak mrucał coś pod nosem o czyjejs głowie.

- Wielkie dzięki - odparł Azzie, wsuwając mu w dłoń monetę, jak to miał we zwyczaju wobec osób urzędowych, kiedy tylko było go na to stać.

Rozdział ósmy

Dom doktora wznosił się na końcu malej uliczki zamkniętej murami miejskimi. Stal w odosobnieniu, wysoki, wąski, stary, o kamiennym parterze, a wyższych kondygnacjach z ciosanego drewna. Azzie wspiął się po schodach i zastukał duża kolatką z brązu.

- Kto tam? - doleciał głos z wewnątrz.

- Ktos, kto prosi o informacje - odparł Azzie. Drzwi stały otworem. Za nimi ukazał się wysoki starszy pan o zupełnie białych włosach i ubrany w piękną rzymską tunikę, mimo iż taki strój wyszedł z mody przed kilkuset laty. Był przygarbiony i chodząc, podpierał się laską.

- Lord Azzie, jak sadzę - powiedział.

- W rzeczy samej - potwierdził Azzie. - Powiedziano mi, iż znajduje tutaj swego słuzącego, niejakiego Frike'a.

- Ach, Frike'a, naturalnie - rzekł starszy pan. - Proszę tedy. Przy okazji - jestem Mistrz Albertus.

Poprowadził Azziego do mrocznego wnętrza przez zagracony pokój i zaniedbaną kuchnię wraz ze służówką, aż do przyjemnego saloniku na tyłach. Przy kominku stał Frike, uśmiechając się na widok wchodzącego Azziego.

- Frike! - zawołał Azzie. - Myślałem, że porzuciłeś służbę u mnie!

- Nie, panie. Nawet mi to w głowie nie postalo. Podczas pańskiej nieobecności wybrałem się do tutejszej tawerny, by znaleźć godną siebie kompanię i napić się tego mocnego czerwonego wina, które daje ludziom z tych stron ową dziką waleczność. Tam spotkałem tego dzentelmena, Mistrza Albertusa, u którego byłem na służbie, kiedy terminowałem w Salerno.

- Tak było istotnie - potwierdził Albertus, mrugając oczami. - Znam tego lotra bardzo dobrze, lordzie Azzie. Ogromnie się ucieszyłem, słysząc, iż miał szczęście zasłużyć na pańskie łaski. Przyprowadziłem go tutaj, aby pomóc mu w sprawie, jaka dla pana załatwia.

- Ścisłe mówiąc, to jaka kwestie ma pan na myśli? - zapytał Azzie.

- No cóż, lordzie. Wydaje mi się, iż potrzebuje pan kilku pierwszorzędnych gatunku organów ludzkiego ciała. A tak się właśnie szczęśliwie składa, iż w swoim laboratorium mam wyborowy egzemplarz.

- Czy jest pan lekarzem? - zapytał Azzie. Albertus potrząsnął swą białowłosą głową.

- Alchemikiem, milordzie. Ludzkie szczatki często bywają przydatne w moim zawodzie. Jeżeli pójdzie pan tedy...

Azzie szedł za wiekowym dzentelmenem, a na końcu postępował Frike. Poprzez hall dotarli do okratowanych drzwi. Albertus otworzył je kluczem wiszącym na jego szyi na rzemieniu, po czym wszyscy troje zeszli po kretych schodach do piwnicy, gdzie znajdowało się dobrze wyposażone

laboratorium alchemiczne. Albertus zapalił stara lampę oliwna, w której blasku ukazały się zastawione alembikami i kolbami stoly; mur zdobila pochodzaca z Indii mapa przedstawiajaca rozmieszczenie czakramów, a na ciagnacej sie wzdłuż jednej sciany półce spoczywały zmumifikowane czesci ludzkiego ciała.

- Przyjemne miejsce - skomentował Azzie, rozgladając sie. - Moje gratulacje, doktorze. Jednak te okazy sa bardzo stare, maja wartosc antykwaryczna - do mojego zadania nie nadaja sie.

- To sa tylko zbedne egzemplarze - odparł Albertus. - Prosze popatrzec tutaj i samemu ocenic.

Podszedł do malej kadzi stojacej z boku na stole i wyjął z niej ludzka głowe ucieta równo przy samej szyi. Twarz byla mloda, smiertelnie blada, ale nadal przystojna, mimo ze zamiast oczu czerwienialy jedynie puste otwory.

- Jaka smiercia umarł? - chciał wiedziec Azzie. - I co stalo sie z jego oczami?

- Miał nieszczęście stracic je, milordzie.

- Przed czy po smierci?

- Przed, ale tylko chwile wczesniej.

- Prosze mi o tym opowiedziec.

- Z wielka przyjemnoscia - odparł Albertus. - Ten facet nazywał sie Filip; mieszkal w miasteczku niedaleko stad. Był bardzo urodziwy - o wiele bardziej, nizli to przystoi mlodemu człowiekowi. Wszystko w zyciu przychodzilo mu nieslychaniem latwo, a im wiecej oden dostawał, tym wiecej chciał, bedac coraz bardziej niezadowolonym. Pewnego razu ujrzal Mirande, córke miejscowego bogacza. Miała wówczas zaledwie pietnascie lat, a byla już sliczna jak marzenie - jak jutrzienka ponad górami. Delikatna i niewinna, miała zamiar spedzic zycie w absolutnej czystosci, spelniając wylacznie dobre uczynki.

Ujrzawszy ja, Filip zaplonal ku niej miloscia, i chociaz mówiono powszechnie, ze jest tchórzem, postanowil ja zdobyc. Pewnego dnia wspial sie na mur otaczający domostwo jej ojca i wszedł do pokoju, w którym ubijala masło, by z nia porozmawiac. Miranda byla do tej pory chowana w odosobnieniu i nigdy dotad nie widziala mlodego mezczyzny - wszyscy w domu ojca byli starzy, z wyjątkiem jej trzech braci, którzy permanentnie przebywali gdzies daleko, walczac w rozmaitych wojnach.

Filip zwiódl ja przy pomocy slodkich słówek i rozczulajacych opowiesci o swych wydumanych nieszczęsciach. Dziewczyna miała miekkie serce i ogromnie wzruszyła sie, slyszac o jego chorobie i bliskiej smierci. On sam sadzil, ze jest to kłamstwo, ale nigdy w zyciu nie był bliższy prawdy! W pewnym momencie udal, ze zrobilo mu sie slabo, wiec pozwolila mu, aby objal ja ramieniem i wsparł sie na niej. Dotkneli sie; i tak to poszło.

To historia, jakie niestety czesto sie slyszy. Krótko mówiac, uwiódl ja, a ona z nim uciekla, bo przysiegal, iz bedzie sie nia opiekowal; ale kiedy tylko znaleźli sie w pierwszym duzym miescie, Civalle w Prowansji, Filip porzucil ja i ruszył własna droga.

Opuszczona, znalazła sie w rozpaczliwej sytuacji, dopóki nie została modelka malarza Chodlosa. Zyla z nim przez jakis czas jako jego kochanka i bylo im razem dobrze. Chodlos, wielki mezczyzna o

niedzwiedziej posturze, nie był człowiekiem silnym; zawsze wesoly, lubił zaglądać do kieliszka. Malował swoją słynną Magdalene, a Miranda mu pozowała. Mógł zostać naprawdę wielkim artystą, ale nim minął rok, zginał z głową rozbity w jakiejś karczemnej awanturze.

Miranda była zrozpaczona, bo kochała szczerze malarza. Wierzyście Chodłosa zabrali wszystkie meble i obrazy, a sama Mirandę wyrzucili z mieszkania. Nie miała ani pieniędzy, ani dokąd pójść. W końcu, na skraju śmierci głodowej, zaczęła pracować w burdelu. Jej nieszczęściom nie było jednak końca - pewnej nocy do zamtuza zawital szaleniec. Nikt nie wie dokładnie, co się pomiędzy tą dwójką wydarzyło, ale zanim ktokolwiek zdolał go powstrzymać, wylupił dziewczynie oczy, a potem poderżnął jej gardło.

Dowiedziawszy się o tym wszystkim, jej trzech bracia, Ansel, Chor i Hald, przybyli do miasta, by szukać pomsty. Szaleniec nie żył już, rozerwany na strzępy przez tłum. Znaleźli za to Filipa pijacego w tawernie z nową flama. Przegięli go w tył przez stół i powiedzieli, że musi umrzeć śmiercią Mirandy. Po czym wylupili mu oczy i poderżnęli gardło. Taka jest historia głowy, która tutaj widzisz, milordzie.

- Piękna głowa - stwierdził Azzie, podnosząc czerep i wpatrując się w jego oczodoly. - Teraz jeszcze potrzebna mi jest kobieca główka, która byłaby odpowiednia do pary. Ta Miranda. Zabił ją szaleniec, tak? Mistrzu Albertusie, czy wiesz, co się stało z ciałem dziewczyny? A szczególnie z jej głową?

- Niestety, nie.

- I tak bardzo mi pan pomógł - powiedział Azzie. - Jaka jest cena tego egzemplarza?

Prima

Rozdział pierwszy

Panie, zechciej spojrzeć na to. Była to już czwarta głowa, jaką Frike przyniósł w tym tygodniu. Ta ostatnia miała ciemne warkocze i wyglądała wcale dobrze, zwłaszcza gdyby poprawić nieco jej nos, do którego dobrały się już robaki.

- Nie, Frike, to do niczego - westchnął Azzie i odwrócił się.

- Ale dlaczego, milordzie? Ona jest doskonała.

- Jest tylko jedna, którą można uznać za doskonałość.

- Jaka, panie?

- Idealna partnerka dla naszego królewicza może być tylko Miranda, dziewczyna uwiedziona przez Filipa.

- Ale nie mamy pojęcia, gdzie jej szukać!

- Jeszcze nie - Azzie wstał. - Ale znajdziemy ją.

- Do tej pory jej głowa prawdopodobnie uległa już zepsuciu - zaprotestował Frike.

- Tego nigdy nie można wiedzieć na pewno. Jeżeli jakimś cudem jej twarz nie jest zniszczona, ona będzie moja Królowa w szykowanej przez mnie szaradzie.

- Milordzie, nie mamy żadnych wskazówek co do miejsca jej pobytu.

- Zaczniemy poszukiwania w Civalle, gdzie zmarła. Prawdopodobnie tam jest pochowana.

- To strata czasu. Tak czy owak pozostało go zbyt mało do rozpoczęcia Zawodów; wiele natomiast do zrobienia.

- Przygotuj konie, Frike. Jestem specem w takich sprawach. Muszę mieć głowę Mirandy dla mojego Księcia!

- Rozumiem, że miała barwną historię, ale dlaczego właśnie ona?

- Nie pojmujesz tego, Frike? To dodaje pikanterii, elegancji i szarmu mojemu planowi. Połączymy ponownie, już po śmierci, tych samych kochanków. Ich świadoma pamięć nie będzie wówczas oczywiście istnieć, ale coś się im tam będzie w lepetynach kolatało. Coś, co pozwoli dać niezwykle zakończenie mojej nowej wersji baśni o Śpiącej Królownie. Musimy znaleźć jej ciało i ufajmy, że z jej twarzy jest wszystko w porządku! Idź, przygotuj konie.

Frike osiedlał wierzchowce i wyruszyli w drogę do Civalle w południowej Prowansji. Był koniec czerwca i podróż upływała wyjątkowo przyjemnie. Frike miał, co prawda, nadzieję, że Azzie użyje do tej eskapady nadprzyrodzonych środków transportu, ale demon stwierdził, iż odległość jest zbyt mała i nie warto babrać się w lokomocyjnych zakłeciach.

Przybyli do Civalle, sympatycznego, południowego miasta w pobliżu Nicei. Dzięki opisowi Albertusa bez trudu znaleźli zamtuż, w którym zamordowano Mirandę. Madame powiedziała Azziemu, iż ciało dziewczyny zabrali jej bracia, ale nikt nie wie dokąd. Azzie wynagrodził ją hojnie za informacje i zapytał, czy nie zostały jakieś ubrania po jej lokatorce. Burdelmama znalazła starą koszulę i sprzedała mu ją za dwa złote sody. Azzie zapłacił, jakkolwiek nie miał pewności, czy ta szmata jest autentyczna. Kiedy opuścili progi domu publicznego, Frike zapytał:

- I co teraz, panie?

- Zobaczysz w swoim czasie.

Wyjechali z miasta i dotarli do lasu. Po dłuższej wędrowce zatrzymali się na popas. Zjedli obiad składający się z pasztetu mięsnego i gotowanych porów. Na polecenie Azziego Frike rozpalil ogień. Gdy

jego płomienie wystrzelily wysoko, Azzie wyjal z zanadrza niewielki flakonik, w którym przechowywał magiczną substancję. Wylal na skwierczące polana jedną kroplę ciemnego płynu. Ogień buchnal jeszcze wyżej i Frike cofnal się przestraszony.

- Uwazaj - powiedzial Azzie - bo jest to wielce pouczajace. Moze slyszales o bajecznych psach gonczych dawnych bogów? Dzisiaj mamy juz cos lepszego.

Gdy płomienie opadly, do ich obozowiska przylecialy trzy duże ptaki i usiadly obok Azziego. Byly to kruki o malych, zlowrogich oczach.

- Mam nadzieje, ze dobrze sie wam dzieje - zagail Azzie.

- Wszystko w porzadku, lordzie Azzie - odparlo jedno ptaszysko.

- Poznajcie mego sluzacego. Frike, przedstawiam ci Morriganów. Sa to nadprzyrodzone irlandzkie ptaki, a nazywaja sie Babd, Macha i Nemain.

- Bardzo mi milo - powiedzial Frike, trzymajac sie z dala, bo kruki spogladaly nan badawczo i dziko.

- Czy mozemy sluzyc waszej lordowskiej mosci? - zapytal Macha.

Azzie wyciagnal koszule Mirandy.

- Znajdz kobiete - rzekl - która ostatnio ja nosila. Nawiasem mówiac, w tej chwili jest martwa.

Babd powachal koszule.

- Nie musial pan tego dodawac - stwierdzil.

- Zapomnialem, jak szeroki jest zakres waszych umiejetnosci. Leccie, niezrównane ptaki! Odszukajcie jej cialo.

- Mozemy byc spokojni - powiedzial Azzie do Frike'a, gdy ptaszyska odlecialy. - To moze potrwać, ale znajda ja bez pudla.

- Nigdy w to nie watpilem - przyznal Frike.

Zjedli jeszcze nieco pasztetu i porów. Gwarzyli o pogodzie oraz o tym, jaki charakter bedzie mialo wystapienie Dobra w milenijnym konkursie. Dzień uplywal. Brazowo-niebieskie niebo Prowansji wygladalo niczym olbrzymia kopula emitujaca cieplo i swiatlo sloneczne. Zjedli jeszcze troche porów. W tym momencie powrócil kruk przedstawiajacy sie jako Nemain. Zakolowal dwa razy nad ich glowami, a potem usiadl Azziemu na nadgarstku.

- Co znalazles? - zapytal demon.

Nemain nastroszyl pióra na glowie, a potem cichym glosem powiedzial:

- Sadze, ze znalezlismy to, czego szukales.

- Gdzie ona jest?

Przyfrunely dwa inne kruki. Jeden wyladowal na glowie Azziego, a drugi na ramieniu Frike'a. Odezwal sie najstarszy z nich, Macha.

- Tak, to na pewno jest ta kobieta; zapach nie pozostawia zadnych watpliwosci.

- Nie zyje, jak sadze?

- Oczywiscie, ze nie - odparl Macha. - Taka ja chciales, prawda? A nawet gdyby, zawsze mógłbys, lordzie Azzie, kazac ja zabic.

Azzie nie trudzil sie wyjasnianiem, iz istnialy przepisy zabraniajace podobnego procederu.

- Gdzie ja znajde?

- Niech pan jedzie jeszcze pare mil ta droga, milordzie, a dotrze pan do miasta. Jej cialo znajduje sie w drugim domu po lewej stronie ulicy.

- Dzieki, zlowieszczy ptaku.

Macha kiwnal glowa, a potem wzniosl sie w powietrze; dwa inne ptaszyska podazyly za nim, znikajac po chwili w oddali. Azzie i Frike dosiedli koni, ruszajac dalej na poludnie. Posuwali sie stara, rzymska droga, ciagnaca sie przez cala poludniowa Europe, az do warownego miasta Carcassonne; trakt byl w duzo lepszym stanie niz caly szereg innych, jakimi do tej pory podrzowali. Jechali w milczeniu, az po jakimis czasie dotarli do dosyc sporego miasteczka. Azzie poslal Frike'a przodem, aby znalazl jakas kwatere, a sam zajal sie sprawa glowy Mirandy. Poszedl do domu wskazanego przez kruki, który byl najwiekszym domostwem przy tej uliczce - mrocznym i sprawiajacy przygniebajacy widok ze wzgledu na swe waskie okna i dziurawy dach.

Zapukal do drzwi. Nikt sie nie odezwal. Nacisnal klamke. Drzwi stanely otworem i Azzie wszedl do hallu. Bylo tam prawie zupełnie ciemno i tylko troche swiatla wpadalo poprzez szpary w suficie; mocno pachnialo winem. Nagle wyczul jakies niebezpieczenstwo, ale bylo juz za późno. Wpadl do dziury w podlodze i ciezko wyladowal w pomieszczeniu nizej. Kiedy minelo oszolomienie spowodowane upadkiem, Azzie usiadl, by przekonac sie, ze tkwi we wnetrzu butelki.

Byla to szklana flaszka z szeroka szyjka, jakich w owych czasach nie widywalo sie juz wiele, dostatecznie duza, by pomiescic w swym wnetrzu srednich rozmiarów demona - w sam raz takiego, jak Azzie. Wciaz jeszcze nieco otumaniony slyszal docierajacy don jakis halas, ale nie wiedzial, co by to moglo byc takiego, zanim nie otrzasnal sie do konca i nie zobaczyl, iz butla zostala zakorkowana drewnianym czopem. Oprzytomnial momentalnie. Co on, do diaska, robi w butelce? Przez zielone szklo swego wiezienia widzial pomieszczenie oswietlone wieloma swiecami. Trzech mezczyzn o wygladzie tegich gburów stalo wokół stolika, sprzeczajac sie o cos. Azzie zapukal w szklo, aby zwrócić na siebie ich uwage.

Obejrzeli sie. Jeden z nich, o najbardziej niesympatycznej powierzchownosci, podszedl blizej i przemówil do niego; poniewaz jednak butla byla szczelnie zakorkowana, do Azziego nie dolecial ani jeden dzwiek. Zasygnalizowal to opryszkowi, wskazujac na swoje ucho i potraszajac glowa. Kiedy prymityw zrozumial, o co chodzi, powiedzial to innym i klótnia pomiedzy nimi rozgorzala na nowo, tym razem jeszcze bardziej zaciekla. Wreszcie nowi wlasciciele Azziego podjeli decyzje i ten pierwszy wspial sie po drabinie przystawionej do boku flaszki, by obluzowac nieco czop.

- Teraz mozesz slyszec - powiedzial - ale nie próbuj zadnych numerów, bo inaczej wetkniemy korek i

pójdziemy sobie, zostawiając cię tutaj na zawsze.

Azzie nie drgnął nawet. Uważał, że ma całkiem spore szanse na wypchnięcie zatyczki, zanim tamci zdolaliby ją wbic z powrotem, ale był ciekaw, co takie trzy indywidualności mają mu do powiedzenia.

- Przyszedłeś po czarownicę, no nie? - zapytało jedno z nich.

- Byłoby łatwiej nam rozmawiać - odparł Azzie - gdybym poznał wasze imiona.

- To jest Ansel, to Chor, a ja jestem Hald. Jesteśmy braćmi, a niezwykła czarownica Miranda była naszą siostrą.

- Ach, tak - mruknął Azzie. - A gdzie ona jest?

- Mam ją tu blisko. Zabezpieczyliśmy jej ciało lodem.

- Kupionym bardzo drogo - przypomniał mu Ansel.

- Mam nadzieję odzyskać poniesione nakłady. A to dopiero początek naszych zadań.

- Wolnego! - zaprotestował Azzie. - Na jakiej podstawie sadzicie, że ta wasza siostra-czarownica przedstawia jakąkolwiek wartość?

- Lekarz nam powiedział.

- Jaki lekarz?

- Stary doktor Parvenu. Jest on także miejscowym alchemikiem. Kiedy ten świr zabił Mirandę, a my zabraliśmy jej ciało do domu, od razu pomyśleliśmy, że trzeba nam się poradzić doktora Parvenu, będącego specem w tych sprawach. Oczywiście, było to już po zabiciu Filipa.

- Tak, wiem o losie jej uwodziciela - przyznał Azzie. - I cóż poradził wam nieoceniony doktor Parvenu?

- Stwierdził, że powinniśmy zachować jej głowę.

- A to w jakim celu?

- Sadził, że jej piękność z pewnością skusi jakiegoś demona.

Azzie nie widział potrzeby wyjaśniania tym facetom, co zamierza uczynić z głową ich siostry. Czuł się całkiem swobodnie; demony bardzo wcześnie uczą się, jak sobie radzić z pułapką w postaci butelki, a ci goście nie wyglądali na zbyt przebiegłych ani mądrych...

- A ten szaleniec, który ją zabił. Nie wiecie czasem, kto to był?

- Słyszeliśmy, że nazywał się Armand. Żaden z nas nigdy nie widział go na oczy, bo kiedy przyszliśmy do zamtużu, już nie żył. Gdy ludzie dowiedzieli się, co uczynił Mirandzie, rozerwali go na strzępy.

- A teraz chcielibyście sprzedać głowę waszej własnej siostry, co?

- Oczywiście! Ona była dziwka! Cóż za różnica, co zrobimy z jej głową?

- Sadze, ze mógłbym wam dac za nia kilka sztuk zlota - powiedzial Azzie. - O ile jej rysy nie sa zniekształcone.

- Ani troche - odparl Ansel. - Wyglada równie dobrze jak za zycia. Moze nawet lepiej, jezeli ktos gustuje w tak zwanych omdlewajacych pieknościach.

- Chcialbym ja zobaczyc, zanim zaplace.

- Prosze bardzo, ale z butelki, jesli laska.

- Oczywiscie - zgodzil sie Azzie. - Pokazcie ja. Ansel polecil braciom, aby przyniesli glowe Mirandy. Chor i Hald pobiegli w glab piwnicy i wkrótce wrócili, niosac jakis przedmiot. Zanim zaprezentowali zdobycz, Ansel wytarl ja swoja koszula, usuwajac kryształki lodu.

Azzie stwierdzil, ze nawet po smierci Miranda byla sliczna. Szerokie, pelne usta miala lekko rozchylone, a jasnopopielate wlosy przylegaly do jej czola. Zapomniana kropla rosy polyskiwala na policzku... Instynkt nie zmylil go - byla ta, której potrzebował.

- No, jak myslisz? - zapytal Ansel.

- Moze byc - odparl Azzie. - Wypuscacie mnie te raz, to dobijemy targu.

- A co bys powiedzial, gdybysmy zazadali najpierw spelnienia trzech zyczen? - chcial wiedziec Ansel.

- Nie.

- Tylko tyle? Zwyczajnie „nie”?

- Tylko tyle.

- Zadnej alternatywnej propozycji?

- Nie, dopóki trzymacie mnie w tej butli.

- Jezeli jednak cie uwolnimy, nie bedziemy mieli do statecznych srodków nacisku.

- Sluszenie - zgodzil sie Azzie.

- Na takie *dictum* Ansel i jego bracia odbyli szeptana narade. Potem Ansel powrócił.

- Oni twierdza, ze znamy magiczne slowa, które moga bardzo obrzydzic ci zycie.

- Naprawde znacie? - zainteresowal sie Azzie.

- Naprawde.

- No, to wyrecytujcie mi kawalek.

Trzej bracia poczeli cos zawodzic monotownie.

- Wybaczcie, kochani - uznał za stosowne wtrącić się Azzie - ale zdaje mi się, że niektóre słowa są trochę nie w porządku. Powinnicie mówić *fantago*, a nie *fantrago*. Subtelna różnica, ale jednak jest. Gdy chodzi o magiczne zaklęcia, to wymowa jest wszystkim.

- No, dobra - skapitulował Ansel. - Spełnij nam kilka życzeń. Co to jest dla ciebie?

- Wiem, zdaje się wam, iż demony mają do swojej dyspozycji wszelkie tajemne moce. Ale poza wszystkim, to wcale nie znaczy, że muszę ich używać.

- A co powiesz na to, gdybysmy cię nie wypuscili? Jak by ci się podobało siedzieć całe lata w butelce?

Azzie uśmiechnął się.

- Zastanawialiście się kiedyś, co się dzieje, gdy demon i ludzie, którzy go uwięzili, nie mogą dojść do porozumienia w kwestii okupu? Stare podania nie precyzują tego, prawda? Badzcie rozsadni, myślicie, że nie mam żadnych przyjaciół? Wcześniej czy później zauważa moje zniknięcie i zaczyna mnie szukać. A kiedy znajdzie mnie waszym więźniem... no, możecie sobie wyobrazić, co się będzie wówczas działo!

Ansel przemyślał to sobie i nie był wcale zadowolony z wniosku, do jakiego doszedł na drodze dedukcji.

- Dlaczego mieliby nam coś zrobić? - zapytał jednak na wszelki wypadek. - Przepisy magii pozwalają na łapanie demonów w pułapkę. Złapaliśmy cię, przestrzegając wszelkich reguł rzemiosła.

Azzie zaśmiał się; był to przerażający śmiech, jaki wycwiczył sobie na takie właśnie okazje.

- Cóż wy, kmiotki, wiecie o przepisach magii?! Ze nie wspomnę już o prawach rządzących zachowaniem istot nadprzyrodzonych? Byłoby dla was z całą pewnością lepiej, gdybyście ograniczyli swe poczynania do świata ludzi. Jeżeli raz przekroczycie jego granice, nigdy nie będziecie pewni tego, co może się stać.

Teraz już Ansel trząsł się ze strachu, a jego dwaj bracia wyglądali na gotowych do ucieczki.

- Wielki demonie - wystękał najstarszy z trójki. - Nie chciałem ci się naprzykrzać. Wszystko dlatego, iż Parvenu twierdził, że to będzie dziecinnie proste. Co chcesz, żebyśmy učinili?

- Odkorkujcie butelkę.

Ansel wraz z braćmi wyciągnął czop. Azzie z ulgą wylazł z flaszki i wyregulował swój wzrost tak, by być mniej więcej o półtorej stopy wyższym od Ansel, najstarszego z braci.

- A teraz, moje dzieci - powiedział Azzie - pierwszą rzeczą, jaką powinnicie wiedzieć o obchodzeniu się z istotami spoza waszego świata, jest to, że one zawsze wezmą nad wami górę, choćby okoliczności zdawały się wskazywać na coś wręcz przeciwnego. Nie próbujcie zatem płacić mi żadnych figli ani oszukiwać mnie. Zwróćcie uwagę, z jaką łatwością przystalście na otwarcie butelki w sytuacji, kiedy byłem absolutnie bezradny.

Bracia wymienili pomiędzy sobą wiele mówiących spojrzeń. Po chwili Ansel nie wytrzymał:

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że byłeś zupełnie na naszej łasce i nielasce?

- Calkowicie - potwierdzil Azzie.

- I ze byles bezbronnym wiezniem? - drazyl dalej Ansel.

- Jak najbardziej.

- Wystrychnal nas na dudków - zauwazyl wreszcie inny z trójki lowców demonów, kiwajac smutno glowa.

Nastapila nowa wymiana spojrzeń. Ansel odchrzaknal.

- Wiesz, wielki demonie - powiedzial - sadze, ze przy swoim obecnym wzroscie nie mógłbys w zaden sposób zmiescic sie do tej flaszki. Przypuszczam, ze wasza ekscelencja nie bylaby w stanie tego dokonac, nawet gdyby bardzo chciala.

- Chcialbys, zebym spróbowal; czy o to chodzi?

- Wcale nie - wycofal sie pospiesznie Ansel. - Jesteśmy calkowicie na panskie rozkazy. Pragnalem jedynie, aby pan udowodnil, ze potrafi to zrobic. To wszystko.

- Gdybym cie posluchal - odparl Azzie - czy po stapilibyscie ze mna fair i nie zamkneli butelki?

- Oczywiscie, panie.

- Przysiaglbys?

- Na ma niesmiertelna dusze - odparl Ansel z przekonaniem.

- A twoi bracia?

- My tez przysiegamy - odpowiedzieli chórem.

- W takim razie dobra. Przyjrzyjcie sie.

Azzie poczal sie wciskac do butelki i tak manewrowal swym ciałem, aby dokladnie dopasowac sie do jej wnetrza. A gdy juz wlazl caly, bracia wbili korek! Azzie popatrzył na nich.

- Przestancie robic mnie w konia i otwórzcie butelke!

Lowcy demonów zachichotali; Ansel skinal na braci, którzy wyjeli z podlogi ciezka plyte, odslanjajac kamienna studnie. Daleko w dole slychac bylo slaby plusk wody.

- Dowiedz sie, pokrako - powiedzial Ansel - ze stracimy cie razem z butla do studni, po czym zakryjemy ja, a na pokrywie wymalujemy trupia czaszke ze skrzyzowanymi piszczelami - znak, ze woda jest zatruta. Twoi kumple beda mieli sporo pracy, zanim cie odnajda.

- Zlamaliscie przysiege - zauwazyl Azzie.

- I co z tego? Nic na to nie mozesz poradzić!

- Wszystko, co moze zrobic, to opowiedziec wam pewna historie.

- Chodź, Ansel, wynosmy się stąd - powiedzieli dwaj pozostali bracia, ale tamten zaprotestował:

- Nie, wysłuchajmy go. Posmiejemy się, a potem sobie pójdziemy.

- Butelki na demony są w stałym użyciu od tysięcy lat - zaczął Azzie. - W rzeczy samej, pierwszy człowiek, który skonstruował ten przyrząd - nawiasem mówiąc Chinczyk - wykonał go z zamiarem schwytania jednego z nas. Starożytni Asyryjczycy i Hetyci trzymali swoje demony w glinianych garnkach, a niektóre afrykańskie plemiona używają do tego gesto plecionych koszy. Zdajemy sobie z tego wszystkiego sprawę, jak i z tego także, iż sposoby łapania demonów są różne w zależności od części świata - jak moda. W związku z tym w Europie demony zawsze noszą przy sobie to.

Azzie wyciągnął rękę. Na jego wskazującym szponie błyszczał wspaniały brylant.

- A tymczasem robimy tak.

To mówiąc, Azzie wygiął ramię w łuk, a krawędź kamienia przytknął do zielonkawego szkła swego wiezienia. Zakreślił zgrzytliwe koło, po czym stuknął w nie i pchnął. Szklany owal wypadł, a Azzie wygramolił się na zewnątrz. Ansel stał smiertelnie przerażony.

- Myszmy tylko żartowali, szefie! - powiedział. - Czyż nie tak, chłopcy?

- Jasne! - przytaknęli ochoczo „chłopcy”, uśmiechając się od ucha do ucha, podczas gdy rzesisty pot kapał z ich szczatkowych czółek.

- W takim razie spodoba się wam i mój dowcip - powiedział Azzie.

Strzepnął palcami i zamruczał coś pod nosem. Błysnęło, podniósł się obłok dymu, a kiedy się rozwił, oczom obecnych ukazał się bardzo mały demon w okularach w rogowej oprawie, który siedząc, pisał coś zawzięcie gestem piórem po pergaminie.

- Silenus - zwrócił się do niego Azzie - zapisz tych trzech na moje konto i zabierz ich. Sami skazali się na po tepienie.

Silenus przytaknął, machnął ręką i trójka lotrzyków zniknęła, jakby nigdy nie istnieli. W chwili później ulotnił się i skryba.

Jak to potem opowiedział Azzie Frike'owi, rodzinna banda stanowiła trzy najłatwiejsze dusze, jakim kiedykolwiek dopomógł w samopotepieniu - właściwie poddali się bez żadnego nacisku z jego strony.

Rozdział drugi

Och, panie, jak to dobrze być znowu w domu - rzekł Frike, cofając zasuwy frontowych drzwi wielkiego pałacu w Augsburgu.

- Tak, to miłe - potwierdził Azzie. - Brr! - wstrzasnął się, pocierając o siebie szpony. - Alez tu zimno! Jak tylko zabezpieczysz nasze trofea, musisz rozpalić wszędzie tego ogień.

Pomimo długotrwałego kontaktu z ogniem piekielnym, a może właśnie dlatego, demony lubią buzujące płomienie.

- Tak, panie. Dokąd je zanieść?

- Do laboratorium w piwnicy, oczywiście.

Frike wybiegł, żeby rozładować wóz. Znajdowały się na nim różne ludzkie szczątki nasączone ichorem, krwią bogów. Jeżeli szacunki Azziego były trafne, można z nich było stworzyć dwa kompletne ciała - jedno męskie i jedno żeńskie, które później okazały się Królową i Królewiczem. Prace nad nimi rozpoczęli następnego dnia. Okazało się, iż Frike bardzo dobrze radzi sobie z igłą i nitką. Pozszywał Księcia tak zgrabnie, jak najbieglejszy krawiec męski. Szwy i ślady ściegów były oczywiście widoczne, lecz Azziego zadowalał dotychczasowy efekt i powiedział słuzacemu, by się tym nie przejmował; gdy tylko ciała zostaną reanimowane, owe dowody powtórných narodzin znikną samorzutnie.

To były przyjemne, domowe wieczory; podczas nich Azzie sadowił się w kącie laboratorium ze swoim egzemplarzem „Sekretów Króla Salomona”, które zawsze zamierzał przeczytać, ale jakos nigdy do tej pory nie znajdował na to czasu. Teraz miło było tak siedzieć w pracowni, wśród zapachów alkoholu metylowego, nafty, siarki, amoniaku oraz snujących się pomiędzy nimi bogatych, złożonych w swej naturze aromatów przypalonego i zepsutego ciała; siedzieć tam z otwartą na kolanach książką i od czasu do czasu odrywać wzrok od jej kart, aby popatrzeć na starego Frike’a migającego pilnie malenka stalowa igła, czy też na jego garbaty cień rozdęty na ścianie przez przycmione światła do monstualnych rozmiarów.

Igła, która posługiwał się Frike, została dla Azziego wykuta przez Ruuda, najmniejszego i najsprytniejszego skrzata Europy Środkowej; nici zaś splecione były z najdelikatniejszego jedwabiu z Taprobane - cienkie niczym pajęczyna i tak przezroczyste, iż po przeszyciu nimi brzegów otwartej rany oddzielającej ramię od barku miało się wrażenie, jakby owe części spajał jakiś magnes czy magia. Jedyny czar w tym wypadku stanowiła malenka igła Frike’a, pozostawiająca za sobą mikroskopijne dziurki i formująca, kawałek po kawałku, ze sterty organów ułożonych schludnie na podkładzie z lodu po jego lewej stronie całego, dorodnego mężczyzny.

Frike był sumiennym pracownikiem, wymagał jednak nadzoru. Nie raz zdarzało mu się umieszczać ręce w miejscu nóg - albo z powodu słabego wzroku, albo perwersyjnego poczucia humoru. Kiedy jednak do tułowia Królowy przyszył głowę Księcia, Azzie uznał, że to już nie jest zabawne.

- Skoncz natychmiast z tymi błazenstwami - powiedział - albo wsadzę cię do Otchłani, gdzie przez kilkaset lat będziesz budował skały z ziarenek piasku, zanim nie nabierzesz rozumu!

- Przepraszam, panie - odparł na to Frike, i od tej pory pracował już dokładnie i poprawnie.

I tak ciała nabrały kształtów. Oprócz nadal nie załatwionej sprawy oczu, poważny problem stanowiły złe dobrane ręce Królowy. To, że nie były jednakowej wielkości nie było tak ważne jak fakt, iż jedna była żółta, a druga biała. Na to nie można było pozwolić. Azzie wyrzucił żółtą dłoń i podjął krótką wyprawę do Schnachtsburskiego Centrum Medycznego. Tam, w sklepiku z nekrofilskimi pamiątkami, udało mu

sie nabyc dla Królowy dlon nalezaca wczesniej do kieszonkowca.

Wkrótce po powrocie Azzie otrzymał wiadomość z Sekcji Zaopatrzenia, iż zamówiony przez niego zamek gotowy jest do wysyłki na wskazane miejsce w Siedmiogrodzie; Azzie wyruszył tam natychmiast, kierując się ponad Alpami w stronę Niziny Węgierskiej. Pod nim, jak okiem sięgnąć, rozciągał się kontynent skąpany w soczystej zieleni. Bez trudu znalazł miejsce, jakie wybrał wcześniej dla swych celów, a które poznał po gaju wysokich, purpurowych drzew - jedynych tego rodzaju na świecie; przestały one istnieć, zanim współczesna wiedza mogła je określić jako botaniczną anomalie. Czekal tam na niego Merioneth, chudy, brzydki demon z Zaopatrzenia z cwikiem na nosie; w rękach trzymał zwój papieru przytwierdzony mosiężnymi cwiekami do wygładzonego kawałka drewna - prototypu clip-boardu.

- Azzie Elbub? - zapytał dla porządku.

- We własnej osobie - odparł Azzie. - Czy byłbym tutaj w innym wypadku?

- Mógłbys mieć jakies powody - skwitował Merioneth. - Masz jakis identyfikator?

- Azzie okazał czarna kartę kredytową z wytłoczonym na niej własnym imieniem i nazwiskiem.

- Nie ma na niej zdjęcia - zauważył Merioneth mimochodem - ale uznam ją mimo wszystko. Okay, gdzie chcesz postawić to zamczysko?

Azzie rozejrzał się dookoła. Teren, który wybrał uprzednio, wydał mu się teraz zbyt pofalowany; przyjrzał mu się krytycznie.

- Tam - zdecydował, wskazując miejsce Merionethowi.

- Na tym płaskim skrawku? - upewnił się tamten.

- Tak, ale najpierw muszę tam umieścić szklaną górę.

- Przepraszam - powiedział Merioneth - chyba nie dosłyszałem.

- Muszę mieć szklaną górę - powtórzył Azzie. - Zaczarowane zamki zwykle stoją na szczytach szklanych gór.

- Zwykle, może nawet często - zgodził się Merioneth - ale bynajmniej nie zawsze. Mogę przytoczyć na te okoliczności kilka tradycyjnych baśni...

- Ten zamek będzie stał na szczycie szklanej góry - powtórzył Azzie z mocą.

Merioneth zdjął pince-nez, przetarł go o własne szare futro i wcisnął z powrotem na nos. Otworzył teczkę z dobrze wygarbowanej ludzkiej skóry, której zamki stanowiły pozostałości ze starości zębów. Azzie przyglądał się jej z niemym podziwem, postanawiając sprawić sobie taką samą, gdy już będzie miał na to czas i wolną głowę. Merioneth przerzucił znajdujące się w niej wewnątrz papiery, wreszcie wyjął jeden arkusz i przeczytał go w milczeniu z zacisniętymi ustami.

- To jest twoje oryginalne zamówienie - skomentował. - Nie ma w nim ani słowa o żadnej górze - szklanej czy nie!

Azzie podszedł bliżej i przeczytał swoje pismo.

- Jest tu mowa o standardowym urządzeniu krajobrazu.

- Standard to nie szklana góra! - zaprotestował Merioneth. - Dlaczego nie umieścić zamku na jakimś istniejącym szczycie?

- Ona musi być ze szkła - upierał się Azzie. - A o ile wiem, takowe nie występują w przyrodzie!

- To może wygasły wulkan? - podsunął Merioneth. - Z grubą, grubasną warstwą obsydianu?

- Nie przejdzie - skrzywił się Azzie. - Odkąd ludzie zaczęli opowiadać sobie baśnie, szklane góry były klasycznym elementem baśniowego krajobrazu. Chyba macie jakąś w Zaopatrzeniu?

Merioneth z powatpiwaniem zacisnął usta.

- Może mamy, a może nie. Chodzi o to, że nie ma jej w zamówieniu.

- A nie można jej tam dopisać?

- Nie, teraz jest już za późno.

- Nie da się tego jakos załatwić?

- Co masz na myśli? - Merioneth stał się nagle czujny.

- Sam poniosę dodatkowe koszty. Mogę odbić je z karty kredytowej. To jak będzie?

Merioneth wzruszył ramionami.

- Nie o to chodzi - powiedział. - Zamówienie zostało już wypełnione i podpisane. Kropka.

Azzie rzucił okiem na dokument.

- Mógłbyś dopisać to tutaj - pokazał szponem - ponad podpisem. Jedna szklana góra i jeden zaczarowany las.

- Gdyby mój przełożony wykrył to kiedyś...

- Sprawie, żeby ci się to opłaciło - rzekł Azzie. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni swego płaszcza i wyjął mały irchowy woreczek, w którym przechowywał kosztowności. Były w nim też szlachetne kamienie, jakie zainwestował w niego Rognir. Teraz Azzie wyjął pełną ich garść i pokazał Merionethowi.

- Tak? - zapytał Merioneth.

- Sa twoje - wyjaśnił Azzie - jeżeli dopiszesz mi szklana górę.

Merioneth spojrzal zezem na klejnoty.

- Mogę przez to wpasć w niezłe tarapaty...

Azzie zrozumiał, pokiwał głową i dołożył jeszcze kilka kamieni.

- Chyba mogę to zrobić - zastanowił się demon Zaopatrzenia, biorąc klejnoty; pochylił się nad zamówieniem i szybko coś tam naskrobał, po czym podniósł wzrok. - Ale zaklany las to inna para kaloszy.

- Zaklany lasy to nic wielkiego - mitygował go Azzie. - Nie są równie rzadkie co szklane góry. Gdzie byś się nie ruszył, wszędzie znajdziesz zaklany las.

- O ile nie potrzebujesz go od ręki - targował się Merioneth ze wzrokiem utkwionym w irchowym woreczku Azziego. - Podejrzewam także, że chciałbyś mieć i drogę przez ten las?

- Nic ekstrawaganckiego. Wystarczy zwykła polna ścieżka.

- A kto będzie nadzorował to wszystko? Potrzebny jest dozorca, a jego usługi...

- Wiem, nie ma tego wszystkiego na oryginalnym zamówieniu - Azzie wysuplał jeszcze cztery kamienie i wręczył je Merionethowi. - Czy to wystarczy?

- To pokryje koszt lasu i ogólnego ukształtowania krajobrazu. Ty jednak chcesz, żeby las był zaklany, czyż nie?

- Tak to sobie wyobrażam. Co mi po zwykłym lesie?

- Nie obrażaj mnie - obruszył się Merioneth. - Ten las to nie jest dla mnie byle co. Po prostu staram się zrozumieć twoje wymagania. Jakiego rodzaju zaklęcia wchodziłyby w rachubę?

- Zupełnie zwyczajne - odparł Azzie. - W zupełności wystarczą zwykłe ogniste drzewa; jest ich zawsze pełno na składzie.

- Jesteś dendrologiem, że o tym wyrokujesz? - zapytał Merioneth z uszczypliwością w głosie. - Prawda jest taka, że o tej porze roku mamy cholernie mało ognistych drzew. A przypuszczam, że jeszcze chciałbyś, aby posiadały magiczne kolce, co?

- Oczywiście.

- Magiczne kolce nie są wyposażeniem standardowym. Kilka kolejnych drogich kamieni przeszło z ręki do ręki.

- No to zastanówmy się - powiedział Merioneth. - Co powinny robić owe magiczne kolce?

- To, co zwykle - stwierdził Azzie. - Gdy obok nich przejeżdża podróżny o niedostatecznie czystym sercu lub taki, który nie zna magicznych, przeciwdziałających środków - przebijają go.

- Tak też myślałem! Za przebijanie należy się ekstra opłata.

- Zwariowałeś?

- Mam coś innego do roboty, niż stać tutaj i marudzić z tobą. - Merioneth rozpostarł skrzydła.

- Azzie dorzucił jeszcze kilka kamieni. Irchowy woreczek był pusty - pozbył się skarbu Rognira w

zadziwiająco krótkim czasie.

- Sadze, ze dogadalismy sie w zasadniczych kwestiach - stwierdzil Merioneth. - Przyszlo mi do glowy kilka dodatkowych udogodnien, cos, co by ci sie na pewno spodobalo, ale to podniosloby koszty.

- Nie zawracaj sobie glowy udoskonaleniami - rzekl Azzie. - Zrób tylko szybko to, co uzgodnilismy. Ja musze zajac sie innymi sprawami.

Merioneth zmobilizowal brygade robocza i demony poczely konstruowac las. Gdy juz raz sie do czegos zabraly, pracowaly szybko i fachowo. Niektóre z mlodszych nie byly przyzwyczajone do pracy fizycznej, ale dozorczy pilnowali, aby stanely na wysokosci zadania i roboty posuwaly sie naprzód w zadowalajacym tempie. Gdy tylko las zostal osadzony na miejscu z zainstalowanymi, ale nie uaktywnionymi jeszcze zakleciami, kierownik brygady zostawil podleglego mu demona, aby tamten rozmiescil odpowiednio krzaki i dzikie kwiaty, a sam zajal sie ulokowaniem zamku. Czesc ekipy na górze, w Limbo, zrzucala z uciecha kamienne bloki, a demony na dole klely, odskakujac, zbieraly te kawalki i skladaly do kupy. Czesc po czesci, rosla w góre budowla o murach zwieczonych blankami, a spiczaste wiezycy strzelaly prosto w niebo. Zamek stanowil historyczny i architektoniczny anachronizm, ale byl w zdecydowanie basniowym stylu.

Nie braklo w tym stadium pracy rozmaitych powiklan. Gdy przyszlo do kopania fosy, okazalo sie, iz nie ma na wyposazeniu sprzetu do utylizacji ziemi. Sprowadzono zatem ekipe smoków przekupionych ofiarami z dziewic. Gdy potwory zjadly dziewicze sniadanie, wykopaly wspaniala fose - szeroka na dwadziescia stóp i gleboka na trzydziesci. Nie bylo oczywiscie w niej wody, a nikt nie wiedzial, kto byl odpowiedzialny za jej dostarczenie. W koncu Azzie rozwiazal ten problem, zamawiajac w Zaopatrzeniu zaklecie atmosferyczne wywolujace krótkotrwalą, ale bardzo rzesisty deszcz. To, plus woda z drenazu, zalatwilo sprawe. Para labedzi dodala wszystkim klasy i uroku.

Wkrótce potem stanal sam zamek - wysoki, okazaly i wyniosly zestaw kamiennych wiez strzelajacych w niebo sprosód kopulastych ksztaltów. Z najwyzszych wiezyc powiewaly na wietrze kolorowe choragwie. Budynek byl nieumeblowany i hulaly w nim okropne przeciagi, bo tez nikt nie zaprzata sobie glowy uszczelnianiem szpar w scianach magicznych zamków. Azzie zamówil w Zaopatrzeniu meble. Byl tez problem z oswietleniem; zdecydowal sie na swiatlo magiczne, bo przy lampach oliwnych trudno byloby cos zobaczyc.

W koncu wszystko bylo gotowe. Azzie stanal w odleglosci kilkuset jardów i podziwial swe dzieło. Byl to zamek, jakim zachwycilby sie król Ludwik Szalony. Bedzie sie nadawal.

Azzie wrócił do domu, aby dokonczyc prace nad swymi bohaterami. Zanurzone w kadziach wypelnionych ichorem ciala wygladaly wspaniale - wszelkie szwy oraz blizny poznikaly. Krew bogów i stosowne zaklecia perfekcyjnie spelnily swoje zadanie. Kadawrom brakowalo wylacznie rozumu, bo to przychodzi na koncu, robily wiec różne dziwne rzeczy, w miare jak jedna czy druga czesc ich ciala odzyskiwala zycie. Azzie pracowal nad ustabilizowaniem pracy calych organizmów i w koncu zapanowal nad chaosem. Wówczas Frike zauwazyl, ze oba stworzenia sa nadal slepe.

- Masz racje - stwierdzil Azzie. - Chowalem to na koniec.

Usiadl i przypomniał sobie Ylith. Tak, to zostawil na koniec.

Rozdział trzeci

Azzie lubił czarownice. Uważał je za rodzaj niemodnego syndykatu, gdzie demon mógł zawsze znaleźć towarzystwo na sobotnią noc. W tamtych czasach sabaty czarownic były prototypem nocnych klubów.

- Frike! Przynies mi krede i świece!

Garbus pospieszył do składziku, w którym były zmagazynowane magiczne akcesoria. Tutaj, w solidnej skrzyni, wyszukał zadane przedmioty. Świece miały grubość męskiego przedramienia i były niemal tak wysokie, jak sam Frike. Piec spośród nich oparł na ramieniu; po jednej na każdy wierzchołek pentagramu. Były twarde niczym skamieniały organizm i nieco tłuste w dotyku. Razem z kredą, Frike zaniósł je wszystkie do frontowego pokoju, w którym Azzie usunął pod ścianę stojący na kozłach stół; zdjął z siebie płaszcz i kubrak. Muskuly zagrały mu pod koszulą, kiedy upychał w kacie jakąś część poniewierającej się zbroi.

- Nie wiem, dlaczego trzymam tutaj wszystkie te rupiecie - powiedział. - Daj mi krede, Frike. Sam narysuję pentagram.

Schylił się nisko, trzymając wapienny okruszek w prawej dłoni i na kamiennej podłodze pomieszczenia wyrysował pięcioramienną gwiazdę. Czerwony blask z kominka obrysowywał kontur jego postaci, zabarwiając ją na czerwono i podkreślając w ten sposób jeszcze bardziej jego lisi wygląd. Frike nieomal się spodziewał, iż ujrzy przemianę nóg swego pana w porośnięte rudym futrem lisie skoki. Wbrew jego oczekiwaniom, Azzie zachował swój ludzki kształt, nad którym pracował od bardzo dawna, ponieważ doświadczony demony bardzo się starają, aby dopasować swoją ziemską postać do własnych wyobrażeń na ten temat.

Frike przyglądał się, jak Azzie wypisuje w pentagramie tajemne hebrajskie znaki, a potem zapala świece.

- Ylith! - zaintonował Azzie. - Przybywaj! Frike dostrzegł w centrum pentagramu niesmiały początek jakiegoś ruchu. Świece wyrzucały z siebie spiralne strumienie kolorowego dymu tańczącego w górę i w dół - splecione, rozrzucające jasne iskry - a potem wiry uspokoiły się, przyjmując w miarę trwałe kształty.

- Ylith! - krzyknął Azzie.

Ale to nie była ona. Istota, która zmaterializowała się w środku pentagramu była istotnie kobieta - i na tym kończyły się wszelkie podobieństwa z Ylith taką, jaką ją Azzie zapamiętał. Była to niska, gruba czarownica o pomarańczowych włosach i haczykowatym nosie. Skrzyżowała ramiona na piersi i zagapiła się na Azziego.

- Czego chcesz? - zapytała surowo. - Twoje zaklecie wyrwało mnie wprost z sabatu. Gdybym nie została zaskoczona, anulowałabym wypisane przez ciebie znaki, które tak czy inaczej muszą być błędne.

- Ty nie jesteś Ylith? - upewnił się Azzie na wszelki wypadek.

- Nazywam się Mylith - odpowiedziała dumnie czarownica.

- Z Aten?

- Nie, z Kopenhagi.

- Strasznie mi przykro - sumitował się Azzie. - Próbowałem przywołać Ylith z Aten. Duch Przemian musiał coś pokreć.

Mylith prychnęła pogardliwie, starła jeden z hebrajskich znaków Azziego i narysowała inny.

- To ty się pomyliłeś - sprostowała. - Skoro to już wszystko...

- Będzie mi bardzo miło, jeżeli pozwolisz, że odesłam cię z powrotem.

- Sama to zrobię - rzekła Mylith. - Nie jestem ciekawa, dokąd zagnająby mnie twoje czary!

Mylith wykonała jakiś gest obiema rękami i zniknęła.

- To było zenujące - zauważył Azzie.

- Raczej zdumiewające - stwierdził Frike. - Jestem zdziwiony, że twoje zaklęcie w ogóle podziałało. Mój poprzedni pan, demon Throdeus, był niemal niezdolny zakląć cokolwiek w sobotę!

- Wiesz dlaczego?

- Tak, w poprzednim wcieleniu był ortodoksyjnym rabinem - odparł słuzacy.

Azzie czarował dalej. Znowu spiralne, kolorowe dymy zawirowały w środku nakreślonej na podłodze figury, ale tym razem, kiedy splotły się ze sobą, zamiast niskiej, wścieklej czarownicy o pomarańczowych włosach, w centrum gwiazdy zmateriałizowała się wysoka, przystojna, czarnowłosa wiedźma przybrana w kusy jedwabny nocny negligé.

- Ylith! - zawołał Azzie.

- Któż to taki? - spytała czarownica, przecierając oczy. - Azzie? To naprawdę ty? Mój drogi, powinienś wcześniej przysłać posłanca. Właśnie spalam.

- Czy to jest koszula nocna? - zainteresował się Azzie, który poprzez brzoskwiniowego koloru przezroczystość stroju widział jej jędrne, pięknie ukształtowane piersi oraz - obchodząc ją wokół - także różowe pośladki.

- To jest najnowszy przebój sezonu w Bizancjum - odparła Ylith. - Nie sądzę, by przyjęło się w Europie; przynajmniej nie szybko.

Wiedźma wyszła poza obwód pentagramu.

- Miło cię znowu widzieć, Azzie, ale naprawdę powinnam się w coś ubrać.

- Widywałem cię już w skromniejszym przyodziewku niż obecnie - zauważył Azzie. - A właściwie bez niego.

- Wiem, ale to nie jest jedna z tych chwil. Poza tym ten twój prostacki sluga wyslipia sie na mnie. Musze sie czymś okryc, Azzie!

- I okryjesz sie! - zawolal demon. - Frike!

- Tak, panie?

- Wlaz do pentagramu!

- Panie, naprawde nie mysle...

- Wlasnie: nie mysl. Po prostu zrób to!

Zrzedzac pod nosem, Frike ustawil sie w srodku zakletego znaku.

- Wysylam cie do Aten. Wez tyle strojów tej pani, ile tylko zdolasz. Sprowadze cie z powrotem za kilka minut.

- W moim przedpokoju jest ciemnoniebieska suknia obramowana futrzanym kolnierzem - powiedziala Ylith - z trzycwieriowym rekawem. Przynies mi ja koniecznie! A w malym pomieszczeniu obok kuchni znajdziesz...

- Ylith - powstrzymal ja Azzie. - Mozemy sprowadzic pózniej cala twoja garderobe, jezeli tylko okaze sie to konieczne. Teraz nieco sie spiesze.

I wznoszac dlonie, wyrecytowal zaklecie. Frike zniknal w srodku swego zrzeczenia.

- W porzadku, Azzie - powiedziala Ylith. - Jestesmy sami. Czemu nie wezwales mnie wczesniej? Wieki minely!

Azzie podprowadzil ja do wielkiego tapczanu przysunietego w poblize ognia. Przyniósł jej kielich wina i tace ciasteczek, o których wiedzial, ze je uwielbiala. Usadowili sie na poslaniu i Azzie zastosowal jedno ze swych mniejszych zaklec muzycznych, by przywolac chór wykonujacy popularne w tym czasie piosenki. Usiadl obok Ylith i gleboko zapatrzyl sie w jej oczy.

- Ylith - powiedzial - mam pewien problem.

- Opowiedz mi o nim - poprosila.

Zrobil to, zapominajac o Frike'u na przeciaz kilku godzin, bowiem tak gorliwe i sumienne bylo wyluszczanie przezen sprawy. Kiedy wreszcie sprowadzil sluge z powrotem, switalo juz i Frike zjawil sie, ziewajac oraz przybrany w kobiece laszki.

Rozdzial czwarty

Azzie zaprowadził Ylith do laboratorium, gdzie Królewicz i Scarlet, wstępnie zmontowani, leżeli ramie w ramie w marmurowych kadziach, okryci dwoma lnianymi obrusami; to ostatnie dlatego, ponieważ Azzie zauważył, iż ludzie lepiej wyglądają choćby nieco tylko odziani niż całkiem nagi.

- Stanowią ładną parę, nie sądzisz? - zapytał Azzie.

Ylith westchnęła. Jej długa, ruchliwa twarz zmieniała się nieustannie - raz była piękna, by po chwili stać się ponurą i groźną. Azzie próbował dostosować swoją percepcję do jej mimiki tak, by widzieć ją wyłącznie urodziwą, ale nie było to łatwe; wiedźmy dokonują trudno uchwytnych zmian rysów twarzy. Już od dawna Azzie miał ambiwalentne uczucia, jeśli chodzi o Ylith. Czasami był przekonany, że ją kocha, a czasem jej nienawidził. Niekiedy próbował rozwiązać ten problem, chwytając byka za rogi, a innym znów razem wolał zapomnieć o tym, pograżając się w drobniejszych sprawach, dotyczących jak najlepszych sposobów rozprzestrzeniania Zła czy przyszłości Złych Mocy w ogólności. Czasami - właściwie najczęściej - w ogóle nie wiedział, co ma robić. Kochał ją, ale nie zawsze lubił. Poza tym Ylith była także jego najlepszym przyjacielem i kiedy miał jakieś problemy, zawsze zwracał się z tym do niej.

- Rzeczywiście są piękni - przyznała czarownica. - Pomijając brak oczu. Ale sam wiesz o tym najlepiej.

- Właśnie dlatego ci ich pokazuję - rzekł Azzie. - Mówiłem ci, że zamierzam wprowadzić ich do milenijnych Zawodów.

Beda odgrywać historie Śpiącej Królowej, całkowicie według własnych chęci, nie przynaglani przez mnie oraz kierując się ową słynną wolną wola, co do której wszystkie inteligentne stworzenia są przekonane, iż ją posiadają. I dojdą w ten sposób do błędnych wniosków, skazując się na wieczne potępienie. Potrzebuję zatem oczu dla tych dwojga; ale nie byle jakich ślepków - zupełnie niezwykłych. Zachwycających. Potrzebuję ich, by nadać tej historii specjalny klimat, smaczek, ten bajeczny powab i aromat - jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

- Rozumiem doskonale, mój drogi - odparła Ylith. - Także i to, że oczekujesz ode mnie pomocy. Ale z ciebie dziecko, Azzie! Skąd ci przyszło do głowy, że mogłabym znaleźć dla ciebie te oczy?

Wcześniej Azzie nie zastanawiał się nad tym. Podrapał się teraz po luskowatym czubku głowy - to jest właśnie to, co Piekło ci robi - i zamyslił się.

- Sądziłem - powiedział - że pomożesz mi, ponieważ to jest to, co po prostu należy uczynić. Mam na myśli fakt, iż tak samo jak ja pragniesz zwycięstwa Zła. Chyba się nie mylę? Zauważ, że w przeciwnym razie Dobro zapanowałoby nad ludzkimi losami na przeciąg tysiąca lat; to wyeliminowałoby cie z biznesu.

- Masz rację - przyznała Ylith. - Jednak nie przekonuje mnie to do końca. Dlaczego to ja mam ci pomagać? Mam własne życie, a moje interesy idą bardzo dobrze. Uczestniczę w pracach administracyjnych sabatu i będę także wykładowcą...

Azzie dał odetchnąć swemu umysłowi, jak to czynił zawsze, ilekroć miał zamiar zasunąć komus naprawdę wielkie kłamstwo. I kiedy tak trwał w tym oczyszczającym umysł oddechu, jego geniusz i wszystkie zdolności skierowane były na to, by wspomóc go w wejściu w rolę, która była mu niezbędna.

- Ylith - powiedział. - To wszystko jest dużo prostsze: ja cie Kocham.

- Och, doprawdy? - zapytała sardonicznie, ale nie zakonczyła tej rozmowy. - To wspaniale! Powiedz mi cos wiecej na ten temat!

- Zawsze cie kochalem - brnal Azzie.

- Pewnie udawales, tak jak i teraz.

- Moge wyjasnic, dlaczego nie odzywalem sie do ciebie przez tyle czasu.

- Wal smialo - rzekla Ylith, czekajac, co powie.

- Byly dwa powody - powiedzial Azzie, nie majac w tym momencie zielonego pojecia, o jakie dwie przyczyny mialoby chodzic, gdy i jednej byloby dosyc.

- Tak? Zamieniam sie w sluch!

- Mówilem ci juz, ze bylem w Otchlani...

- I co? Nie mogles nawet poslac mi pocztówki? Przepraszam, ale juz wczesniej slyszalam to twoje: „Bylem w Otchlani!”

- Ylith, musisz mi po prostu zaufac. Sa rzeczy, których mezczyzna nie moze powiedziec. Uwierz mi na slowo, ze sprawy wziely dobry obrót. Bede ci mógł to wyjasnic, kiedy przyjdzie na to czas; teraz jednak najwazniejsza rzecz jest to, ze cie kocham. Zly czar minal wreszcie i mozemy znowu byc razem, tak jak zawsze tego pragnelas i jak ja tego sekretnie chcialem, chociaz mówilem co innego.

- Jakie zauroczenie? - zapytala Ylith.

- Wspominalem cos o oczarowaniu?

- Powiedziales: „Zly czar minal”.

- Naprawde tak powiedzialem? Jestes tego pewna?

- Oczywiscie, ze jestem pewna!

- No cóz, nie powinno bylo do tego dojsc - rzekl Azzie. - Jeden z warunków przeminiecia owego czaru mial polegac na tym, ze nie bede nigdy o nim wspominal. Mam tylko nadzieje, ze to nie wróci.

Ylith wyciagnela sie do pelnej swej wysokosci i popatrzyła na niego. Byl doprawdy najbardziej niemożliwym spośród diabelskiego nasienia. Po demonach nalezalo, oczywiscie, spodziewac sie kłamstw, ale nawet najgorszym pomiedzy nimi zdarzalo sie czasem powiedziec prawde. Z wyjatkiem Azziego; ale nie dlatego, by mial serce notorycznego kłamcy, nie, winnym tego bylo naprawde nieslychanie mocne pragnienie bycia bardzo zlym. Nie mogła mu pomóc, ale darzyła go uczuciem. Ciagle korzystal z kredytu jej sympatii. No i, poza wszystkim, to nie byl sezon karnawalu w Atenach.

- Obiecaj, ze nigdy wiecej mnie nie opuscisz - zazadala.

- Obiecuje - przyrzekl solennie Azzie, ale potem stwierdziwszy, iz zbyt latwo skapitulowal, dodal szybko: - To znaczy w normalnych warunkach.

- Co masz na myśli mówiąc: „normalne warunki?”

- Takie, które nie są nienormalne.

- To znaczy jakie?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Och, Azzie!

- Musisz mnie brać takim, jakim jestem, Ylith - powiedział Azzie. - To naprawdę miłe znowu cię widzieć. Masz jakiś pomysł co do tych oczu?

- Prawde mówiąc, tak; mam jedną czy dwie koncepcje.

- Bądź grzeczną dziewczynką, pośpiesz się i wyjaw mi je - poprosił Azzie. - Konczy mi się ichor, a nie mam śmiałości ożywić tych istot, zanim nie obdaruje ich wzrokiem. To mogłoby zakłócić ich rozwój.

- Bada musiały poczekać - odparła Ylith. - Dwie pary niezwykłych oczu nie znajdują się na zawołanie.

- Wszyscy będziemy czekać na ciebie, moja królowo. Ylith rozesmiała się ochryple i Azzie był przekonany, że wiedźma lubi słyszeć ten dźwięk. Zachwiał się; Ylith zawirowała, zmieniając się w poskrepany słup fioletowego dymu, by w następnej chwili zniknąć zupełnie.

Rozdział piąty

Ylith była zadowolona, nie ruszając się przez wiele lat z Aten, uczestnicząc w przyjęciach i dobrze się bawiąc, mając wielu kochanków oraz upiększając swój dom wciąż od nowa. Wraz z upływem czasu czarownice stają się coraz bardziej leniwe i lubią spoczywać na laurach. Grzechy, do popełnienia których nakłaniają ludzi, zwracają się potem przeciwko nim samym. Stopniowo wiedźmy tracą swą wiedzę wyniesioną z wielkiej szkoły czarownic. Ylith wegetowała tak już od dłuższego czasu, zanim nie wezwało jej zaklecie Azziego.

Teraz jej jedyną reakcją było zdziwienie, iż jako wolontariuszka podjęła się znaleźć nowe oczy dla młodej pary ludzi. Czy to naprawdę było to, czego pragnęła? Czy kochała Azziego aż tak bardzo, że było to czymś więcej, niżli próba spełnienia obowiązku i usłużenia czemuś większemu od siebie? Tak czy inaczej, poczuła potrzebę oparcia się na czyjejs radzie, kiedy już przyszło do drugiej pary oczu.

A kiedy przyszło do madrej rady, najroztropniejszym doradcą, jakiego znalazła, okazał się Skander...

Smoki żyją bardzo długo, a matki smoki nie tylko długo żyją, ale także od czasu do czasu zmieniają

swe imiona, by ludzie nie zorientowali się w rzeczywistej ich długowieczności i nie byli o to zazdrośni. Bohaterowie niczego nie kochają tak bardzo, jak zabijania naprawdę starych smoków - lata smoka są tym, czym poroże jelenia.

Skander i inne smoki świadome były tego, jak wielu herosów poluje na nie, w związku z czym stawały się coraz bardziej ostrożne. Bezwrotnie minęły dla nich dawne dni świetności, kiedy waleś się swobodnie, pilnując skarbów i porywając każdego, kto im się pod łapę nawinał. Smoki były bardzo dobre w te klocki, chociaż wszystko, co się o nich słyszało, sprowadzało się do opiewania przewag odniesionych nad nimi przez błędnych rycerzy. Wynikało to z faktu, że choć smoki miały na swym koncie mnóstwo wictorii, to ich samych było niewiele, zaś kandydatów na bohaterów całe zastępy. Zanim smoki poszły po rozum do głowy i pojęły zasady rządzące nowymi czasami, rycerze napływali bez ustanku.

Właśnie odbywała się wielka smocza konferencja, na której słyszało się wieści z całego świata. W tych czasach najliczniejsze były smoki chińskie, ale stały się tak zazdrośne o swą wiedzę i tak zdeterminowane, by zaden z ich pobratymców nie dobrał się do tej krynicy mądrości, że wszystko, co mówiły, kiedy proszono je o jakąkolwiek radę, brzmiało mniej więcej tak: „To wymaga ujrzenia wielkiego człowieka”, „Przekroczysz wodę” lub „Nadczłowiek jest jak piasek”. Chińscy filozofowie, słynący z zamiłowania do niejasności, zapisywali owe zdania w księgach, które sprzedawali potem przybyszom z Zachodu poszukującym odprysków wschodnich nauk.

Ostateczna konkluzja konferencji sprowadzała się do stwierdzenia konieczności zrezygnowania ze zbyt agresywnej taktyki, która przysporzyła smokom zły reputacji; zalecono przyczajenie się. Generalnie, smoki głosowały za porzuceniem ich dawnych obowiązków zbierania i strzeżenia skarbów na rzecz nowych dyscyplin, takich jak Uniki i Odszoki. Dość już stania na straży bogactw, mówiły sobie, należy wtopić się w krajobraz, żyć na dnie rzek - dla wielu smoków było nawet możliwe przebywanie w głębinach (tak zwane smoki skrzelowate) oraz karmienie się rekinami, wielorybami i mahimahi. Smoki ładowe optowały za przyjęciem innej strategii - postulowały kamuflowanie się pod postacią niewielkich gór czy pagórków - w drastycznych wypadkach nawet pokrytych zagajnikami drzew. Były zdecydowane porzucić swoje stare okrutne zwyczaje, zadowolając się okazjonalnymi polowaniami na smialków naruszających incydentalnie ich terytoria. W takim przypadku momentalnie wracałyby do swych starych praktyk, dopadłyby intruza i zabijały go. Ich imiona byłyby notowane w Smoczej Izbie Pamięci Bohaterów, a reszcie radzono by nie postępować dokładnie tak jak one.

Skander był bardzo wiekowym gadem nawet jak na smocze standardy. Stanowił zatem okaz niezłego przechery i nie narzekał na kłopoty. Mieszkał w środkowej Azji, nie opodal Samarkandy, a przebywał w tej okolicy jeszcze w czasach, zanim miasto to powstało. Mógłbyś poszukiwać go tam przez wieki i nie znalazłbyś go, gdyby Skander nie pozwolił ci na to. Jeżeli natomiast udało ci się go już odszukać, okazywał się często bardzo pomocnym smokiem, mającym ogromny zasób wiedzy. Miał wszakże swoje kaprysy zależne od zmiennych nastrojów.

Ylith wiedziała o tym wszystkim, ale postanowiła spróbować szczęścia. Podniosła wiązki latających miotł, stanowiących największe osiągnięcie czarownic; napędzane to było zaklecaniami, które Bractwo Wiedzy trzymało w swej kwaterze głównej w Bizancjum. Zaklęte moce biegały tam w kółko - w niektóre lata dobrze, w inne nieco gorzej. Czary podlegały naturalnym siłom, które nie były do końca zrozumiałe i w związku z tym zdarzały się od czasu do czasu przypadkowe zaburzenia.

Wydawało się logicznie, że miejscem, od którego należało rozpocząć poszukiwania, powinno być to, gdzie spotkała się ze Skanderem poprzednim razem: a więc przy Skale Smoka. Smoki są dostatecznie

madre, by wiedziec, ze ludzie nigdy nie beda ich szukac w okolicy noszacej taka nazwe.

Wielu blednych rycerzy przemierzalo ten obszar; wiekszosc z nich uzbrojona jedynie w lekka szable, bron charakterystyczna dla tego regionu swiata, która jednak w zadnym razie nie byla sposobnym orem w walce przeciwko smokom. Rzecz nie w tym, ze Skanderowi nie zalezalo na starciach nawet z tymi lekkozbrojnymi; jego pokryta luskami skóra byla w stanie oprzec sie ciosowi lawiny i gad nie zaprzatal sobie glowy mieczami, jezeli tylko nie byly one wykute z uzyciem naprawde mocnej magii. Ale wojownicy byli podstepni - zdawali sie sprawiac wrazenie, iz mierza w barki gada, az tu nagle... puff, i smok mial strzale w oku! W jakis sposób smoki, pomimo swej nadzwyczajnej inteligencji oraz wieków doswiadczen wyniesionych z obcowania z ludzmi, ciagle dawaly sie na to nabrac. Nigdy do konca nie polapaly sie w stosowanych przez czlowieka sztuczkiach polegajacych na udawaniu, iz mierzy on w jednym kierunku, podczas gdy strzela w innym. Bylo to niezgodne ze smoczym postepowaniem i stalo w razacej sprzeczności z ich wyobrazeniami o etyce rycerskiej.

Jakiekolwiek krylyby sie za tym powody, Ylith spotkala Skandera przy Skale Smoka, gdzie bawila z wizyta u krewnych, którzy niedawno przeniesli sie w te okolice ze Scytii. W tym czasie Skander korzystal z dosyc rzadkiego zaklecia odmiennajacego postac, na jakie gdzieś sie natknal. Smoki zawsze poszukuja zaklec Przemiany, poniewaz bedac inteligentnymi, aspiruja do pokazywania sie w ludzkim towarzystwie. Chociaz to ostatnie nie wie o tym, smoki o innych ksztaltach sa obecne na wielu dworach swiata, gdzie uwielbiaja prowadzic dysputy z filozofami; aczkolwiek jeszcze czesciej sa po prostu zmeczone latami spedzonymi w samotności. Tym bardziej czuja sie wyobcowane, iz smoki jednej plci sa podejrzliwe wobec przedstawicieli plci przeciwnej. To z tego powodu, a nie z braku krzepy czy okazji, smoki rzadko lacza sie w pary, a jeszcze rzadziej maja mlode. Posród tych, które decyduja sie na posiadanie potomstwa, nie ma nigdy zgody co do tego, które z rodziców ma wziac na siebie obowiazki wychowania i ksztalcenia dzieci. Czesto gesto nie dochodzi nawet do konsensusu wobec kwestii, kto je urodzi! Juz wieki temu smoki odrzucily wiekszosc sprosód kierujacych nimi instynktów; teraz, jako istoty rozumne, wywalczaly te sprawy miedzy soba. Mozna powiedziec, ze w konsekwencji argumentów obu stron wiekszosc smoczej rasy wymarła.

A lowcy przygód nadal wyprawiali sie, by stanac w szranki ze smokami - ku wielkiej kontuzji tych ostatnich. Zdumiewala je mysl, ze rycerze - muskularni faceci w metalowych wdziankach - mogliby zabic któregoś z nich, skoro ludzie sa tak pozbawieni inteligencji i tylko pielegnuja swe rycerskie, zwietrzale obyczaje. Ludzie jednak zwyciezali smoki, poniewaz byli rasa bardzo zdecydowana, jesli chodzi o zabijanie, podczas gdy smoki nie mialy wspólnego zdania w zadnej kwestii.

Ylith poleciala w rejon Samarkandy i przeprowadzila poszukiwania w miasteczku Yar Digi, osadzie polozonej najblizej Smoczej Skaly. Yar Digi mialo niska zabudowe i bylo uboga miescina, w której przy jedynej - i zarazem głównej - ulicy nie znajdowalo sie niczego poza sklepami z pamiatkami. Wypelnialy je smocze madrosci, ale nie bylo w nich klientów. Ylith zapytala o powód takiego stanu rzeczy, a wlasciciel jednej z ksiegarn, o imieniu Ahmed, wyjasnil jej:

- Dzieje sie tak dlatego, iz dlugo oczekiwany boom na smocza filozofie jeszcze nie nadszedl. Inne miejsca skupiaja cala uwage. W Brytanii, na przyklad, gdzie smoka nie widziano od stuleci, prowadzi sie wycieczki do miejsc, gdzie niegdys zyly, i sprzedaje sie tam sto razy wiecej niz u nas. Pytasz, gdzie jest smok? Gdzies na koncu szlaku wiodacego do jego jaskini w Smoczej Skale. Ale nie wydaje mi sie, by ktokolwiek go znalazl, jezeli gad nie bedzie sobie zyczyl przyjac odwiedzajacego. A nigdy sie nie wie, kiedy to moze nastapic; jest kapryсны.

Ylith ruszyla we wskazanym kierunku i po uiszczeniu stosownego bakszyszu mogla wejsc na sciezke. Idac wzdłuż niej, pokonala wiele zakretów, przeszla obok stoiska z przekaskami oraz nie opodal samej Skaly Smoka. Z zadnej jej strony nie dostrzegla niczego podobnego do jaskini.

Nie było tam też absolutnie niczego podobnego do smoka, zanim nie usłyszała głębokiego, rezonującego, zduszonego śmiechu, który zatrzymał ją w miejscu.

- Skander? - zawołała.

Dźwięk powtórzył się.

- To ja, Ylith.

Nagle do jej świadomości dotarł obraz cienistego miejsca pomiędzy dwoma glazami; to mogło być nawet coś więcej niż tylko cień. Ruszając w jego kierunku, zobaczyła, że ciągnie się on dalej, przechodząc w wielką ciemność. Wstąpiła w nią.

Nie była pewna, w którym momencie przeniknęła przez ściany wzgórza. Dopiero po chwili odbijający się echem odgłos jej kroków przekonał ją, że znajduje się we wnętrzu.

- Skander? - powtórzyła.

Nadal nie było żadnej odpowiedzi, ale ujrzała przed sobą, nieco po prawej, jakies niesmiałe lśnienie. Podążając za nim, skręciła w stronę miejsca, gdzie same kamienie zdawały się jarzyć w ciemności - świeciły skały ponad jej głową i obok niej. Wraz z tym jak robiło się widniej, uspokajała się. Tunel rozgaleział się kilka razy, a Ylith za każdym razem wybierała ścieżkę jasniejszą od reszty. W końcu dotarła do pieczary, w której spoczywał ciemny, luskowaty kształt, wpatrując się w przybyłą. Gdyby nie te oczy, mogłaby ominąć go w ciemności. Zakłopotana, zatrzymała się przed progiem.

- Skander, to ja, Ylith - powiedziała.

Podniósł łeb i opuścił nieco powieki.

- Tak, ktoś by inny - zauważył. - Ile to już lat?

- Dużo. Co porabiasz?

- Snilem o Renesansie.

- O czym?

- O, przepraszam: Pomieszałem epoki - odparł. - Renesans przyjdzie później. To są właśnie kłopoty wynikające z bycia jasnowidzem. Nigdy nie wiadomo, gdzie się jest.

- Skander - powiedziała Ylith - potrzebuje twojej pomocy.

- Tak jak myślałem - rzekł smok. - Cóż innego mogłoby cię sprowadzić do tego zakazanego miejsca? Czego tym razem chcesz, moja droga? W starym piecu diabeł pali; czy chcesz, żebym kogoś spopielił dla ciebie?

- Potrzebuje oczu.

I Ylith opowiedziała mu o Azzim, Królewiczu i Spiacej Królownie Scarlet.

- Oczy - zamruczał Skander i jego skóra, zwykle rudobrazowa, stała się ziemistoszara; była pewna przepowiednia, która Ylith przypomniła mu zniecka.

- Dlaczego tkwisz tutaj? - zapytała czarownica.

- Widzisz, to z powodu pogoni za rozgłosem - odparł Skander. - Mieszkający tutaj ludzie pragną mnie wylansować; obiecałem im, że to miejsce znajdzie się na mapach i w przewodnikach. Nie doszło jeszcze do tego, ale niebawem to nastąpi.

- Gdzie mogłabym zdobyć naprawdę dobre oczy? - zapytała Ylith.

- Oczy... - Skander zadumał się. - Wszędzie jest ich pełno, dlaczego mnie zwracasz tym głowę?

- Ty wiesz, gdzie są te najlepsze. Wszystkie smoki to wiedzą.

- Tak, oczywiście - zgodził się Skander - ale wolalbym raczej nie rozwijać tego tematu, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie chcesz o tym mówić?

- To zwykły przesad, jak sadzę. Przykro mi.

- Zechciałbyś opowiedzieć mi o tym?

- W porządku - odparł smok. - Dawno temu, w Chinach, widziałem, że gdziekolwiek nadworny malarz maluje smoki, zawsze ich oczy umieszcza na obrazie na samym koncu. Kiedy zapytałem go o powód takiego postępowania, odparł, iż przydanie smokowi oczu powoduje technicznie w obraz jakiegoś specjalnego rodzaju życia i nie powinno się go przyzywać, zanim wszystko inne nie zostało już ostatecznie zrobione. Pewien medrzec powiedział mu, że oczy, jakie ja mam, stanowią siedlisko ducha. Zawierają życie i stanowią ostatnią rzecz do dodania obrazowi. Spytałem zatem i ja tego medrca - starego taoistycznego mnicha - a on potwierdził wszystko. Przepowiedział mi także, że wiedźma pytająca w mojej obecności o, oczy zapowiadać będzie totalny zwrot pomiędzy Jing i Jang.

- Co to znaczy?

- Różyczka... - odparł, opuszczając powieki.

Czekała cierpliwie, ale nie nastąpiły żadne dodatkowe wyjaśnienia. Po chwili odchrząknęła.

- Hej, Skander! Co dalej?

Nie było odpowiedzi.

- Spisz, smoku?

Cisza.

W końcu podeszła do niego i podniosła dłoń, zatrzymując ją tuż przed jego nozdrzami; nie wyczuła śladu oddechu. Podeszła jeszcze bliżej i położyła ręce pomiędzy łuskami na zębach - nie było bicia serca.

- Och, kochany! - powiedziała. - I co teraz?

Ale momentalnie znalazła odpowiedz na to pytanie.

Kiedy skonczyła, poklepala smoka po nosie; bylo to cos, co uwielbial za zycia.

Biedny, stary smok! - pomyslala. - Tak stary i tak madry, a zredukowany teraz do kupy stygnacego miesa w górskiej jaskini.

Docierala do niej swiadomosc, ze zbliza sie wieczór, a nie jest to dobry czas dla obcokrajowca, by znajdowac sie w tej okolicy. Miejscowe demony lubily przebywac na otwartym powietrzu i moglyby spowodowac jakas wyszukana psote, jesli tylko mialy na to chetke. Europejskie i azjatyckie demony nie przepadaly w tamtych czasach za soba i wojny pomiedzy tymi dwiema frakcjami ciagle byly oczekiwane przez cierpliwych kronikarzy.

Ylith zawinela oczy w mala, jedwabna chusteczke do nosa i wszystko razem wlozyla do szkatulki z różanego drewna, która trzymala zwykle w dloni podczas transportu delikatnych i cennych rzeczy. Potem obróciła sie i wyszła z jaskini.

Wiedzma stala wysoka, wyprostowana, podczas gdy swiatlo zachodzacego slonca zapadalo za pokryte lodem szczyty najwyzszych gór. Odrzucila w tyl wspaniala zaslone swych czarnych jak noc wlosów, dosiadla latajacej miotly i wzniosla sie w powietrze, kierujac swój lot na zachód.

A kraina smoka malala pod nia w kazdej chwili.

Rozdział szósty

Kiedy Ylith dotarla do Augsburga, bylo nadal jasno, gdyz dzieki sprzyjajacym wiatrom mogla przescignac uciekajace wciaz przed nia Slonce. Wyladowala obok frontowych drzwi domostwa Azziego i zastukala mocno wielka mosiezna kolatka.

- Azzie! Wróciłam! Mam je!

Otchlanna cisza panujaca po drugiej stronie przedluzala sie. Chociaz bylo to letnie popoludnie, w powietrzu dal sie juz odczuc chłód nadiagajacej jesieni. Niespokojna Ylith poczula lekka slabosc. Jej wiedzmie zmysly ostrzegaly ja, ze cos jest bardzo dalece nie w porzadku. Dotknela zabezpieczajacego amuletu z bursztynu na swej szyi i zakolatala ponownie.

Wreszcie drzwi otwarly sie. Za nimi ukazal sie Frike ze smutkiem wypisanym na szczuplej, szczurzej twarzy.

- Frike! Co sie stalo?

- Niestety, panienko! Wszystkie sprawy poszły bardzo źle, niestety.

- Gdzie jest Azzie?

- Właśnie to, milady, jest ta najgorsza rzecz. Nie ma go!

- To gdzie jest?

- Nie wiem - odparł Frike. - Ale to nie jest moja wina!

- Opowiedz mi wszystko, co się tutaj wydarzyło.

- Kilka godzin temu - zaczął Frike - pan przygotowywał roztwór, by umyć nim włosy Królowy Scarlet, ponieważ wdał się w niego koltun. Kiedy skończył, zabrałem się do suszenia jej włosów. Przypominam sobie, że było to jakieś tuż po południu, ponieważ kiedy wyszedłem po drewno do kominka, słońce stało w zenicie...

- Dalej! - nie wytrzymała Ylith. - Co było potem?

- Wróciłem z naczem drewna, a lord Azzie podśpiewywał sobie podczas manicure, jakiego dokonywał na dłoniach Królewicza - jak wiesz, pan zawsze bardzo zwraca uwagę na detale. Nagle przestał podśpiewywać i rozejrzął się wokół. Zrobiłem to samo, chociaż nie słyszałem żadnego dźwięku. Pan Azzie rozglądał się ciągle i rozglądał, a kiedy jego spojrzenie spoczęło na mnie ponownie, to mógłbym przysiąc, iż stał się całkiem odmieniony - część ognistej czupryny zniknęła, a on sam wyraźnie pobladł. Zapytałem wówczas: „Czy słyszysz coś, panie?“, a on odpowiedział: „Tak, ostry, świrdujący dźwięk, który nie kojarzy mi się z niczym dobrym. Szybko, przynies mi moja Mistrzowska Księga Zakleć!“ Mówiąc to, opadł gwałtownie na kolana. Pospieszyłem, by spełnić jego rozkaz, ale nie miał dosyć siły, żeby ją otworzyć - jest to folio bardzo wielkie i okute brązem, co możesz sama zobaczyć na podłodze u swych stóp.

Powiedział do mnie: „Frike, pomóż mi obracać strony. W jakim podstępny sposób coś oddemonizowuje mnie“. Asystowałem mu więc, a on cały czas mnie popędzał: „Szybciej, Frike, szybciej, zanim serce opuści mnie całkowicie!“ Więc obracałem przede wszystkim te przeklęte karty, teraz robiąc to całym sobą, gdy ręce lorda opadły bezsilnie i wszystko, na co mógł się zdobyć, ograniczało się do trzymania otwartych oczu, które skupione na księdze straciły swój zwykły blask. Wtedy powiedział: „Dobrze, zatrzymaj tutaj. Popatrzmy...“ I to było wszystko, panienko.

- Wszystko? - zapytała Ylith. - Co masz na myśli, mówiąc: wszystko?

- Wszystko, co powiedział, milady.

- To akurat rozumiem wystarczająco dobrze! Ale co z nim?

- Zniknął! Po prostu zniknął, panno Ylith!

- Zniknął? - powtórzyła czarownica.

- Tuż przed moimi oczu - zniknął całkowicie i bez śladu! Niemal wychodziłem z siebie, nie wiedząc, co począć! Nie zostawił żadnych poleceń ani instrukcji. Najpierw pohisteryzowałem sobie trochę, a potem, po zastanowieniu, doszedłem do wniosku, że najlepszą rzeczą będzie po prostu zaczekać na twoje

przybycie.

- Opisz mi sposób, w jaki zniknal.

- Sposób? - zapytal zdeorientowany Frike.

- Tak. Czy pojawil sie dym znikniecia, w którego wirujacych kolumnach rozplynal sie szybko w nicosc? A moze przepadl wraz z blyskiem i towarzyszacym temu niewielkim odglosem grzmotu? A moze najpierw skurczyl sie do rozmiarów punktu materialnego? Co?

- Nie mam pojecia, pani. Zamknalem oczy.

- Zamknales oczy? Jesteś glupcem, Frike!

- Ale zerkalem spod przymknietych powiek.

- I cóz dalo to twoje „zerkanie”?

- Widzialem, jak lord Azzie staje sie coraz chudszy, rozpuszczajac sie z boku.

- Z której strony?

- Z prawej, pani.

- Czy zanikal w sposób równomierny, czy tez towarzyszył temu ruch w góre i w dól?

- Byl ruch.

- To bardzo wazne, Frike. Czy w jakimkolwiek momencie przed zniknieciem zmienil calkowicie kolor?

- Ma pani racje, panno Ylith! Rzeczywiscie zmienil barwe, tuż przed zupelnym rozpuszczeniem sie w nicosci.

- Jaki to byl kolor?

- Niebieski, milady.

- Tak własnie myslalam - powiedziala wiedzma. - A teraz rzucmy okiem na jego ksiega czarów.

Frike dzwignal ciezki wolumin na pulpit, gdzie Ylith latwiej bylo go czytac; ksiega nadal byla otwarta na stronie, której przygladal sie Azzie przed swym zniknieciem. Ylith pochybila sie nad nia i szybko przetlumaczyla pokrywajace ja runy.

- Co to jest? - zapytal Frike.

- Calkowite Uwolnienie, Frike - powiedziala mu. - Jest to zaklecie, którego demony uzywaja, kiedy ktos lub cos pragnie je zaczarowac. Nazywa sie je takze Wielkim Zrównowazeniem.

- Nie zdazyl?

- To oczywiste.

- Zaczarowany! - wykrzyknął Frike. - Ale pan sam potrafi przecież czarować!

- Istotnie - potwierdziła Ylith. - I jest w tym bardzo dobry; ale wszyscy, którzy czarują, Frike, także podlegają czarom. Jest to jedno z wielkich praw Niewidzialnego Świata.

- Słyszałem o tym - odparł Frike. - Kto jednak mógł zakłac lorda Azziego w ten sposób?

- Jest wiele możliwości - zastanowiła się Ylith - ale układając to w sekwencje wydarzeń, najbardziej wygląda mi to na sprawkę kogoś niezwykłego - na przykład czarownicy, albo alchemika, albo innego demona, który ma jakiegoś haka na Azziego i który dzięki temu był zdolny przywołać go wbrew jego woli.

- Kiedy zatem ujrzymy go znowu? - zapytał zaniepokojony Frike.

- Nie mam pojęcia - odparła Ylith. - Zależy to od tego, kto go zaczarował, jakiego użył zaklęcia oraz od natury zobowiązania, jakie ciąży na Azziem.

- Ale wróci wkrótce?

Ylith wzruszyła ramionami.

- Może wrócić zaraz, a może też po dniach, tygodniach, miesiącach czy latach - albo wcale. Niezwykle trudno jest odkryć prawdę w takich sprawach a posteriori.

- Bylbym szczęśliwy, mogąc poświęcić swoje „posteriori”, gdyby to tylko mogło sprowadzić go z powrotem! - zawołał Frike.

Zalamał ręce z bólu i niepewności, aż nagle jakaś myśl przebiegła przez zacieniony smutkiem obszar jego mózgu, powodując, że wykrzyknął znowu:

- Och, nie!

- O co chodzi?

- O ciała!

- Co z nimi?

Sa na najlepszej drodze do zgnicia, pani! Nie dalej jak dziś rano zużyliśmy ostatnią porcję lodu i prawie nie mamy już ichoru. Przypomniałem o tym lordowi Azziemu, jak tylko wstał, a on powiedział: „Nie ma obawy, Frike, polacz się z Zaopatrzeniem i dostane więcej krwi bogów, jak tylko skonczy drzemkę”.

- Drzemkę? Mówiłeś chyba, że właśnie wstał?

- Tak, milady, ale lubił się jeszcze zdrzemnąć bezpośrednio po przebudzeniu.

- Teraz, kiedy mi to powiedziałeś, przypominam sobie to bardzo dobrze - przyznała Ylith.

Ruszyła w stronę tej części laboratorium, w której w podobnych otwartym trumnom kadziach, burta w burcie, spoczywały pograżone we śnie ciała królewiat w oczekiwaniu na zmartwychwstanie. Lód z

wysokich Alp stopił się właściwie, wydając z siebie ostatnie struzki wody, a na dnie każdej skrzyni polyskiwała niewielka kaluża ichoru.

- Twój pan postępuje z wielką nonszalancją - zauważyła Ylith.
- Raczej nie spodziewał się, że zostanie zaczarowany, pani - zripostował Frike.
- Przypuszczam, że istotnie nie. Ale najpierw najważniejsze - musimy jakos zahibernować te ciała, Frike.
- Przepraszam, madame?
- Musimy znaleźć sposób na obniżenie ich temperatury!
- Czy jest pani w stanie sprowadzić tu lód z lodowców?
- Ja nie - powiedziała Ylith. - Zaklecia wiedźm nie nadają się do tego rodzaju działań; dostarczanie przedmiotów jest domeną demonów. Jednak nasz demon został porwany. To głupia sytuacja - jesteśmy w kłinczu. - Podeszła do posłania i usiadła na nim. - Przestanie skamleć, Frike, i daj mi pomysłu.

Wróciła do kadzi, pochyliła się nad nimi i pomacała ciała. W dotyku nadal wydawały się zimne, ale Ylith wiedziała, iż są cieplejsze niż powinny. Jeszcze godzina lub dwie i bezcenne okazy Azziego stana się po prostu zgnitym mięsem pełnym robactwa. Wtedy nie będzie już miało znaczenia, czy Azzie wróci, czy nie. Będzie po Zawodach.

- Postaram się coś z tym zrobić, Frike - powiedziała w końcu. - Pogadam z pewnymi ludźmi. Lepiej nie oglądaj mego odlotu - to jest babska magia, nie dla męskich oczu.
- Będzie w swojej izdebce, gdybys mnie potrzebowała - odparł garbus, wynosząc się chyłkiem. Ylith zajęła się swoimi sprawami.

Rozdział siódmy

Ylith wybrała świeżo naładowany kij od miotły i upewniwszy się wprzód, że jej amulety ochronne znajdują się na swoim miejscu, wyleciała z palacu przez okno, wznosząc się prosto w stronę blekitniejszej w wysokich warstwach atmosfery siedziby bogów. W locie mruzczała do siebie zabezpieczające zaklecia, jako że czuła się nieszczęśliwa z powodu tego, co robiła. Jeśli chodzi o utrzymanie w zimnie ciał bohaterów przyszłego spektaklu, jej pierwszą myślą było poprosić o pomoc Harpie.

Czarownice i Harpie odnosiły się do siebie przyjacielsko. Te ostatnie były demonami rodzaju żeńskiego, wprowadzonymi w szeregi Sił Ciemności po załamaniu się mitologii klasycznej. Nie tylko zajmowały się czynieniem zła - już sama ich obecność okazywała się wysoce wstrząsająca dla postronnych. Miały

cuchnacy zgnilizna oddech i obrzydliwe maniery przy stole. Ale to właśnie do nich zdecydowała się zwrócić Ylith, ponieważ - chociaż cuchnęło im z ust - były bardzo bystre. Istniało, co prawda, wiele innych demonicznych bóstw, które Ylith mogła wezwać na pomoc, jednak tylko Harpie, oraz ich siostry Syreny, mogą być liczone w poczet tych istot, które momentalnie rozumieją, czego sobie od nich życzy, a jednocześnie są wystarczająco uczciwe, by dokonać tego, co obiecały.

Leciła uparcie i szybko, i wkrótce przekroczyła szczelinę dzielącą realny świat ludzi od sfery istot niehumanoidalnych oraz nadprzyrodzonych. Natychmiast znalazła się w krainie śnieżnych gór i wzgórz zbudowanych z obłoków. Pomiedzy nimi płynęły rzeki, nad których brzegami wznosiły się niewielkie świątynie - także całe utkane z chmur. Ylith obniżyła nieco pułap lotu i dostrzegła Chimere, a także - w niewielkiej dolinie należącej tylko do niego - Behemota parskającego na jej widok i usiłującego dosięgnąć jej wielkim szponem. Z łatwością ominęła bestię i poleciała dalej w kierunku, gdzie chmury przybierały niebieski odcień, a wszystko poniżej było zabarwione na niebiesko i złoto niczym granice słabo zapamiętanego snu. Zniżając lot, z początku bardzo nieznacznie, dostrzegła postacie pięknych kobiet stojących nad brzegiem sennej rzeki; w ich pobliżu znajdował się wodospad, z którego mogły zeszliżgiwać się do wody i pływać. Potem Ylith obróciła kierunek prowadzący do tego miejsca, gdzie Harpie i Syreny żyły pospół. Zwolniła i wylądowała na lewym brzegu rzeki; był to Styks toczący swe wody z najgłębszej przeszłości ku najdalszej przyszłości. Pod rosnącymi wzdłuż jego koryta drzewami nieznanymi gatunków (ponieważ ciągle jeszcze oczekiwały na swe narodzenie na Ziemi) polegiwały dziewice układające się nonszalancko ku swej wygodzie na trawiastych brzegach Styksu. Było wśród nich osiem Syren i kilka Harpii. Syreny słynęły z wabienia swymi słodkimi piosenkami ludzi, przeważnie żeglarzy, ku ich zgubie. Harpie, złoto-blond piękności z jednymi i dobrze ukształtowanymi piersiami, były bardziej umysłowo rozwinięte od Syren, ale odznaczały się tak okropnymi manierami przy stole, że byle hiena byłaby nimi zawstydzona. Harpie doznawały udreki od przeklętych dusz świata klasycznego, porywających pożywienie z ich ust i obrzygujących wszystko dookoła ognistymi ekskrementami.

Chociaż Ylith postanowiła zachowywać się zuchwale, była nawet więcej niż tylko nieco przestraszona, jako że te starożytne demonice oddawały się różnym perwersjom i dziwnym myślom, a ich nastrój nigdy nie był pewny.

Ale stanęła przed nimi śmiało i powiedziała:

- Siostry, przynoszę wam pozdrowienie ze świata ludzi. Jedna z Syren poruszyła się; była wielka, popielatowłosa blondynka; w ustach trzymała małe różyczki. Trudno było uwierzyć, iż była to Poldarge, jedna z najbardziej złowieszczych chthonicznych kobiecych bóstw.

- Cóż nas obchodzi świat ludzi? - zapytała retorycznie Poldarge. - Naszym domem są brzegi tej wspaniałej rzeki. Tutaj zabawiamy się wzajemnie, śpiewając o bohaterskich czynach z przeszłości. Od czasu do czasu wpada w nasze ręce człowiek wyskakujący za burty łodzi Charona. Wówczas wyciągamy go z rzeki bóstw i zabawiamy się nim, dopóki nie oszaleje, a potem zjadamy go - każda z nas odrywa należną jej część.

- Sądziłam - powiedziała Ylith - że miałabys ochotę na trochę rozrywki, oczywiście w dobrym tonie. Pomimo tego iż brzegi tej rzeki są cudowne, musi ci czasem brakować świata ziemian, w którym dzieją się ciekawe rzeczy.

- Cóż nas obchodzą ludzkie działania? - odparła kolejnym pytaniem Poldarge. - Ale powiedz nam, siostrze, co cie sprowadza?

I Ylith opowiedziała im o wielkich Milenijnych Zawodach oraz o Azziem, i o tym, co i w jaki sposób robi, by stanąć w szranki przeciwko Mocom Dobra, wykorzystując dwa ludzkie istnienia, które po

ożywieniu wstawi do bajki o przewrotnym i złowieszczym morale. Syreny oraz Harpie były zachwycone. Myśl o tym, że przez następnych tysiąc lat będą całkowicie poświęcone Złu, wywołała u nich gęsia skórka perwersyjnej przyjemności.

- Miło mi, że się wam to podoba - rzekła Ylith. - Jest jednak mały problem - zniknął Azzie, przez kogoś z czarowany.

- No, siostrze - odezwała się Poldarge - wiesz, że nie jesteśmy w stanie niczego uczynić w tej sprawie. Mamy zakaz mieszania się w rozgrywki pomiędzy demonami a ludźmi, z wyjątkiem przypadków absolutnie szczególnych; a taki tutaj nie zachodzi.

- Nie mam zamiaru prosić was, byście odnalazły Azziego - zaprotestowała Ylith. - Zrobię to sama, ale zabierze mi to sporo czasu, a w trakcie moich poszukiwań jego aktorzy, tych dwoje młodych mających odegrać rolę Królewicza i Księżniczki Scarlet, pozostawac będzie w nieożywionym stanie w swoich skrzyniach. A ponieważ skończył się lód z alpejskich lodowców, zaś ichor także bliski jest wyczerpania i na dodatek nie ma Azziego, który mógłby zdobyć go więcej, zachodzi poważne ryzyko, że nasi bohaterowie rozłożą się i zgniją w zbyt ciepłej ziemskiej, wiosennej atmosferze, przez co wielka idea Azziego najnormalniej trafi szlag!

- To smutne, bez wątpienia - zauważyła Poldarge. - Ale czemu mówisz to właśnie nam? Nie mamy tutaj lodowca.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Ylith. - Jesteście jednak stworzeniami powietrznymi, zahartowanymi w holowaniu bezradnych ziemskich stworzeń ku ich potępieniu.

- Istotnie, ale co to ma wspólnego z twoimi księżkami?

- Myślę - odrzekła Ylith ostrożnie - że mogłybyście udzielić mi pomocy w zakonserwowaniu ich ciał. Jest tak zimno, którego potrzebujemy - chłód wyższych warstw ziemskiej atmosfery.

Harpie skupiły się na krótką naradę. Potem odezwała się Poldarge:

- W porządku, siostrze - zatroszczymy się o te ciała dla ciebie. Mówiłaś, że gdzie się one teraz znajdują?

- W pałacu demona, w Augsburgu. Żeby tam trafić...

- Nie przejmuj się - przerwała jej Poldarge. - Harpie znajdą każde miejsce na Ziemi. Siostry, leccie za mną.

Poldarge rozpostarła swoje ciemne skrzydła i pomknęła w górne rejony. Dwie inne Harpie podążyły za nią.

Ylith obserwowała ich odlot. Harpie znane były z tego, że wszystko bardzo szybko im się nudziło. Nie miała pewności, czy nie zechce zaniechać podjętego obowiązku i wrócić do rzeki oraz ich niekończącej się gry w mah-jong. Miały jednak także tradycyjne poczucie honoru wobec równych sobie; mogła zatem mieć tylko nadzieję, że została właśnie uznana za przedstawicielkę wybranców.

Także i Ylith była teraz już wysoko w górze. Miała pewne podejrzenia co do tego, gdzie mógł podziwiać się Azzie.

Rozdział ósmy

Kiedy Harpie wyruszyły po ciała Królewicza i Królewny, nikt nie wpadł na pomysł, by powiadomic o tym Frike'a. Pierwsza rzecz, jakiej dowiedział się na temat nowego porządku jego świata, nastąpiła wtedy, gdy para Harpii wpadła z trzaskiem przez okno. W tym czasie garbus siedział na niskim stolku w laboratorium Azziego, wsłuchując się w ciche kap, kap topiacego się nieublaganie lodu i czekając na powrót Ylith. Nagle w pomieszczeniu zapanowało ogromne zamieszanie i rozszedł się ohydny smród.

Zgodnie z nie odkrytymi jeszcze prawami aerodynamiki, za to w celu jak najbardziej skutecznego lotu, Harpie wciągnęły uda w głąb swych ciał, więc ich szerokie, brązowe skrzydła podtrzymywały wyłącznie tułowia ozdobione okazalymi biustami oraz głowami. Zakrakwały zgrzytliwymi głosami i wypróżniły się bezwstydnie na wszystko dookoła.

Frike zakasłal i zagdakał spod stołu. Harpie krzątały wokół pokoju, warczały i skrzeczały. Kiedy namierzyły kadzie, zatrzepotały dookoła nich.

- Precz, paskudy! - krzyknął Frike. - Trzymajcie się od tego z daleka!

I zaczął je gonić z wyjetymi z kominka szczypcami. Harpie odwróciły się i ruszyły na niego, wypierając go z pomieszczenia machaniem skrzydeł zakończonych stalowymi szponami i biciem zielono okutych pazurów. Frike pognał po luk i strzały, ale zanim pojawił się z tą bronią, Harpie podjęły Królewicza i Królewne z ich łóżka i wzniosły się teraz ciężko w powietrze. Frike znalazł wreszcie luk i pośpiesznie wrócił na pole walki, które okazało się miejscem kleski, ponieważ Harpie unosiły się już wysoko na niebie, znikając poza krądzia oddzielająca rzeczywistość od nierealności. Frike pogroził im pięścią, a potem usiadł. Holubił w sobie nadzieję, że Azzie nie będzie domagał się zbyt szczegółowych wyjaśnień na temat tego, co zaszło. Miał zupełnie mizerne pojęcie o wypadkach, których jeszcze przed chwilą był naocznym świadkiem.

A tak przy okazji, to gdzie jest jego pan?

Rozdział dziewiąty

Azzie pracował w swoim laboratorium, kiedy poczuł zniechęcenie to dobrze znane uczucie, jakby psychiczne szarpnięcie, towarzyszące temu, gdy ktoś pragnie cię zczarować. To rodzaj ciągnięcia

biorącego swój początek w glebi trzewi; nie jest ono wcale nieprzyjemne, ale zawsze stanowi niepokojący sygnał tego, co się za nim kryje. Czasem mogłoby być nawet przyjemnie zostać zaczarowanym, kiedy siedzi się, nie mając nic innego do roboty, ale ludzie mają przykry zwyczaj wzywania cie właśnie wtedy, gdy jesteś najmocniej zaangażowany w rzecz wymagająca niezwykłej precyzji i delikatności.

- Psiakrew! - zaklął Azzie.

Nic nie szło zgodnie z jego planem i trudno było powiedzieć, jak długo postoi jeszcze zaczarowany zamek pozbawiony dozoru, za to spięty tylko tracącymi sprawczą moc zaklęciami. Jego młodzi ludzie, Królewicz i Królowna, powinni zostać ożywieni tak szybko, jak to tylko jest możliwe, żeby się nie zepsuli, a tymczasem on sam, Azzie, leciał w powietrzu, niezdolny do wyrecytowania na czas zaklęcia niwelującego to, co się właśnie działo. Co nie znaczy wcale, że gdyby zdążył, coś by to pomogło. Te ogólne zaklęcia często zawodzą w specyficznych okolicznościach.

Azzie zemdlal podczas przelotu. Kiedy przyszedł do siebie, bolała go głowa. Próbowal wstac, ale wygladalo mu na to, ze znajduje sie na jakiejś niezwykle sliskiej powierzchni. Jak tylko sie podniósł, zaraz upadal z powrotem. Nie najlepiej czul sie takze na watpiach.

Lezał w srodku pentagramu; nie znajdziesz silniejszego zaklęcia niż to swinstwo.

Oczywiście, nie był to pierwszy raz, kiedy został zaczarowany. Każdy demon pragnący prowadzić aktywne życie pomiędzy rodzajem ludzkim musi przyzwyczaic się do tego, iż będzie wiele razy podlegał czarom, ponieważ ludzie próbują różnych sztuczek wobec demonów, tak jak i demony wobec nich. Nie było jeszcze takiego okresu historii, by mężczyźni lub kobiety nie wzywali demonów. W rezultacie tej wojny podjazdowej powstało wiele podanych ludowych opowiadających o triumfach lub upadkach ludzi stapających tą grząską ścieżką. To, o czym się nie mówiło, sprowadzało się do suchych statystyk wskazujących, jak często dochodzi do rozsądnych rozwiązań, w wyniku których nawet dusze stają się przedmiotem kupna i sprzedaży. Istnieje starożytny sposób: demon wykonuje rozmaite prace w zamian za dusze pryncypała. Królowie są wielkimi rozdawcami łask i wielu z nich ma demony w swej służbie. Każda sytuacja ma jednak dwie strony - wielu demonom służą i królowie.

- Popatrz, ojczu! Mówiłam ci, że przybedzie!

Głos należał do Brigitte. Triumfujący głos. Stała nad nim - mała dziewczynka z umorusaną twarzą. Wykorzystała obietnicę, jaką na nim wymogła, by go teraz tutaj sprowadzić.

- Wygląda na to, że miałas rację - odrzekł meski, twardy głos.

To był jej ojciec, Thomas Scrivener. Najwyraźniej odzyskał wszystkie zmysły, chociaż, oczywiście, stracił pamięć o Otchłani i swym spotkaniu z demonem. Azzie był wdzięczny za to losowi - niechby tylko raz ludzie posmakowali za dużo wiedzy, a stana się tak niebezpieczni, że nieszczęście gotowe.

- Ach, to ty - powiedział Azzie, przypominając sobie dziewczynkę, która złapała go we wnyki ze sznura od włosienicy jakiegoś świętego w czasach, kiedy opiekował się jej ojcem. - Czego chcesz?

- Spełnienia życzenia - powiedziała Brigitta.

Tak, to była prawda; Azzie był jej dłużnikiem. Chciał jak najusilniej o tym zapomnieć, ale świat magii rejestrował skrupulatnie obietnice dane ludziom przez przedstawicieli sił nadprzyrodzonych jako fakty o wielkiej doniosłości. Było niepodobniństwem, by Azzie nie wywiązał się z danego słowa.

- W porządku - zgodził się. - Otwórz jeden bok pentagramu i wypuść mnie, żebyśmy mogli to przedyskutować.

Brigitka ruszyła naprzód, by wytrzeć linie, ale jej ojciec chwycił ją i szarpnął do tyłu.

- Nie pozwól mu wyjść! Inaczej stracisz nad nim jakąkolwiek władzę!

Azzie wzruszył ramionami; warto było jednak spróbować.

- Panie Scrivener - rzekł - niech pan powie swojej córce, żeby była rozsądna. Możemy to załatwić szybko i każdy pójdzie w swoją stronę.

- Nie słuchaj go! - powiedział Scrivener do dziecka. - Demony są bogate! Możesz prosić, o co tylko chcesz! O cokolwiek!

- Będzie lepiej, jeżeli od razu coś wytłumaczę - odezwał się Azzie. - To jest dość popularny przesąd, ale mogę ci zapewnić, iż nie jest on prawdą. Demony są w stanie spełniać jedynie życzenia znajdujące się w zakresie ich indywidualnych mocy. Tylko demony stojące bardzo wysoko w piekielnej hierarchii mogą obdarować cię wielkim bogactwem.

- Chciałabym nową lalkę - powiedziała Brigitka do ojca.

Azzie w napięciu pochylił się do przodu. Nie mógł uznać tego za w pełni świadomie wyrażone życzenie, dopóki nie zostanie skierowane bezpośrednio do niego. Ale jeżeli powiedziałaby to jeszcze raz...

- Chcesz lalkę, Brigitte? - zapytał pełen nadziei. - Mogę ci dać najpiękniejszą lalkę całego świata. Słyszałaś o Królowej Śniegu, prawda? Ma ona niezwykle domki dla lalek, z małymi postaciami, które poruszają się i pracują, z małymi myszkami biegającymi tam i sam, i z wieloma innymi cudami. Nie pamiętam dokładnie wszystkiego. Chcesz, żeby ci to dostarczyć?

- Zaczekaj! - krzyknął Scrivener, nadal ciągnąc Brigitte wstecz. - On próbuje nas oszukać, córko. Ten demon może dokonać cudów na zawołanie. Może uczynić cię bogatą, zrobić księżniczką...

- No, niezupełnie... - zaprotestował Azzie.

- Poproś o coś istotnie wielkiego! - krzyknął Scrivener. - Albo lepiej przelej prawo do twego życzenia na mnie, a ja zadam ci tyle, byśmy oboje byli naprawdę bogaci; wtedy dam ci wszystkie domki dla lalek, o jakich kiedykolwiek marzyłaś!

- Czy nadal będę musiała zmywać po posiłkach? - zapytała Brigitka.

- Nie, wynajmiemy służącego - zapewnił ją ojciec.

- A będę musiała doić krowy, karmić kury i całą resztę inwentarza?

- Oczywiście, że nie! - potwierdził Scrivener.

- Nie wierz mi, Brigitte! - ostrzegł Azzie małą. - Powiem ci, jak będzie najlepiej dla wszystkich - po prostu poproś mnie o coś miłego, a ja sprawię ci niespodziankę. Co ty na to?

- Nie słuchaj go - powiedział Scrivener. - Musisz w końcu upomnieć się o wielki majątek.

- Nie słuchaj go - powiedział Azzie jak echo. - On zawsze znęcał się nad tobą, czyż nie? Ale ja pamiętam, jaki był wdzięczny za moją pomoc.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Scrivener. - Nie widziałem cię nigdy dotąd.

- To tylko ty tak myślisz - odparował Azzie. - Brigitte, jakiego koloru ma być twój domek dla lalek?

- Gdzie się spotkaliśmy? - naciskał Scrivener.

- To, czego tak naprawdę chce - powiedziała Brigitte - to...

- Czeka! - krzyknął Scrivener. - Jeżeli zadasz czegoś bezwartościowego, przetrzepię ci skórę, młoda damo!

- Chce, żebyś przestał na mnie wrzeszczeć! - wydarła się na Brigitkę.

- Mogę to dla ciebie zrobić - powiedział Azzie i wykonał znak.

Thomas Scrivener otworzył usta, z których nie wydobył się ani jeden dźwięk. Należał się, zawachłował jeżorem a policzki wydęły mu się i oklapły; to było wszystko.

- Co zrobisz? - zapytała Brigitte.

- Spełnię twoje życzenie - odparł Azzie. - Już nigdy nie będzie na ciebie krzychał. Na ciebie ani na nikogo innego.

- To nie w porządku - obruszyła się mała. - Mówiłam do mojego taty, nie do ciebie; nadal jesteś mi winien jedno życzenie.

- Daj już spokój, Brigitte - powiedział Azzie. - Wypowiedz zatem życzenie. Muszę się stąd wydostać.

Thomas Scrivener usiłował coś powiedzieć: jego twarz nabrała niezdrowego koloru purpury, a oczy wybaluszył tak, jakby w ich miejscu miał dwa jajka ugotowane na twardo i obrane ze skorupki. Przedstawiał sobą widok godny pozalowania i Brigitka zaczęła się śmiać, a potem równie nagle przestała. Coś pojawiło się w powietrzu.

Które stęzało.

I była to Ylith wynurzająca się z nicności, rozczochrana, z dymem walącym z końca jej miotły niczym z silnika odrzutowca.

- Azzie! - krzyknęła. - Dobrze, że powiedziałeś mi o tej sprawie z Brigitte i że ja pamiętałam o tym. Jaki problem?

- To chyba oczywiste, nie? - powiedział Azzie. - Ciągłe staram się przekonać tego dzieciaka, żeby wypowiedział swe życzenie, a ja je wówczas spełnię i pójdę sobie. Ale ona i jej ojciec nie mogli dojść do porozumienia, co by to miało być.

Thomas Scrivener wykonał błagalny gest w stronę Ylith.

- Co mu zrobiles? - zapytała.

- No, wiesz... - powiedział. - Brigitka pragnęła, żeby się zamknął, więc pozbawiłem go mowy.

- Och, Azzie, przestan się ciągle zabawiać. A ty, dziecko, czym chciałabys być, kiedy dorosniesz?

Brigitte zastanowiła się.

- Kiedy byłam małą, chciałam być księżniczką.

- Nie wiem, czy Azzie byłby w stanie to załatwić - rzekła Ylith.

- Ale teraz już nie chce - uspokoiła ją dziewczynka. - Teraz chciałabym być taka jak ty, latać na miotle i czarować ludzi.

Ylith uśmiechnęła się.

- Co o tym myślisz, Azzie?

- Jedna wiedźma więcej, co za różnica - rzekł Azzie.

- Czy to jest to, dzieciaku? Pragniesz zostać czarownicą?

- Tak! - powiedziała Brigitka z mocą.

- A co ty o tym sądzisz? - Azzie zwrócił się do Ylith.

- No, cóż... od czasu do czasu biorę kogoś do terminu. Brigitte jest jeszcze nieco za młoda, ale za kilka lat...

- Och, tak. Proszę!

- W porządku - zdecydowała Ylith.

- Zgoda - przypieczętował Azzie. - Masz to załatwione, mała. A teraz wypuść mnie wreszcie.

- Najpierw przywróć głos mojemu tacie.

Co Azzie uczynił, jak go o to poproszono. Thomas Scrivener ruszył momentalnie ku swej córce, by ją zdrowo walnąć w głowę, jednak jego wzniesiona do ciosu ręka powstrzymała jakąś niewidzialną siłą.

- Co zrobiłaś? - kandydatka na wiedźmę zwróciła się do Ylith.

- To zwykła magia - odparła wiedźma, a zwracając się do Scrivenera, dodała: - Bądź dla niej dobry. Za kilka lat ta mała będzie mogła posiekac cię na kawałki. A i ja i także się wtedy z tobą policzę.

Tercja

Rozdział pierwszy

Po uwolnieniu Azziego przez Brigitte z niewoli Ylith związała razem dwie ze swych latających miotł tegim sznurem uplecionym ze słomy i dosiadła ich wraz z demonem, który przywarł do jej pleców. Ruszyli na powrót do Augsburga.

Wrażenia, jakich doznawała na skutek przytulenia się do niej młodego meskiego diabła, były bardzo słodkie. Kiedy jego szpony, sciskające ją za ramiona, muskały niekiedy od niechcenia jej piersi, przenikał ją dreszcz zachwytu. Cóż za rozkosz było tak lecieć z ukochanym ponad chmurami! Na moment wszystkie myśli o jego zdradzie zostały zapomniane, a wszelkie kwestie na temat dobra i zła odłożone na bok, podczas kiedy Ylith brykała w nieskonczonej niebieskości przestworzy, wśród fioletowo zabarwionych chmur topiących się i przekształcających przed jej oczami w fantastyczne kształty. Azziemu także się to podobało, ale napomniwał ją w końcu, by pospieszyli z powrotem do domu. Musza wszak odzyskać ciała młodej pary z rak Harpii.

Po powrocie do palacu Ylith miała wreszcie okazję umyć włosy i spać je w pewnie trzymając się fryzury; teraz była gotowa do dalszej podróży.

Dosiadłszy świeżo naladowanego kija od miotły, Ylith pomknęła w górę lotem strzały, wznosząc się samotnie w przestworza. Ziemia pozostała daleko w dole, a ona dotarła wkrótce do skrzacego się królestwa nieba. Szukała i szukała, ale nie znalazła najmniejszego śladu Harpii. Okrzyła świat po zewnętrznej jego krawędzi - nadal bez rezultatu. Nagle ukazał się jej wolno lecący pelikan, który ją zagadnął:

Szukasz może Harpii z dwoma sztywniakami? Prosiły, żeby ci przekazać, że poczuły się znudzone tą eskapadą, więc zostawiły oba truposze w bezpiecznym miejscu, a same poleciały z powrotem, by się przyłączyć do swych sióstr.

- Powiedziały coś jeszcze? - zapytała Ylith, zmniejszając prędkość na tyle, by obniżyć nieco swą orbitę i zbliżyć się do pelikana.

- Tylko coś o grze w mah-jong - odparło powolne ptaszysko.

- Nie powiedziały ci, gdzie znajduje się ta bezpieczna kryjówka?

- Ani słowa! - rzekł pelikan. - Myślałem, żeby im o tym przypomnieć, ale tyle je widziałem! Nie ma sposobu, abym mógł je przescignąć w locie. Sama wiesz, jakie są szybkie z tym nowym modelem skrzydeł z brązu!

- Z jakiego kierunku nadleciały? - zapytała Ylith.

- Z północy - odrzekł pelikan, wachlując końcami skrzydeł.

- Rzeczywistej czy magnetycznej?

- Rzeczywistej - powiedział ptak.

- Sądze w takim razie, że wiem, gdzie ich szukać - rzekła Ylith.

Skierowała się na północ i dodała gazu, chociaż wiedziała, że pod wiatr spowoduje, iż jej oczy zaczerwienia i się i stana się nieatrakcyjne. Jedną chwilę zabrał jej przelot ponad krajem Franków, a potem minęła porznięte głębokimi fiordami wybrzeże, gdzie wikingowie nadal oddawali cześć i starym bogom i walczyli na topory, młoty i inne narzędzia gospodarstwa domowego. Zostawiła za sobą krainę Laponczyków, którzy instynktownie wyczuli jej przelot podczas swej wędrowki na czele stad reniferów, ale udawali, że jej nie widzą, ponieważ najlepsza postawa, jaką można przyjąć wobec dwuznacznych fenomenów, polega na całkowitym ich zignorowaniu. Wreszcie dotarła do Bieguna Pomocnego, tego rzeczywistego, istniejącego we wnętrzu wyobrazonego punktu prawdziwej i absolutnej północy, w związku z czym niemożliwego do osiągnięcia przez żadnego śmiertelnika. Zeslizgując się w poprzek fałdy rzeczywistości, na której leżał, dostrzegła pod sobą Miasteczko Bożego Narodzenia zbudowane na solidnej bryle lodu nakrywającej Biegun Północny. Postawione tam budynki przedstawiały sobą bardzo ciekawy widok, gdyż wzniesione były z pruskiego muru i pokryte boazerią. Z jednej strony Ylith dostrzegła manufakturę, w której gnomy Świętego Mikołaja wykonywały prezenty dla wszelkich śmiertelnych. Warsztaty te były szeroko znane; tym natomiast, o czym wiedziało się mniej, był fakt, iż na zapleczu znajdowało się specjalne pomieszczenie, do którego sprowadzano esencje Dobra i Zła z tajemnych miejsc ich magazynowania na Ziemi. Każdy prezent nasaczano kroplą pomysłowości lub niepowodzenia i nikt nie był w stanie dokładnie określić, kto jaki rodzaj podarunku otrzyma. Ylith przechodząc przez warsztat i śledząc działania małych facecików wyposażonych w młotki i srubokrety wydawało się, że działał tu ślepy los. Na środku wielkiego stołu montażowego znajdował się dozownik, do którego, blyszcząc, wpadały drobinki szczęścia lub niepowodzenia, każda z nich niczym małe bukiety ziół. Skrzaty sięgały po nie i umieszczały w prezentach, nie patrząc nawet, co im wpadło w rękę.

Ylith zapytała je, czy widziały może, żeby ostatnimi czasy pojawiła się tutaj para Harpii, niosąc dwa zamrożone ciała. Krasnale pokreciły z irytacją głowami. Można je było zrozumieć - wykonywanie i preparowanie podarunków świątecznych to precyzyjna robota i jeżeli ludzie zagadują cię wtedy, to powodują zakłócenie rytmu pracy. Jeden ze skrzatów gwałtownym szarpnięciem głowy wskazał jej zaplecze warsztatu. Ylith weszła tam i na końcu długiego pokoju ujrzała drzwi z napisem: BIURO ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA. Podeszła do nich, zapukała i weszła do środka.

Święty był wielkim, grubym facetem o twarzy, na której łatwo pojawiał się uśmiech. Ale wygląd nie zawsze zdradza prawdę; Mikołaj miał zmarszczone czoło, a jego twarz wydłużała się i wykrzywiała, podczas gdy mówił do magicznej muszli morskiej:

- Halo, czy to Zaopatrzenie? Chciałbym z kims mówić. Odpowiedź nadeszła z wypchanej i powieszanej na ścianie głowy pawiana.

- Tu Zaopatrzenie. Z kim rozmawiam?

- Z Mikolajem, ze Swietym Mikolajem.

- Czy jest pan uprawniony do rozmowy z nami, Mr. Mikolaj?

- Wydaje mi sie, ze nigdy o mnie nie slyszeliscie - odparl Swiety. - Jestem tym facetem, który co roku w grudniu, w okolicy dwudziestego piatego, wedlug nowego kalendarza, przynosi ludziom prezenty.

- Ach, ten Swiety Mikolaj! Kiedy zaczniesz przynosic prezenty demonom?

- Padam juz z przepracowania, dostarczajac podarunki samym ludziom - odparl Mikolaj. - Mam pewien problem...

- Chwileczke - powiedzial glos. - Polacze cie z urzednikiem zajmujacym sie problemami.

Swiety Mikolaj westchnal; znowu starano sie go po prostu zbyc. I wtedy zauwazyl Ylith, która własnie weszla do pokoju.

Mrugnal gwałtownie trzy razy za swoimi niewielkimi okularami o trójkatnych szklach.

- Na Jowisza! Ty nie jestes gnomem, co?

- Nie - odparla Ylith. - Nie jestem takze reniferem. Ale dam ci pewna wskazówke - przylecialam tutaj na miotle.

- W takim razie musisz byc wiedzma.

- Bingo!

- Przybylas, zeby mnie zaczarowac? - zapytal Swiety z nadzieja, sliniac sie nieznacznie, kiedy dotarły don wypuklosci uroków Ylith, migajace posród jej rozwianych szat. - Wiesz, nie mialbym nic przeciwko byciu za(o)czarowanym. Nikt nawet nie myśli o rzuceniu jakiegos zaklecia na Swietego Mikolaja. Tak, jakby od czasu do czasu i mnie nie nalezala sie odrobina rozrywki! Ty tez o tym nie pomyslalas? No tak! Nic, tylko dawaj, dawaj i dawaj przez caly czas. A co ja mam z tego?

- Satysfakcje. Plawisz sie w milosci wszystkich ludzi.

- Oni kochaja prezenty, nie mnie.

- Dajacy jest czescia podarunku.

Swiety Mikolaj przerwal na chwile swe zale i zastanowil sie.

- Naprawde tak sadzisz?

- Czy mogloby byc inaczej?

- No, tak jest lepiej - przyznal Swiety. - Moge zapytac, co cie tutaj sprowadza? Nie ma tu nikogo prócz tych przekletych karłów i reniferów. No i mnie, oczywiscie.

- Przyleciałam - odparła Ylith - by zabrac pewne pakunki, które tu dla mnie zostawiono.
 - Bagaze? Co masz na myśli?
 - Dwoje ludzi: jedna kobieta i jeden mężczyzna. Oboje solidnie zamrozeni. Przyniosły je tutaj Harpie.
 - Och, te wstretne Harpie! - wykrzyknął Święty. - Po ich pobycie śnieg zżółkł na kilka mil wokół!
 - A co z moimi mrozonkami?
 - Są na zapleczu, w drewni.
 - Weźmie je teraz - powiedziała Ylith. - Och, i jeszcze jedna rzecz. Jest na ziemi taka mała dziewczynka, Brigitte Scrivener.
 - Mała tupeciara z umorusaną buzią? - Święty zawsze pamiętał każdego gówniarza.
 - To ona. Chciałabym cię prosić, byś dał jej w tym roku domek dla lalek z rodzaju tych, jakie zwykle dajesz księżniczkom. Z ruchomymi postaciami, tapetami na ścianach, radioodbiornikami i innymi magicznymi gadżetami.
 - Ta mała musi być bardzo dobrym dzieckiem, co?
 - Dobroć nie ma z tym nic wspólnego - odparła Ylith. - Wymogła to na demonie i jest to część należnej jej zapłaty.
 - A dlaczego ten demon sam jej tego nie da?
 - Ma coś innego na głowie. Nie wiesz, jakie są demony?
- Święty Mikołaj pokiwał głową ze zrozumieniem.
- Okay. Mała dostanie swój prezent. Czy chcesz, żebym osobiście zadbał o to, aby trafiła do niego odrobina szczęścia?
- Ylith zastanowiła się nad tym poważnie.
- Nie, zdaj się na przypadek. Domek dla lalek wystarczy; sama będzie musiała stanąć wobec takiej samej szansy na szczęście, jak wszyscy inni.
 - Madra decyzja - pochwalił Święty. - A teraz, za nim odejdziesz, pozwól, że i tobie wręczę prezent.
 - O czym ty mówisz?
 - O tym! - krzyknął Święty Mikołaj, szarpiąc się ze swoją spodnią bielizną.
 - Dzięki, mimo wszystko - powiedziała Ylith, odsuwając go z łatwością - ale naprawdę nie mam teraz ochoty. Zatrzymaj to dla jakiejś innej szczęśliwej wybranki.
 - Ale żadna z nich nie przechodzi tedy! - poskarżył się Święty. - Tutaj są tylko elfy i renifery!

Trudno! - Ylith wyszła do drewnutni, skąd wyciągnęła ciała Królewicza i Królowy Scarlet; oba były zmarznięte na kamień i ciężkie niczym grzech.

Ylith była zmuszona przywołać całą swoją moc, by je unieść ze sobą.

- Prześlij mi jedną ze swoich koleżanek! - zawołał Święty Mikołaj. - Powiedz im, że daję prezenty!

- Powiem im - obiecała Ylith. - Wiedzą, że uwielbiają podarunki.

A potem wzniósła się w powietrze, targając ze sobą ciała Królewicza i Scarlet. Obróciła kurs na pałac Azziego w Augsburgu, leciała tak szybko, jak tylko była w stanie.

Rozdział drugi

Azzie spacerował nerwowo w ogrodzie od tyłu, kiedy Frike powiedział don:

- Wydaje mi się, że to ona, panie!

Wskazywał przy tym na wschodnią połacie nieba. Gdy Azzie spojrział tam, dostrzegł Ylith lecącą wolno na czterech miotłach i ciągnącą za sobą dwa zmarznięte ciała zawieszane pod nimi na sznurach.

Uważaj, jak będziesz z nimi siadać! - zawołał Azzie, kiedy zachybotała się nieznacznie, podchodząc do lądowania.

- Nie ucz czarownicy latać na miotle! - odparowała Ylith, opuszczając z gracją swoje brzemie w pobliżu drzwi prowadzących do laboratorium.

- Nareszcie - powiedział Azzie, podchodząc, by obejrzeć swoją parę bohaterów. - Nie spieszyło ci się zbyt z powrotem!

- Wielkie dzięki! - warknęła Ylith. - Następnym razem sam sobie biegaj za swoimi kadawrami! I daj im własne oczy!

Azzie momentalnie zmienił front.

- Przepraszam, Ylith, ale ja naprawdę muszę się pośpieszyć; w przeciwnym razie nigdy nie postawię tych dwojga na nogi, by na czas wprowadzić ich do Zawodów. Zdobyłem trochę boskiego ichoru. Zapakujmy tam na razie Królewicza, a Scarlet weźmy do jej zamku i ożywmy ją.

- Jak sobie życzysz - powiedziała Ylith.

- Wspaniale - zauważył Azzie, kiedy uporali się z Królewiczem. - Mam nadzieję, że w zamku wszystko

jest gotowe. Wyruszamy natychmiast.

Tak też zrobili. Ylith taszczyła Scarlet, wciąż sztywna i zimna, a Azzie, wykorzystując swoje znaczne moce aeronautyczne, podał za nią, holując Frike'a oraz worek zapasów i mogących się przydać niezbędnych zakleć.

- Rozpal ogień - polecił Azzie Frike'owi dużo później, kiedy już osiągnęli, przeznaczone na apartamenty dla Scarlet, pomieszczenia na górnym piętrze zaczarowanego zamku.

Najpierw, oczywiście, musieli ją ożywić.

- Masz oczy? - zapytał Azzie.

- Tutaj - odparła Ylith. - Ta para należała do Chodlosa, który malował ją jako Magdalene.

- A co dla Królewicza?

- Oczy Skandera, smoka.

- Bardzo dobrze - pochwalił Azzie. - Dlaczego tutaj nadal jest tak cholernie zimno?

Godzine temu Frike rozpalil wielki ogień w kominku sypialni Królewny Scarlet, ale pomieszczenie nie ogrzało się od tego w najmniejszym stopniu. Kamienne ściany zdawały się wysysać każdą odrobinę ciepła. W ten sposób nigdy nie doprowadza do odtajania Scarlet. Teraz widzieli ją, nieco powykręcana, poprzez ściane błyszczącego niebiesko lodu. Rysy jej twarzy wydawały się emanować spokojem. Szwy położone przez Frike'a były niezbyt widoczne. Nogi tancerki, przymocowane do tułowia modelki Magdaleny, garbus przyfastrygował w połowie długości ud, co sprawiało wrażenie podwiązek. Frike wykazywał się czasem zadziwiająca zreżymacją.

Ale dlaczego tak długo trwało rozmrażanie Królewny? Czy w lodzie tkwiło jakieś magiczne zaklecie? Azzie postukał w niego szponami, by stwierdzić, że ledwo zmieł na powierzchni. Wciąż nie było wystarczająco ciepło. Azzie zazał już dobrą chwilę temu zakleć ocieplających-uszczelniających, ale te jeszcze nie nadeszły. Poprosił o nie powtórnie, posługując się swą czarną kartą o niewyczerpanym kredycie, by zapewnić sobie natychmiastową dostawę. Momentalnie w komnacie nastąpiła stłumiona eksplozja i nowiusienkie jak spod igły zaklecie ocieplające wpadło do pomieszczenia schłodzone zamknięte w swej nieprzezroczystej skorupce jajka.

- Nareszcie! - powiedział Azzie, rozbijając kruche opakowanie.

Zaklecie wypłynęło cichutko na zewnątrz, a temperatura w komnacie podskoczyła niemal natychmiast o dziesięć stopni.

- A teraz do procedury reanimacyjnej - zakomenderował Azzie, kiedy lód zaczął wreszcie tajać. - Szybko, Frike, dawaj ichor!

Sluzacy zgarbil sie jeszcze bardziej nad lezaca poziomo Królewna i spryskal jej twarz krwia bogów.

- Teraz zaklecie rezurekcyjne - zdecydował Azzie, i wyrecytował je.

Ludzki składak noszący od niedawna imię Scarlet pozostał martwy jak kłoc drewna. Potem ledwo widoczne drzenie przebiegło przez policzki królewny, a pięknie ukształtowane wargi rozdzieliły się,

ukazując mały języczek, który zaczął smakować ichor. Delikatny nosek rozszerzył się, ciało napreżyło i ponownie zwiótczało.

- Szybko! - krzyknął Azzie. - Włóż oczy!

Galki oczne gładko wskoczyły na swoje miejsce. Teraz niezbędne stało się kolejne zaklecie, włączające wizję, bardzo rzadkie, ale Zaopatrzenie było w stanie je dostarczyć. Gdy Azzie zaintonował je, powieki Królowny Scarlet zatrzępotwały i podniosły się. Nowe oczy, o głębokim szafirowym odcieniu zagapiły się na świat. Jej twarz nabrała wyrazu i ożywiła się. Rozejrzała się wokół i cicho jęknęła.

- Kim wy jesteście? - zapytała Scarlet.

Głos miała donosny, oschły i w dodatku zrzędlawy. Azziemu nie podobano się jego brzmienie, ale szczęśliwie to nie on musiał ją pokochać. To było zadanie dla Księcia.

Królowna, dopiero co powstałe istnienie, nie dysponowała żadną pamięcią. Należało zatem wyjaśnić jej pewne sprawy.

- Kim jesteś? - wykrzyknęła ponownie.

- Jestem twoim wujem Azziem - odparł Azzie. - Pamiętasz mnie z pewnością?

- Och, oczywiście - skłamała Scarlet, bo oczywiście widziała faceta pierwszy raz w życiu; śmierć zatarła w jej umyśle wszelkie wspomnienia, złe i dobre tak samo; po czym kostucha wypuściła ją ze swych szponów na świat z umysłem jako tabula rasa.

- Co się dzieje, wujku? Gdzie jest mama?

To było oczekiwane pytanie. Wszystkie żyjące stworzenia przyjmują a priori, iż miały matkę i nigdy nie przyjdzie im do głowy, że można zostać zszytym z kawałków niczym szmaciana lalka.

- Mamusia i tatus - odparł Azzie - lub raczej Ich Królewskie Moście pozostają pod władaniem czarów.

- Powiedziałas: „Królewskie Moście”?

- Tak, moja droga. Ty, co oczywiście, jesteś księżniczka, królowna Scarlet. Chcesz z pewnością uwolnić swych rodziców od zaklecia, prawda?

- Co? A tak, tak, pewnie - powiedziała Scarlet. - Wiec jestem królowna!

- Twoi rodzice mogą zostać odczarowani - ciągnął Azzie - tylko pod warunkiem, że ty sama zostaniesz uwolniona od zaklecia.

- Jestem zaczarowana?

- Dokładnie tak, moje złotko.

- W porządku - zdejmij zatem ze mnie ten czar.

- Obawiam się, że nie potrafię tego zrobić - skłonił się Azzie. - Nie jestem właściwą osobą.

- O, do diabła! A jakiego rodzaju czar na mnie spoczywa?

- Zaklecie snu. Spędzasz dwadzieścia kilka godzin dobe, spiac lub drzemiac; nazywaja cie tez Spiaca Królowna. Tylko jeden czlowiek moze zdjac czar - jest nim Królewicz.

- Kto to taki?

- Nikt, kogo znalabys wczesniej, moja droga. Królewicz jest wspanialym, przystojnym mlodym mezczyzna pochodzacym ze znamienitej rodziny, który wlasnie calkiem niedawno dowiedzial sie o twym pozalowania godnym polozeniu. Jest juz w drodze, by dotrzec tutaj jak najspieszniej i obudzic cie pocalunkiem, przywracajac cie zyciu i rozkoszy. Scarlet zastanowila sie.

- Niezle to brzmi. Ale czy jestes pewny, ze to mi sie nie sni?

- To nie jest sen, jezeli nie rozpatrywac tego w tym znaczeniu, ze wszystko - jawa i sen, zycie i smierc - moze byc snem. Ale zostawmy na boku metafizyke; to wszystko jest prawda i spoczywa na tobie zaklecie snu. Mozesz mi wierzyc. Oczywiscie, nie snisz w tej chwili, poniewaz musze porozmawiac z toba i doradzic ci kilka rzeczy.

- A moze zaklecie nie dziala? - chciala wiedziec Scarlet.

- Obawiam sie, ze dziala, i to calkiem niezle - odparl Azzie, wyjmujac ukradkiem z kieszeni senne zaklecie i naciskajac niewielki uaktywniajacy je sztyft.

Scarlet ziewnela.

- Masz racje. Jestem spiaca. A nie zjadlam nawet kolacji!

- Przygotujemy dla ciebie wieczerze, kiedy juz sie obudzisz na dobre - obiecal Azzie.

Oczy Królowny zamknely sie i wkrótce zapadla w sen. Azzie, pod baczny spojrzaniem Ylith, zaniósł dziewczynie do jej sypialni i polozyl na łózk, otulajac ja koldra.

Przez nastepnych kilka dni stalo sie oczywistym, ze z Ksiezniczka Scarlet beda trudnosci. Nie chciala sluchac Azziego, ani nawet cioteczki Ylith, z calym jej milym i inteligentnym podejsciem do dziewczyny. Scarlet byla niezwykle piekna, bez dwóch zdan, i nie ostatni z jej uroków polegal na tym, ze dlugie, oliwkowe i ponad miare ksztaltne nogi tancerki unosily alabastrowo biale cialo ukoronowane blond glówka. Ciemny polysk skóry jej nóg sprawial wrazenie, ze nosi jedwabne ponczochoy. Nie bylo w niej nic, co raziloby poczucie piekna. Jednak wlasnie owe dlugie nogi stanowily problem sam w sobie, gdyz zdawaly sie podlegac wlasnej karmie - królowna trwala w szponach jakiejś tanecznej manii. Azzie musial wypróbować dziesiatki czarów, zanim udalo mu sie opanowac to zjawisko; a i tak, pomimo pozostawania pod wplywem zaklecia spiaczki, Scarlet - niczym lunaticzka wiedziona przez swe roztanczone nogi - schodzila w dól do wielkiej sali balowej, gdzie plasala do rytmu flamenco slyszanego tylko przez nia sama. Azzie musial bardzo uwazac na te somnambuliczne wedrówki królowny.

- Ylith - zapytal - czy moglabys zostac tutaj i zaopiekowac sie nia? Mam wrazenie, ze jej ruchy sa jeszcze nieco niepewne; moglaby upasc i sie zranic. Ale ma w sobie ducha i jestem pewny, ze wykona wszystko to, czego od niej oczekujemy.

- Mam nadzieje - rzekla Ylith. - Przy okazji, poprosilam Swietego Mikołaja, zeby na Boze Narodzenie podarowal Brigitte ów wspanialy domek dla lalek.

- Och, dzieki.

- Powiedzialam mu o tym na wypadek, gdybys zapomnial o swojej obietnicy.

- Nie zapomnialem - zaprzeczyl Azzie, chociaz na prawde calkiem wylecialo mu to z glowy. - Ale dzieki mimo wszystko. Opiekuj sie nia dobrze, co?

- Robie to dla ciebie, Azzie - powiedziala Ylith z czuloscia w glosie.

- Naprawde to doceniam - zapewnil ja demon glosem swiadczacym, iz jest dokladnie na odwrot. - Lece do prowadzic do porzadku Królewicza i wracam. Spotkamy sie pozniej, okay?

Ylith potrzasnala glowa, podczas gdy jej demon odlatywal w blysku efektownych ogni sztucznych. Dlaczego zawsze zakochuje sie w demonach? A jezeli juz, to dlaczego wlasnie w Azziem? Nie wiedziala. Drogi przeznaczenia sa niezbadane, trzeba to w koncu wyraznie powiedziec.

Rozdzial trzeci

Mam nadzieje, ze z nim nie bedzie zadnych problemow - powiedzial Azzie. - Smocze oczy masz pod reka, Frike?

- Tak, panie - odparl garbus.

Otworzyl woreczek z impregnowanej, wodoodpornej irchy, w którym galki oczne Skandera moczyly sie w roztworze boskiej krwi, slonej wody i octu. Frike wyjal oczy, pamietajac przede wszystkim o uprzednim wytarciu rak o kitel roboczy, ubierany przezen w tych dniach dla zwiakszenia rezimu higieny - do tej pory traktowanej po macoszemu, podczas gdy nagle wydalala sie wazna w zaistnialej sytuacji.

- Cudowne, sam przyznasz? - zapytal Azzie, wkładajac je w oczodoly Królewicza i aplikujac ichor w ich kaciki.

Istotnie, byly to niezwykle piekne oczy, w kolorze dymnego topazu, z glebokim blaskiem igrajacym w ich wnetrzu.

- Martwia mnie one - powiedzial Frike. - Oczy smoka widza na wskros kazdy falsz.

- To jest wlasnie to, czego potrzeba naszemu bohaterowi.

- Ale czy on nie dojrzy nieprawdziwosci tego wszystkiego? - zapytal Frike, wyciagnietym ramieniem

wskazując całe otoczenie: pałac, Azziego i siebie.

- Nie, mój dobry Frike'u - odparł Azzie. - Smocze oczy nie mogą przejrzeć kłamliwości sytuacji, w jakiej same się znajdują. Dostrzega zdzbrodnie w oku bliźniego, lecz nie zauważa belki u siebie. Nasz Królówic nie da się, co prawda, łatwo sprowadzić na manowce, ale nie będzie także ani dostatecznie mądry, ani dalekowzroczny, by odkryć prawdę o sobie i swojej sytuacji.

- O, drgnął - zauważył Frike.

Azzie przedsięwziął stosowne środki ostrożności, przybierając postać miłego wujaszka.

- Dalej, dalej, chłopczku - powiedział, głaszcząc złote loki młodzieńca.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Królówic.

- Byłoby lepiej, gdybyś raczej spytał, kim jesteś - stwierdził Azzie. - Potem powinieneś chcieć wiedzieć, kim ja jestem. Pytanie „gdzie” znajduje się na trzecim miejscu na liście ważnych życiowych kwestii.

- W porządku... Zatem kim jestem?

- Jesteś szlachetnym księciem, którego imię zostało zapomniane, a który znany jest jako Zaczarowany Królówic, inaczej Czarus.

- Zaklęty Królówic - zadumał się młody zmartwychwstańca. - Podejrzewam, że znaczy to, iż mam w sobie błękitną krew, czyż nie?

- Tak, sędze, że tak - odparł Azzie. - A ja jestem twoim wujem Azziem.

Królówic zaakceptował to z wystarczającą gotowością.

- Cześć, wuju Azzie. Nie pamiętam cie, co prawda, ale skoro twierdzisz, iż jesteś moim wujem, to wspaniale - nie mam nic przeciwko temu. Teraz, kiedy wiem już to wszystko, mogę spytać, gdzie jesteś?

- Oczywiście - zgodził się „wuj” Azzie. - W Augsburgu.

- To miło - odparł Królówic z wahaniem. - Mam wrażenie, że zawsze chciałem zobaczyć to miasto.

- Nawet powinieneś to zrobić - powiedział Azzie, uśmiechając się do siebie na myśl o tym, jaka uległa i podatna perswazji kreature udało mu się stworzyć. - Zdasz się dobrze przyjrzeć miastu podczas czekających cię przygotowań, a potem znowu, kiedy będziesz opuszczał jego mury, wyruszając na poszukiwania.

- Poszukiwania, wuju?

- Tak, chłopcze. Przed tym nieszczęśliwym wypadkiem, który spowodował utratę przez ciebie pamięci, byłeś bardzo sławnym wojownikiem.

- Co mi się przytrafiło?

Walczyłeś dzielnie przeciwko chmarze wrogów i usmierciłeś wielu z nich - jesteś znakomitym

szermierzem, musisz wiedzieć - ale jeden z tych tchórzliwych lotrów zaszedł ci od tyłu i grzmotnął w łeb pałacem, kiedy się tego zupełnie nie spodziewałeś.

- Takie zachowanie wydaje mi się mocno nie w porządku.

- Ludzie często zachowują się nie fair - stwierdził filozoficznie Azzie. - Jesteś zbyt niewinny, by o tym wiedzieć. Zresztą, nieważne. Twoje czyste serce i wzniosłość ducha zdobędą ci najlepszą opinię, gdziekolwiek się znajdziesz.

- To miłe, co mówisz - rzekł Król Lewicz. - Chcę, by ludzie byli wysokiego o mnie mniemania.

- Tak będzie, mój chłopcze, kiedy okryjesz się chwałą, dokonując wielkiego dzieła, któremu jesteś przeznaczony.

- O jaki to czyn chodzi, wuju?

- O pokonanie rozmaitych niebezpieczeństw oddzielających cię od Scarlet, Drzemiaczej Królowej.

- Jakiej Królowej? O czym ty w ogóle mówisz?

- Opowiadam ci o wielkim czynie, który rozśławi twe imię na cały świat, dając ci jednocześnie szczęście przechodzące ludzką miarę.

- Brzmi niezłe, wuju. Mów dalej. Nadmieniasz coś chyba o Śpiącej Królowej?

- Drzemiaczej, nie Śpiącej. Choć w praktyce sprowadza się to do tego samego. Mój chłopcze, jest zapisane, iż tylko pocałunek twoich warg zdolny jest wyrwać ją ze szponów ciążącego na niej zaklęcia. A kiedy obudzi się i cię ujrzy, wtedy zakocha się w tobie do szaleństwa. Ty także zapalasz do niej uczuciem - i wszyscy będą bardzo szczęśliwi.

- Czy ona jest ładna, ta królowa? - zainteresował się młodzieniec.

- Lepiej w to uwierz - poradził mu Azzie. - Obudzisz ją pocałunkiem, a ona otworzy oczy i spojrzy na ciebie. Ramionami miękko otoczy twój kark i podniesie swą twarz ku tobie; ty zaś poznasz rozkosz tego gatunku, jaki nieczęsto dany jest śmiertelnikom.

- Ale będzie radocha, co? - zapytał Król Lewicz. - Czy właśnie to miałeś na myśli, wuju?

- To zbyt słabe określenie, by oddać cały ogrom przyjemności, jakich doznasz.

- Brzmi to wspaniale!

- Król Lewicz wstał i przeszedł na próbie kilka kroków dookoła pokoju.

- Bierzmy się zatem do dzieła, co? Pocałuje ją, a potem oddamy się naszemu barabara!

- Obawiam się, że to nie może stać się tak szybko, jak sobie wyobrazasz - pohamował jego zapędy Azzie.

- Dlaczego nie?

- Nie jest łatwo zdobyć Królowne. Musisz na swej drodze pokonać wiele niebezpieczeństw.

- Jakiego rodzaju? Bardzo groźnych?

- Obawiam się, że tak - rzekł Azzie. - Ale nie martw się, pokonasz je wszystkie bez trudu, jak tylko Frike i ja zabierzemy się za twoje treningi we władaniu bronią.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, iż byłem w tym dobry?

- Tak - mruknął Azzie - zwłaszcza że machając miotłą, nie można się poważnie zranić!

- Szczerze mówiąc - ciągnął Królewicz - ta cała sprawa wygląda groźnie.

- Oczywiście, że taka jest - stwierdził Azzie. - Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo. Ale nie przejmuj się, wyjdiesz z tego bez szwanku. Ja i Frike wyszkolimy cię we władaniu bronią, a potem wyruszysz w drogę.

- Sama broń jest niebezpieczna. Ludzie mogą cię zabić przy jej pomocy; pamiętam to bardzo dobrze.

„Powinieneś być zapamiętać swym zajęczym sercem” - pomyślał Azzie, a głośno powiedział:

- Dostaniesz pierwszorzędną broń, której nic się nie oprze. I magiczne zaklęcia. A przede wszystkim - magiczny miecz!

- Miecz! - wykrzyknął Królewicz z nie dającym się ukryć obrzydzeniem w głosie. - Teraz przypominam sobie, co to są miecze! To przeraźliwie ostre przedmioty, których ludzie z łobozia używają, by zadawać nimi jeden drugiemu wielkie rany!

- Pamiętaj o nagrodzie! - zawołał Azzie. - Pomyśl o Królownie! Będziesz zmuszony walczyć, oczywiście, ale upewniam cię, że przemożesz wszystkie przeciwności.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Czarus. - Przykro mi, ale naprawdę nie mogę!

- Dlaczego? - nalegał Azzie.

- Ponieważ przypomniałem sobie teraz, że unikałem służby w wojsku z pobudek religijnych!

- Diabła tam! Dopiero co się całkowicie odrodziłeś! To znaczy, wyrwałem cię z głębokiej komy wywołanej odniesionymi przez ciebie ranami. Skąd ci nagle przyszło do głowy, że migales się od wojska?

- Wiem to z całą pewnością - upierał się Czarus - że gdybym tylko znalazł się w sytuacji groźnej użyłbym przemocy, zemdlalibyśmy momentalnie na amen.

Azzie spojrzał na Frike'a, który zawiesił pusty wzrok na jakiejś plamce na ścianie. Nawet ten pozornie niewinny bezruch dopuszczał możliwość interpretacji. Azzie wiedział, że Frike tajemnie nasmiewa się z niego; z tego, iż demon zadał sobie tak wiele trudu, stwarzając Księcia, by w końcu zarzącać cały zamysł obdarzając go sercem tchórza.

- Trzymaj to teraz prosto - powiedział Azzie do Czarusia. - Zaczynasz swój trening. Potem wrecze cię zaczarowany miecz, który pokona i przebiję wszystko, co spotkasz na swej drodze. A jeszcze później

ruszysz na poszukiwania.

- A co, jeżeli zostanie ranny?

- Zaklęty Książe! - rzekł Azzie surowo. - Lepiej by było, gdybyś zapanował nad swoim strachem. Zapewniam cię, iż wyjdiesz stąd wyposażony w magiczny miecz i sam zobaczysz, czego potrafisz z nim dokonać; albo nawet sam będziesz chciał mi go zabrać. Ponieważ jednak mam wielu demonicznych przyjaciół, toteż próba zawładnięcia orężem może być dużo bardziej bolesna, niż potrafisz to sobie wyobrazić. A teraz idź do swego pokoju i umyj się. Już prawie pora na kolację.

- Co tu się jada? - zapytał Czarus. - Coś francuskiego, z dużą ilością sosu, mam nadzieję.

- Befszyk i ziemniaki - ostudził go Azzie. - Tworzymy tutaj muskulaturę szermierza, a nie nauczyciela tańca.

- Tak, wuju - powiedział Królewicz.

I poszedł sobie. Było coś wyraźnie nie dopracowanego w jego chodzie. Azzie zagapił się na Frike'a nie mającego śmiałości się odezwąć. Po chwili służę wywiał z pomieszczenia. Azzie przyciągnął fotel przed kominek i zasiadł w nim, zapatrzywszy się w ogień. Czuł się zmuszony przedsięwziąć coś zupełnie nadzwyczajnego, było bowiem pewne, iż Czarus (niech go cholera!) zostanie ranny i ucieknie, kiedy tylko zagrozi mu najmniejsze choćby niebezpieczeństwo. A to mogłoby narazić Azziego na posmiewisko w trzech światach, na co demon nie miał najmniejszej ochoty.

Rozdział czwarty

Od następnego ranka Azzie wziął Czarusia w obroty - rozpoczęły się treningi. Najpierw ćwiczenia z szermierki. Dla młodego człowieka, mającego stanąć twarzą w twarz z zaczarowanymi przeciwnościami losu, miecz stanowi nieocenioną, wszechstronną broń. Właściwie użyty, jest w stanie zabijać właściwie mimochodem, bez żadnego wysiłku ze strony posługującego się nim rebusy.

Książe wykazywał znaczny, wrodzony talent do białej broni. Jego tułów i prawe ramię stanowiły niegdys własność wojownika będącego bardzo dobrym szermierzem. Owa zrezygnacja w operowaniu białą bronią wychodziła na jaw, kiedy Czarus zadawał pchnięcie z wypadu lub parował cios - wsparty na wysuniętej do przodu prawej stopie i zasłonięty furkoczącą niczym wiatrak błyszcząca stała. Nawet Azzie, szermierz wcale nieposłedni, czuł się mocno naciskany wykonywanymi z impetem przez Czarusia wypadami i zrezygnacjami ripostami.

Mimo to Królewicz wydawał się ze swej natury niezdolny do wykorzystywania przewagi, kiedy już udawało mu się ją osiągnąć. Azzie, ubrany jedynie w starą kolczugę i noszone pod nią lekkie zaklęcie magiczne odwracające bieg miecza w górnej partii klatki piersiowej, ćwiczył z nim bez końca podstawowe ciosy i akcje.

- Dalejze! - nawolywal, podczas gdy obaj dyszeli z wysilku na ocienionym boisku poza domem. -
Odpowiedz na mój cios! Atakuj mnie!

- Nie chcialbym cie zranic, wuju - odpowiadal Czarus.

- Uwierz mi, ze nawet nie zdolasz mnie drasnac. Dawaj teraz, idz na mnie!

Ksiaze próbował, ale jego wrodzone tchórzostwo powstrzymywalo go w ostatniej chwili. Kiedykolwiek znalazl sie dostatecznie blisko Azziego, by zadac mu mordercze pchniecie, momentalnie trafil caly zapal, a gibki demon byl w stanie przebic sie przez jego obrone i krzyknac: Touche!

Jeszcze gorzej bywalo wtedy, kiedy to Azzie atakowal, wydajac z siebie bojowe okrzyki oraz tupiac noga - cala zrecznosc Czarusia we wladaniu bronia przepadala gdzies, a Królewicz odwracal sie i zmykal.

Przygladajacy sie temu Frike potrzasal z ubolewaniem glowa. Kto mógł przewidziec, ze ta niewielka czesc Czarusiowego ciala, jego zajecze serce, zapanuje calkowicie nad calym skladanym Ksieciem?

Azzie próbował rozmaitych zaklec we wlasnym wykonaniu, majac nadzieje, iz tchnie tym sposobem w niego nieco odwagi, ale owo cos zatwardzialego, siedzacego mocno w Czarusiu zdawalo sie rownie nieczule na namowe, co i na zaklecia.

Kiedy nie zajmowali sie szermierka ani innymi cwiczeniami, Ksiaze Czarus zaszywal sie w niewielkim wykuszu okiennym znajdujacych sie w odleglej czesci nieruchomosci Azziego. Tutaj trzymal swa kolekcje - poniewaz niezaleznie od swego obiecujacego wygladu, oddawal sie zabawom z lalkami, ubierajac je i usadzajac do podwieczorku. Azzie przemysliwal nad wyrzuceniem tego zbiorowiska Barbie, zanim Czarus nie nauczyl sie atakowac mieczem jak nalezy, ale Frike odwiódl go od tego pomyslu.

- Bardzo czesto - powiedzial garbus - odebranie dzieciacych przyjemnosci mlodemu czlowiekowi moze go zalamac. Czarus jest wystarczajaco malo pewny siebie i bez zabierania mu jego zabawek.

I Azzie musial przyznac mu racje. Bylo jednak dla niego oczywiste, ze cos trzeba z tym wszystkim zrobic. Po pierwsze, musi dac Królewiczowi Zaczarowany Miecz.

Zaopatrzenie obiecalo jeden juz tak dawno temu, iz zdawalo sie, ze od tamtej pory minely wieki cale, ale ciagle nie bylo szansy na pojawienie sie naprawde dobrego, autentycznego wyrobu; i miecza jak nie bylo, tak nie bylo. Mieli oczywiscie mnóstwo Prawie Zawsze Zwycieskich Mieczów, ale zadnego naprawde zaczarowanego miecza-samosieca, wyposazonego w mozliwosc przelamana kazdej obrony, poszatkwania smoka mimo jego lusek i zatopienia gleboko w sercu dowolnego wroga. Wszystkie magiczne miecze, o jakich wiedzial Azzie, byly aktualnie w uzyciu przez innych herosów. Dla Azziego nie bylo bynajmniej tajemnica, ze nie tylko on prowadzi swe poszukiwania w tym czasie. Argumentowal, co prawda, ze jego Zawody sa czymś absolutnie nadzwyczajnym, poniewaz zwyciestwo w nich (lub przegrana) bedzie miala wplyw ni mniej, ni wiecej tylko na pomyslność Zła przez nastepnych tysiac lat.

- Pewnie - odparl jakis urzedniczyna z Zaopatrzenia - wszyscy mówicie dokladnie to samo: waznosc, nadzwyczajne pelnomocnictwa - wierzaj mi, slyszymy to na okraglo.

- Ale masz przed soba wlasnie ten przypadek, kiedy to jest szczerza prawda!

Urzednik usmiechnal sie nieprzyjaznie.

- Jasne, tak samo prawdziwe, jak cała reszta.

Azzie zdecydował się zostawić sprawę treningów Czarusia w rękach Frike'a, który zdawał się napawac Ksiecia odrobine mniejszym przerażeniem, a sam salwował się ucieczką do zamku Królowy Scarlet, by zorientować się, jak tam przebiegają przygotowania.

Wylądował w pobliżu zaczarowanego lasu. Spędził wiele czasu, projektując go, i Zaopatrzenie wywiązało się rzeczywiście dobrze, dostarczając mu to, czego zadał. Stał na jego skraju, badając wewnątrz wzrokiem. Las był zielony, porośnięty dołem krzewami - dokładnie tak, jak las powinien wyglądać. Azzie ruszył w głąb kniei. Zanim jeszcze przekroczył zieloną granicę, drzewa poczęły się poruszać, a ich konary skrecać wolno w dół, by go pochwycić i wziąć w swe posiadanie. Azzie wymykał się im bez trudu. Las nie miał w swym arsenale ogólnie przyjętego uzupełnienia w postaci legendarnych zwierząt czy straszliwych stworzeń, a galezie drzew poruszały się na tyle wolno, że nawet taki jolop jak Czarus mógł uniknąć ich uścisków bez najmniejszej trudności.

Cholera, pomyślał Azzie, dlaczego Zaopatrzenie trzymało go w zanadrzu właśnie dla mnie?

Zły, poleciał z powrotem do Augsburga zobaczyć, jakie też postępy poczynił Frike w trenowaniu Królewicza. Znalazł swego służącego siedzącego na frontowej werandzie i palaszującego jabłko.

- Co się dzieje? - zapytał Azzie. - Dlaczego nie od bywacie treningu?

Frike wzruszył ramionami.

Czarus stwierdził, że ma dosyć. Powiedział, iż zdecydował się ślubować, że nie zabije żadnego żyjącego stworzenia. Nie wiem, czy dasz temu wiare, panie, ale stał się wegetarianinem i zastanawia się nad wstąpieniem do klasztoru i poddaniem się jego regule.

- No, miarka się przebrała! - rzekł Azzie.

- Zgadzą się, panie - poparł go Frike. - Ale co możesz zrobić w tej sytuacji?

- Potrzebuje opinii biegłego - zdecydował Azzie. - Idź, przygotuj moje magiczne proszki i Amulet Wypraw. Nadszedł czas, abym to ja kogoś przywołał.

Rozdział piąty

Z początku Azzie był przekonany, że jego zaklęcia nie podziałały, ponieważ bez względu na to, jak demon wyteżał się nad przywołaniem go, Hermes nie zjawiał się. Spróbował ponownie, posługując się wielkimi świecami odlanymi z sadła umarłaka i przechowywanymi na wypadek szczególnie trudnych okoliczności. Tym razem poczuł, że zaklęcie działa. Utworzona przez nie ścieżka przesłała moc i czuł, jak

biegnie wskros eteru, wkrecając się w szczelinę pomiędzy światami i niuchając wokół niczym tropiący pies myśliwski. A potem Azzie usłyszał niezadowolony głos, mówiący:

- W porządku, nie śpisz już.

W kilka chwil później bohaterska, białomarmurowa postać Hermesa zmaterializowała się przed demonem. Bóg czesał jeszcze swoje długie, kasztanowe włosy, zdając się być bardziej niż tylko zirytowanym.

- Mój drogi Azzie, powinieneś lepiej wiedzieć, jak używać do przywołania mnie równie ekspresowego zaklecia! My, duchowi doradcy, mamy także swoje osobiste życie, o czym doskonale wiesz. Nie jest miło musieć rzucić wszystko i lecieć ciupasem na wezwanie jakiegoś młodego demona; na przykład ciebie, nie szukając daleko.

- Bardzo mi przykro... - wybałał Azzie - ale w przeszłości bywałeś dla mnie tak wspaniałomyślny... a mój problem jest bardzo poważny!

- Dobrze, posłuchajmy zatem - zgodził się Hermes. - Nie sądzę, żebyś miał gdzieś tutaj pod ręką szklanke ichoru?

- Ależ mam, oczywiście - pośpieszył z zapewnieniem Azzie, napełniając krwią bogów puchar rzucony z jednego kawałka ametystu.

Podczas kiedy bóstwo popijało ichor małymi łyżkami, Azzie wyluszczał szczegółowo swoje trudności związane z osobą Księcia Czarusa.

- Niech się zastanowie - powiedział Hermes. - Tak, pamiętam pewne stare pisma traktujące o tym. To, co robi twój Czarus, znane jest w literaturze fachowej jako klasyczny kompleks Bohatera Odrzucającego Niebezpieczeństwo.

- Nie wiedziałem, że herosom się to przytrafia - zdziwił się Azzie.

- O, tak. To dość powszechny syndrom. Czy wiesz cokolwiek o rodzimym twojego podopiecznego?

- On nie ma żadnej rodziny! - zdenerwował się Azzie. - Sam go stworzyłem - od początku do końca!

- Wiem, że tak było - zgodził się Hermes - ale miej na uwadze, czego dowiedzieliśmy się na temat jego nóg. Wszystkie części Czarusiowego ciała mają własną historię i pamięć; a szczególnie - serce.

- Ma serce tchórza - przyznał Azzie. - Nigdy nie zadałem sobie trudu, by zbadać dokładniej jego proweniencję.

- Sprawdź to dla ciebie - zaoferował się Hermes.

I zniknął, ale nie wśród chmury czy obłoku dymu, jak to czynią ostatnie demony, tylko w wielkim rozbłysku ognia. Azzie uwielbiał to; było to coś, czego naprawdę pragnął się nauczyć.

Wkrótce Hermes był z powrotem.

- Tak jak podejrzewałem. Zajęte serce twego kadawra należało do średniego spośród trzech synów.

- I co z tego? Jakie to ma znaczenie?

- Według Dawnej Wiedzy średni syn jest z reguły najmniej warty. Najstarszy dziedziczy tron. Naturalna kolejka rzeczy najmłodszy rusza na poszukiwanie przygód i zdobywa sobie własne królestwo. Średni natomiast kreci się cały czas w pobliżu, nic więcej nie robiąc. To normalna kwestia doboru naturalnego.

- Na ogień piekielny! - krzyknął Azzie. - I to właśnie ja musiałem nadzieję mieć na średniego syna, który jest tchórzem?! Co mam poczwać?

- Dopóki ciągle jeszcze jest on ostatecznie nie uformowany, istnieje pewna nadzieja na to, że uda się zmienić jego umysł. Być może zdołasz go przekonać, że jest najmłodszym synem - wówczas bardziej będzie pasował do planowanej awantury.

- Czy to spowoduje, że przestanie być tchórzem?

- Obawiam się, że nie - powiedział Hermes. - Jego tchórzostwo jest wrodzone i nie uda ci się wyplenić go przez napominanie! Może zaś okazać się pomocne, gdy opowiesz mu historie o tym, jak zawsze i srodzy byli jego przodkowie.

- Co zatem sugerujesz? - zapytał Azzie.

- Jedynym znanym środkiem przeciwko tchórzostwu - odparł Hermes - jest zioło znane jako *gutsia sempervirens*.

- Gdzie to zioło rośnie? - chciał wiedzieć Azzie. - Naprawdę działa?

- Jego skuteczność jest poza jakakolwiek wątpliwością.

- *Gutsia*, albo „odważniaczek”, jak ją także zwa, przepaja męczyzną brawurą i obojętnością wobec niebezpieczeństw. Musisz stosować ją z umiarem, ponieważ w przeciwnym razie odwaga zamieni się w szalencze ryzykanctwo i twój bohater zostanie zabity, zanim jeszcze właściwie zacznie działać.

- Trudno mi sobie wyobrazić Czarusię jako stracenicę!

- Zaaplikuj mu dawkę „odważniaczka” mniej więcej miary najmniejszego paznokcia u palca, a zobaczysz rezultat, który przejdzie twoje najsmielsze oczekiwania! Miej także na uwadze, że najlepiej jest zrównoważyć działanie *gutsii* poprzez dodanie *coolandrii*, inaczej chłodnika pospolitego, zioła ostrożnego przewidywania.

- Będzie pamiętał - zapewnił Azzie. - A teraz - gdzie mogę znaleźć te *gutsie*?

- Z tym jest prawdziwa trudność - zwierzył się Hermes. - W czasach Złotego Wieku było jej wszędzie pełno i nikt nie trudził się jej zbieraniem, ponieważ to nie odwaga wówczas potrzebowała najbardziej, tylko nieposkromionej żądzy zabawy. Potem nastąpiła Epoka Brazy, kiedy mężczyźni poczęli bić się pomiędzy sobą, a jeszcze później Wiek Żelaza, gdy walczyli już przeciwko wszystkiemu jak leci. Wtedy konsumowano owo zioło w ogromnych ilościach. Jest to jeden z powodów, dla których człowiek antyku był tak waleczny. Jednakże rodzaj ludzki o mało nie wymarł doszczętnie za sprawą zbyt wielkiej liczby bitew prowadzonych z nadmierną brawurą. Szczęśliwie, wraz ze zmianą klimatu, która nadeszła ze schyłkiem epoki, żagony „odważniaczka” zmarniały, i teraz można go znaleźć w jednym tylko miejscu.

- Powiedz mi, gdzie to jest.

- Na tylnych półkach w Zaopatrzeniu - odparł Hermes - kiedy zapomniane sadzonki uschły, po czym włożono je do tynktury z ichoru, by je zabezpieczyć na wieczność.

- Ale ja pytałem Zaopatrzenie właśnie o coś takiego! Odpowiedzieli mi, że nigdy nie słyszeli o niczym podobnym!

- To jest całe Zaopatrzenie! - rzekł Hermes. - Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby się tam dostać i przedsięwziąć naprawdę wyczerpujące poszukiwania. Przykro mi, Azzie, ale nie ma nic innego, jak myśleć, co mogłoby cię zadowolić.

To była cholerna trudność, ponieważ Zaopatrzenie stawalo się coraz mniej chętne do współpracy. W rzeczywistości Azzie miał wrażenie, że raporty z jego prośbami odsyłane są ad acta, a urzędnicy ucinają sobie potem solidne drzemki w oczekiwaniu na cud, że może samo coś się zdarzy. Wiedział, że jest w kłopotach. Na wszelki wypadek porozmawiał sobie z Królewiczem, rozwodzając się szczegółowo nad heroicznymi czynami jego zmyślonych napredce antenatów oraz polecając mu nasładować ich w każdym calu. Czarus nie był tym zainteresowany ani poruszony w najmniejszym stopniu. Nawet kiedy Azzie przyniósł mu niewielkie portrety Scarlet wykonane przez artystów z piekła rodem, którym nie można było zarzucić, iż nie oddali piękna rysów jej twarzy, młody człowiek nadal wydawał się obojętny i mówił coś o otwarciu butiku, kiedy będzie nieco starszy.

Rozdział szósty

Był wczesny wieczór. Przez cały dzień wrzesniowe słońce ślalo swe promienie na pałac w Augsburgu. Azzie siedział w, z grubą ciosanym, wygodnym krześle, czytając przybyły z Departamentu Spraw Piekielnych latawiec, jaki od czasu do czasu mu posyłano. Był to zwykły okólnik wzywający każdego demona do czynienia zła dla wspólnej sprawy; pismo zawierało także listę piekielnych kompetencji nad ludzkością oraz kalendarz z zapowiedziami narodzin dzieci-odmienców, które zostaną podłożone do ludzkich kolebek, podczas gdy normalne noworodki zabierze się i przeafasonuje, po czym wysle w celu zwiększenia populacji szczepu Azteków z Nowego Świata, którego krwawe ofiary wzbudzały w Piekło powszechne uwielbienie. Zaznaczono tam również Święto Podpalania Domostw i terminy wyprzedazy w Otchłani - wszystkie te codzienne sprawy, okraszone gdzieś kilkoma wiadomościami. Azzie przeczytał to, chociaż nie był niczym specjalnie zainteresowany. Czasami można było znaleźć coś użytecznego w tych swojskich, prostych akapitach - ale jeszcze częściej nie.

A potem, kiedy jego powieki stawały się coraz cięższe i zaczął drzemać przed kominkiem, u wielkich drzwi wejściowych rozległo się gwałtowne i głośne kolatanie. Zahuczalo tak natarczywie, że Azzie o mało nie spadł z fotela, a Czarus zajęty kopiowaniem z glinianej tabliczki na pergamin wzorów greckich strojów podskoczył jak oparzony i zwał, zanim jeszcze echo ostatniego uderzenia przebrzmiało w porosniętej krzewami dolinie. Tylko stary Frike zachował kamienny spokój, chociaż w jego wypadku nie było to wcale wynikiem niesłychanej odwagi; nagły, głośny łomot przestraszył go do tego stopnia, iż sprowadził nan całkowitą niemoc ruchową, jak to się dzieje z przerażonym do szpiku kości królikiem,

podczas gdy z góry spada nan, niczym bolid, sokół ze stulonymi skrzydłami i wyciągniętymi do ataku szponami.

- Nieco późno, jak na odwiedzin - zdumiał się Azzie.

- Także nieco zbyt głośno - dodał Frike, którego paraliz opuścił na tyle, że mógł zacząć trząść się ze strachu.

- Weź się w garść, człowieku - polecił Azzie. - To prawdopodobnie jakiś zblakany podróżny, który zgubił drogę. Nastaw wielki czajnik wody, a ja pójdę zobaczyć, ki diabeł.

Azzie podszedł do drzwi i odsunął masywne rygle, dwukrotnie kute z wulkanicznej stali. Za nimi ukazała się wysoka postać ubrana na biało. Na głowie przybysz nosił prosty, złoty hełm z przymocowanymi po obu bokach skrzydłami gołębia, a niżej śnieżnobiała zbroja; z ramion spływał mu również biały płaszcz gronostajowy. Obcy był przystojny tym mdłym rodzajem urody, na który składają się miło ukształtowane rysy twarzy i wielkie, błękitne oczy.

- Cześć! - powiedział. - Mam nadzieję, iż trafiłem pod właściwy adres. Czy to jest rezydencja demona Azziego Elbuba?

- W tej sprawie nie mylisz się - odparł Azzie - ale cokolwiek masz na sprzedaż, nie potrzebuje tego. Jak smiesz przerywać mój wypoczynek?

- Strasznie mi przykro, że się narzucam, ale polecono mi dotrzeć tutaj najszybciej, jak tylko można.

- Polecono? Kto?

- Komitet Koordynujący Rady Sił Światłości ds. Zawodów Milenijnych.

- Jesteś przedstawicielem Dobra?

- Tak. Oto moje listy uwierzytelniające.

Przybyły wyjął przewiazany szkarłatną wstążką zwój pergaminu i wręczył go Azziemu. Ten rozwinął go z furkotem i czytał napisane w ponurym, ciężkim, gotyckim druku używanym przez Radę polecenie, nakazujące zezwolic okazicielowi niniejszego, Babielowi, aniołowi drugiej klasy w Siłach Światłości, na wejście dokadkolwiek by sobie zazyczył oraz przyglądanie się wszystkiemu, co zajmie jego uwagę; stało tam także, iż ten generalny przywilej Babiela dotyczy w szczególności demona Azziego Elbuba, do którego anioł został przydzielony jako oficjalny obserwator.

Azzie zagapił się na intruza.

- Jakim prawem Moce Światłości przysyłają cię tutaj? Zajmuje się działaniami wyłącznie na rzecz Sił Ciemności i przeciwna strona nie ma najmniejszego powodu, by wściubić do nas swój nos!

- Spieszę cię zapewnić, iż nie mam najmniejszego zamiaru przeszkadzać ci w czymkolwiek. Czy mogę wejść i wyjaśnić do końca swą misję?

Azzie został tak zaskoczony bezczelnością reprezentanta Dobra, że nie zdobył się na żaden protest, gdy złotowłosy anioł wkroczył do palacu i rozejrzał się wokół.

- Cóż za mile miejsce! - powiedział. - Szczególnie podobają mi się te totemy.

Wskazał przy tym prawa, zachodnia ścianę, gdzie we wnękach znajdowały się liczne głowy demonów wyrzeźbione w czarnym onyksie; nosiły one różne kształty - małpy, sokola, zmię, a z Nowego Świata - rosomaka.

- To nie są totemy, dumiu - oburzył się Azzie. - Patrzysz na popiersia moich antenatów!

- A ten? - dociekał dalej nie zrażony Babriel, wskazując postać przedstawiciela łasicowatych.

- To jest mój wujek Zanzibar. Wyemigrował na Grenlandię, zabierając się z Erykiem Rudobrodym i pozostał tam, by stać się bożkiem nagrobnym.

- Cóż za rozpodróżowana rodzina! - zachwycił się anioł. - Podziwiam Zło za jego ekspansywność i wigor. To oczywiście źle, ale nic nie mogę poradzić na te fascynacje. Tak przy okazji - nazywam się Babriel.

- Jeżeli jesteś aniołem - odezwał się Frike - to gdzie są twoje skrzydła?

Babriel rozpiął rzemienie zbroi, pod którą - mocno scisnięta - znajdowała się para skrzydeł; rozwinięte zajaśniały piękną, kawowo-mleczną barwą niczym sierść konia zwanego palomino.

- Czego chcesz zatem? - przeszedł do rzeczy Azzie. - Mam ważną robotę, a nie mam czasu na oprowadzanie cie i towarzyskie pogawranki.

- Mówiłem ci - wysłały mnie Siły Światłości. Zostało zdecydowane przez Wysoką Radę, że twoje zgłoszenie uczestnictwa w Zawodach Milenijnych zasługuje na naszą wielką uwagę. Ponieważ stanowi to tak ważne wydarzenie, wydawało się konieczne wysłanie obserwatora, którego zadaniem będzie się upewnić, czy nie próbujesz oszukiwać. Nie będziemy cie o to oskarżali, broni Boże. Bez żadnej obrazy; po prostu w naszym interesie jest mieć oczy szeroko otwarte.

- Wygląda na to, że nie dość jeszcze miałem kłopotów! - zauważył Azzie. - Dostałem zatem anioła, który cały czas będzie mi zaglądał przez ramię!

- Ja właśnie chcę tylko obserwować - potwierdził Babriel. - Tam, skąd przybywam, wiele słyszymy o tym, co to jest Zło, ale nigdy dotąd nie widziałem niczego zakazanego.

- Musi być niezłe nudno u was - stwierdził Azzie.

- Tak, oczywiście. Ale to jest Dobro, więc mimo wszystko podoba się nam. Jednak szansa ujżenia prawdziwego demona w akcji - robiącego te wszelkie złe rzeczy - to, muszę wyznać, podnieca mnie.

- Podoba ci się to, co?

- Och, nie! Nie posuwałbym się tak daleko. Ale z całą pewnością interesuje mnie. A także, być może, mógłbym nawet być ci w czymś pomocny.

- Ty mnie? Zartujesz chyba!

- Wiem, że to może wydawać się dziwne, ale Dobro, w samej swej naturze, ma skłonność do bycia pomocnym i użytecznym, nawet gdy ma do czynienia ze Złem. Prawdziwe Dobro nie ma uprzedzeń

wobec Zła.

- To jest to, co zawsze chciałem usłyszeć na wasz temat - rzekł Azzie. - Mam nadzieję, że nie palasz misjonarskim zacieciem i nie będziesz próbował przeciwnac mnie na swoją stronę. Nie masz szans. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Z całą pewnością nie będę stwarzał ci kłopotów. Twoi mocodawcy zgodzili się na moją obecność tutaj.

- Te papiery wyglądają mi na dostatecznie oficjalne - przyznał Azzie. - Nic nie mogę przeciwko temu poradzić. Przypatruj się zatem, czemu tylko chcesz, ale nie próbuj ukraszać żadnego z moich zakleć!

- Przedzaj dalbym sobie odciąć prawa dłoni, niżbym miał Ci coś wykraść! - oburzył się Babil.

- Wierzę ci - powiedział Azzie. - Ty naprawdę jesteś głupcem. Zresztą, nieważne - dodał szybko, widząc, iż Babil najwyraźniej czuje się mocno zbity z tropu. - To tylko mój zwykły sposób wyrażania się. Zarcie jest w spizarni. Chociaż, jak się tak zastanawiam, to chyba moje jądło nie będzie ci smakować. Frike, zdobądź parę kurczaków ze Wsi dla naszego gościa.

- Bylbym zachwycony, mogąc uczestniczyć w twoich posiłkach, bez względu na to, co jadasz.

- Nie, nie bylbys. Zaufaj mi w tej kwestii. A zatem, co w tych dniach porabia Dobro?

- Nasze przygotowania posuwają się wcale dobrze - odparł Babil. - Fundamenty i to wszystko... wiesz, transepty, nawa, chór...

- Przygotowania? O czym ty mówisz?

- O naszym udziale w Zawodach Milenijnych.

- Budujecie coś w tym celu?

- Oczywiście. Natchnelismy pewnym pomysłem mistrza budowlanego i poderwalismy całą wioskę do pracy przy masywnym, monumentalnym przedsięwzięciu. To będzie przesławna struktura - inspirująca ludzką do wyższych spraw - prowadząca myśli ku prawdzie, pięknu, dobroci...

- Jak się nazywa ta rzecz?

- Używamy terminu „katedra gotycka”.

- Hm, tak. I wam, chłopaki, też wsadzono obserwatora?

- Owszem, jest nim Bestial. Azzie prychnął lekceważąco.

- Tak naprawdę nie należy do personelu naziemnego - powiedział. - To pierdzistolek. Pewny, jak mniemam, kiedy zwraca na coś uwagę. Sądziś zatem, że Dobro ma niezły start w Zawodach?

- O, tak. Jesteśmy szczęśliwi z tego powodu - odparł Babil. - I to jest właśnie to, o co pytales - co robimy. Ale znasz powiedzenie: „Jest dobrze, ale zawsze może być lepiej”.

- Dokładnie tak samo jest ze Złem - zgodził się Azzie. - Chodźmy do mojej pracowni, poczęstujcie

lykiem ichoru.

- Słyszałem o nim, ale nigdy nie próbowałem. Czy jest odurzający?

- Ma kopa - odparł Azzie. - Na tym polega życie.

Babriel zrozumiał to opacznie, trzeba przyznać. Ale kiedyż to Dobro może porozumieć się ze Złem? Podążył za Azziem do pracowni.

- A zatem - powiedział Azzie - jeżeli musisz zostać, to zostań. Podejrzewam, że chcesz zamieszkać tutaj na miejscu, w pałacu?

- Byłoby to poręczne ze względu na moje obowiązki - odparł Babriel. - Mogę ci płacić czynsz...

- Czy uważasz mnie za całkiem pozbawionego fantazji? - zapytał Azzie, chociaż myślał o pobieraniu komornego przebiegła mu przez głowę. - Jesteś moim gościem. Tam, skąd pochodzę, gość jest święty.

- Tak samo jest u nas - przyznał Babriel.

- Wielka mi rzecz! - zakpił Azzie. - Potraktowanie przybysza przez istotę wychowaną w Światłości niczym świętego nie jest wielką ofiarą; ale uczynienie tego samego przez kogoś przynależnego Ciemności - o, to coś zupełnie nadzwyczajnego!

- Właśnie to chciałem powiedzieć - zgodził się Babriel.

- Nie próbuj brać mnie pod włos! - huknął Azzie. - Znam wasze sztuczki i gardzę tobą oraz wszystkim, co za tobą stoi!

- Tak powinno być - przyznał Babriel z uśmiechem.

- Zatem i ty mna gardzisz?

- Wcale nie! Ale sądzę, że tego się spodziewałeś. Jesteś tym, co nasi archaniołowie nazywają złem pierwotnym. To wielki przywilej móc widzieć cie w akcji.

- Pochlebstwem daleko nie zajdziesz - powiedział Azzie, odkrywając jednocześnie, z konsternacją, że raczej lubi Babriela; zdecydował, że powinien zaraz coś z tym zrobić.

- Zaprowadź go do małego pokoju na poddaszu - polecił Frike'owi.

Frike wziął lampę naftową; postukując przed sobą laseczką, zgięty niemal we dwoje pod ciężarem swego garbu Sterczacego niczym wieloryb z wody, ruszył ku schodom z podążającym za nim Babrielem.

Schody piły się nieskonczenie w górę, mijając wypastowane korytarze i pokoje dolnych pieter; kiedy weszli jeszcze wyżej, stały się bardziej strome i wąskie, a od czasu do czasu brakowało w nich nawet jakiegos stopnia. Frike stapał zdecydowanie, a Babriel - wysoki i wyprostowany, w białym płaszczu polyskującym niewyraźnie w świetle płomienia - pochylał głowę, by uniknąć zderzenia z niskimi belkami stropu. Wreszcie dotarli do ostatniego podestu schodów starego domiszcza, gdzie na końcu krótkiego, ciemnego korytarzyka znajdowały się samotne drzwi. Frike otworzył je i przekroczył próg

pomieszczenia, wnosząc swą lampę. W jej migotliwym, żółtym świetle Babriel ujrzał pokój z sufitem tak niskim, że nie mógł w nim stanąć wyprostowany. Wysoko, wstawione pod kątem, by pasowało do spadzistoci dachu, znajdowało się małe okienko z szybami oprawionymi w olów. Za całe wyposażenie lokum służyło żelazne łóżko i mały drewniany nocny stolik. Podłoga zascielana grubą warstwą kurzu i śmierdziała kocia ruja oraz zdechłymi cmami.

- Bardzo miły pokój - powiedział Babriel.

- Chyba trochę za mały - odparł Frike. - Być może, gdybyś poprosił mojego pana, pozwoliłby ci zamieszkać w jednym z apartamentów na trzecim piętrze.

- Nie ma potrzeby - zaprotestował Babriel. - Ten będzie w sam raz.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytał Frike.

- Boska Służba Kurierska. Bagaze anioła Babriela.

- Och, doskonale - powiedział rzeczony anioł i otworzył drzwi.

Za nimi stał mężczyzna średniego wzrostu z głową ozdobioną czapką doreczyciela; bez słowa podał Babrielowi kawałek papieru oraz pióro. Anioł podpisał i zwrócił kwit. Kurier pociągnął się za lok nad czołem i zniknął.

- To moje bagaze - odezwał się Babriel do Frike'a. - Gdzie mogę je złożyć?

Garbus rozejrzył się wokół pełen wątpliwości.

- Może na łóżku, ale wówczas nie będziesz miał gdzie spać.

- To się jakos samo ułoży - stwierdził Babriel, wsuwając walizkę do pokoju; była to bardzo wielka waliza i jedyne dla niej miejsce w tym pomieszczeniu stanowiło posłanie, ponieważ obaj z Frike'em zajmowali większość wolnej powierzchni podłogi.

Babriel spojrzał dookoła i zapytał:

- Myślisz, że zmieści się w kacie?

Frike przyjrzał się ostremu winkłowi uformowanemu przez zbiegające się ściany poddasza.

- Nie wpełchnalbyś tam mysiego truchła, a co dopiero taki sakwojaz!

- Spróbujmy mimo wszystko - zdecydował Babriel i zepchnął bagaż z łóżka w stronę rogu pomieszczenia.

Pomiędzy brzegiem posłania a ścianą było zaledwie kilka cali, ale nagle poruszył się zrab dachu. Ściana, miast go powstrzymać, wyrzuciła się na zewnątrz, robiąc wolne miejsce na walizkę, a za nią podążyła jej towarzysząca, by proporcje pokoju były zachowane. Podniósł się także sufit i Frike wkrótce stwierdził, że znajduje się w całkiem sporym pomieszczeniu, a nie w tej klitce, do której niedawno wszedł.

- Jak tego dokonałeś? - zapytał.

- Można się nauczyć paru przydatnych rzeczy, jeżeli człowiek dużo kreci się po świecie - odparł Babilon skromnie.

Oprócz tego, że pokój zwiększył swą kubaturę, stał się także jasniejszy z powodów, które nie od razu stały się oczywiste. Oczy Frike'a robiły się większe i większe, podczas gdy słyszał odgłos drobnych kroczków dobiegających od strony jego stóp. Spojrzawszy w dół, ujrzał coś małego, mniej więcej wielkości szczura, uciekającego co sił z zasięgu wzroku. Frike mrugnął i kiedy wróciła mu ostrość widzenia, zobaczył, że podłoga, pokryta jeszcze przed chwilą warstwą kurzu i kocich odchodów gruba na całość, jest świeżo zamieciona i wypastowana. Ogarnęła go panika.

- Powiem mojemu panu, że zagospodarowałeś się na dobre - powiedział Frike, i zniknął.

Piec minut później Azzie znalazł się w pokoju Babilona. Obejrzał pomieszczenie - dwa razy większe, niż je widział ostatnim razem, wspaniale oświetlone, ładnie umeblowane, czyste, pachnące mirra i kadzidłem oraz z małymi drzwiczkami prowadzącymi do wyłożonej kafelkami łazienki, o której Azzie cholernie dobrze wiedział, iż nigdy wcześniej jej nie było.

W szafie z otwartymi drzwiami wisiały tuziny uniformów Babilona w każdym kroju i gatunku, niektóre z medalami, a wiele spośród nich z przesadnie wielkimi kołnierzeniami i ogromnymi mankietami. Sam Babilon ubrany był w coś podobnego; na głowie miał spiczastą czapkę i Azzie pomyślał, że wygląda w tym tyleż śmiesznie, co groźnie.

- Ciesz się, widzisz, że czujesz się po domowym - zagaił Azzie.

- Pozwoliłem sobie nieco zmienić to miejsce. Z przyjemnością przywróćę mu poprzedni wygląd, kiedy je opuścisz.

- Nie przejmuj się tym - powiedział Azzie. - Gdybym tylko wiedział, że masz taki kaprys, spełniłbym go natychmiast. Co to jest?

Azzie wskazał na trójkątny kształt z masy perłowej i pozłocanego brązu, który wisiał u pasa Babilona.

- Och, to tylko mój telefon - odparł anioł. - Dzięki niemu mogę być w stałym kontakcie ze swoją kwaterą główną.

Azzie popatrzył z uznaniem na miniaturowe urządzenie.

- Mamy jeszcze nie wynaleźli własnego!

- Pokochasz go, kiedy już go dostaniesz - zapewnił go Babilon.

Rozdział siódmy

Panowała miła wrzesniowa pogoda. Azzie zdążył się już nieco bardziej przyzwyczaić do goszczenia pod swoim dachem Babiela, którego pokój kontynuował swą ekspansję i Azzie zmuszony był prosić anioła, by poskromił swoje zapędy, ponieważ z powodu ciężaru apartamentu powstawał moment obrotowy grozący przewróceniem całego domostwa. Treningi Królewicza toczyły się swoim własnym torem. Młody człowiek zdawał się bardziej ufać we własne siły, co było wynikiem tego, iż Azzie faszerował go różnymi ziołowymi mieszankami oraz innymi egzotycznymi składnikami: jako to sproszkowanym rogiem jednorożca, ususzonym gównem banshee, szkockiej zjawy zwiastującej śmierć, i predestylowanym trupim potem. Po tej kuracji Czarus był w stanie zdzierzyć Frike'owi na drewniane miecze, choć trzeba przyznać, iż garbus walczył swym lewym, chromym ramieniem, by szanse pojedynku były bardziej wyrównane. Stanowiło to i tak bezsprzeczny postęp, chociaż nadal bardzo trudno było powiedzieć, kiedy młody Książę będzie gotów stanąć twarzą w twarz z prawdziwym wrogiem.

Nastaly dni i noce pełne spokoju. Azzie ubolewał tylko nad faktem nieobecności Ylith, ale koniecznością było pozostawienie jej w zaczarowanym zamku, by sprawowała pieczę nad Królowną Scarlet, której buntownicza natura nadal dawała znać o sobie.

Pewnego wieczoru, kiedy Azzie siedział w bawialni, paląc fajkę i racząc się z małego talerzyka sercami rosomaków w sosie teriyaki, ponad jego głowę rozległ się wielki harmider. Babiela, czytający jedną ze swych niekończących się ksiąg o tym, jak być dobrym, spojrzawszy w górę przestraszony tumultem spowodowanym przez zwierzęce racice bijące o dach. Po chwili do tego hałasu dołączył się odgłos skrobania oraz soczystych przekleństw; Azzie usłyszał głośne chrząknięcie i lament, a na końcu coś ciężkiego, torującego sobie drogę w dół.

Szczęśliwie się złożyło, że była to połowa wrzesnia i na kominku nie palił się ogień; Święty Mikołaj wynurzył się z jego czelusi usmarowany sadzą na swoim czerwonym wdzianku i z krzywo nasadzona na głowie czapka z chwostem, spod której patrzył wilkiem oczami ukrytymi w upakowanej popiołem twarzy.

- Dlaczego - dopytywał się niespodziewany gość - zasunales szyber w kominie? To bardzo utrudnia dostanie się do środka. Poza tym twój przewód kominowy nie był czyszczony od wieków!

- Przykro mi, Świętuszku - odparł Azzie - ale nie oczekiwałem cie o tej porze roku. Poza tym, nieczęsto odwiedzasz demony.

- To dlatego, iż tkwi w moim charakterze przymus, żeby dostarczać prezenty najpierw ludziom. A ich jest z dnia na dzień coraz więcej.

- W pełni to rozumiem - odpowiedział Azzie. - W każdym razie my, demony, mamy własne sposoby dawania i otrzymywania podarunków. Ale zdradz mi, co jest powodem twego przybycia? Jeżeli to towarzyska wizyta, to mogłes przecież skorzystać z frontowych drzwi.

- Mam interes - wyprowadził go krótko z błędu Święty Mikołaj. - Ekspresowa przesyłka dla młodej wiedźmy, która podała mi ten adres. Ylith jej na imię. Jest tutaj?

- Nie, przebywa w innym moim zamku - odparł Azzie. - Mogę być w czymś pomocny?

- Mógłbys przyjac to dla niej? - Swiety wyjal wielkie, opakowane w wesoly papier pudlo z calej ich sterty.

- Pewnie, z przyjemnoscia.

- Dasz mi slowo, ze ona to dostanie? - dopytywal sie Swiety. - To prezent dla malej dziewczynki imieniem Brigitte, której Ylith to przyrzekla.

- Dopilnuje, zeby tak sie stalo.

- Wielkie dzieki - wysapal Mikolaj. - Nadmienialem Ylith o tym, jak na Biegunie Pólnocnym kazdy czuje sie niezwykle samotny. Powiedziala, ze w zwiazku z tym przysle w tamte strony kilka czarownic, abym mógł obsypac je prezentami i miec fajna zabawe.

- Wiedzmy sa przereklamowane. Nie spodobaja ci sie.

- Tak sadzisz? Popróbuj stalej diety z elfic, zanim spotkasz czarownice; wtedy pogadamy.

Azzie odprowadzil Swietego do drzwi wejsciowych i przygladal sie, z jaka zrecznoscia, jak na tak wielkiego mezczyzne, wspial sie po okiennych kratkach na dach. Wkrótce dolecial go stamtad stukot racizek; a reszta byla milczeniem.

Azzie wrócił do srodka i otworzyl pakunek. Wewnatrz znajdowal sie miniaturowy palac z folwarkiem. Wszystko to bylo mistrzowsko odrobione w najdrobniejszych szczegóлах, z ludzmi jak zywe lalki. Widac bylo malutkie okna, lustra, stoly, krzesla...

- Mozna by uzyc malutkiej gilotyiny - zadumal sie Azzie. - Gdzies tutaj powinna byc jedna...

Seksta

Rozdzial pierwszy

Przez nastepnych kilka dni Czarus robil postepy w sztuce szermierczej, ale szlo mu dobrze wylaczenie wtedy, gdy odbywane w ramach treningu walki toczyly sie zgodnie z regulami fechtunku. Niespotykane pchniecia zaskakiwaly go, burzac jego koordynacje ruchowa. Poza tym, byl bardzo rozkojarzony. Byle ptasi krzyk czy trzasniecie drzwi powodowaly, ze wzdrygal sie nerwowo, krecac wokolo glowa.

Najdrobniejsza nierównosc podloza sprawiala, iz trafil równowage, w związku z czym kazdy krok poprzedzal dokladnym zbadaniem terenu. Nagly poryw wiatru kazal mu kurczowo zamykac oczy. Jednak Azziego najbardziej martwilo jego tchórzostwo, w którym widzial jedyny prawdziwy powód wszystkich innych niedomagán.

Babriel obserwowal to wszystko przez dluzszy czas, powstrzymujac sie od komentarzy, chociaz krzywil sie, widzac niezdarnosc mlodego czlowieka oraz to, jak wzdrygal sie przy kazdym ruchu miecza Frike'a.

- Tak wlasciwie, to co z nim jest nie w porzadku? - zapytal w koncu aniol.

- Dalem mu serce tchórze, ot co. A ono, zamiast wpoic mu podstawowa rozwege, jak to stanowilo mój zamiar, napelnilo cały jego ustrój strachem.

- Ale skoro jest tak pelen leku, to jak wyruszy na poszukiwania Królowny? - dociekal Babriel.

- Watpie, czy on w ogóle wyruszy - odparl zgnebiony Azzie. - Próbuje go motywowac, ale to nic nie daje. Wyglada na to, ze przegalem jeszcze przed startem.

- O, do diabla! - powiedzial Babriel.

- Taaa... Mozesz tak powiedziec. A nawet wiele wiecej jeszcze.

- Co w takim razie z twoim wystepem w Zawodach - z basnia, która zamierzales odegrac...

- Bylo, minelo, skonczone, *consummatus est*, i tak dalej.

- Nie wydaje mi sie to w porzadku - stwierdzil Babriel. - Czemuz poddawac sie tak szybko? Nie zalamuj sie, do diaska! Czy nie mozna juz nic na to poradzić?

- Musialbym mu zaaplikowac ziola *gutsii*, ale pataluchy z Zaopatrzenia nie wygladaja mi na takich, którzy by je zdobyli.

- Nie moga dostarczyc? Banda prózniaków, jesli sie nie myle w ich ocenie. Zobaczmy, czego dokonaja moi chlownicy!

Azzie wybaluszyl na niego galy.

- Ty masz zamiar dostarczyc mi ziele „odwazniaczka”?

- Taka jest moja propozycja.

- Alez to dla ciebie zaden interes!?

- Pozwól, ze sam sie bede o to martwil - odparl Babriel. - Jestes calkiem milym gospodarzem i sadze, ze jestem ci cos za to winien. A poza tym - show musi trwac, czyz nie?

Babriel podniósł sie, schylajac glowe, poniewaz obrosnieta winoroslta altana, w której siedzieli, byla bardzo niska. Siegnal do jednej ze swych kieszeni i do byl stamtad plastikowa karte kredytowa. Byla niemal identyczna jak ta Azziego, tyle ze calkowicie biala, a z jednej strony znajdowalo sie na niej ruchome wyobrazenie konstelacji niebieskich zdazajacych do osiagniecia polozenia, jakie gwiazdy zajma dokladnie z koncem milenium. Babriel rozejrzal sie wokół w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby ja

wetknac, ale nie znalazl nic takiego.

- Przejdzmy sie - zaproponowal aniol. - Moze uda sie nam trafic na cos sposobnego na zewnatrz... O, tutaj rosnie krzak laurowy, one nadaja sie do tego znakomicie.

Znalazl pekniecie na korze i wsunal tam karte.

- I co teraz? - zapytal Azzie.

- Daj im czas na odpowiedz - odparl Babriel. - Znajdujemy sie w miejscu dosc niecodziennym, jesli chodzi o transmisje od aniola Swiatlosci.

- Jak wam leci z „gotycka katedra”? - zapytal Azzie.

- Dziekuje, dobrze - odparl Babriel. - Sciany sa duzo wyzsze.

W tej chwili rozlegla sie stlumiona eksplozja, a potem rozbrzmialy fanfary trab poprzedzone dzwiekiem kuranta. Przed nimi pojawil sie Urzednik Zaopatrzenia Swiatlosci, którym okazala sie mloda blondynka noszaca biala, prosta toge, nie bedaca w stanie ukryc przed Azziem jej pieknych ksztaltów, ani tego, ze byloby mu milo z nia pobrykac. Azzie zaczal mruczec pod nosem starozytna melodie „Noca grzesznik spotkal aniola”, i zrobil krok w jej kierunku. Anielica wymierzyla mu ostrego klapsa trzymana ksiazka zamówien.

- Nie badz niedelikatny - odezwala sie milym glosem wskazujacym, ze chociaz uwazala jego zachowanie za nieco naganne, nie miala mu tego za zle.

Potem zwrócila sie do Babriela:

- Czym moge ci sluzyc?

Azzie zabieral sie wlasnie do wyjasnienia, jak moglaby usluzyc jemu, ale Babriel zmarszczyl brwi i rzekl:

- Tym, czego potrzebuje, droga osobo, jest pewna ilosc ziola zwanego *gutsia*, uzywanego przez smiertelnych w celu uzyskania odwagi.

- Wiem, ze potrzebujesz tego dla smiertelnika - odparla urzedniczka Niebieskiego Zaopatrzenia. - Na pierwszy rzut oka widac, ze to nie tobie brakuje smialosci.

- I vice versa - odparl Babriel. - Chwala Mu za to!

- Chwala Jej! - dodala urzedniczka.

- Co takiego? - zapytal Azzie. - Zawsze bylem przekonany, ze...

- Kiedy mówimy o Najwyzszych Przymiotach Istoty Dobra, uzywamy zaimka „On” i „Ona” zamiennie.

- Czasem nawet nazywamy Ja „Ono” - wyjasnila urzedniczka. - Nie dlatego bynajmniej, bysmy wierzyli, ze Ona jest Nijaka, ale staramy sie wyzbyc wszelkich uprzedzen.

- Nie moziecie sie zdecydowac? - zapytal Azzie.

- To nie ma znaczenia - odparła anielica. - Istota Dobra jest poza seksualnością.

- To jest dokładnie na odwrót, niż my sadzimy - odparł Azzie. - Według naszych ekspertów, pociąg seksualny jest najwyższym i najbardziej wyrafinowanym przejawem Zła, szczególnie, gdy jest dobrze. Tak, jak mogłoby być między tobą a mną, skarbie - zakończył demon ochryplym głosem, wydzielając z siebie drażniący odór pizma.

Anielska urzędniczka zrobiła groźną minę, odrzuciła włosy i zwróciła się ku Babrielowi.

- Czy nie mógłbyś jakos powstrzymać tego poczwarnego upióra gapiącego się na mnie oblesnie?

- Och - powiedział Babriel - Azzie taki już jest. To demon, jak wiesz, a demony uważają za swój obowiązek działać właśnie w ten sposób - prowokująco i erotycznie wyzywająco. Biedna dusza, nie potrafi inaczej. Ale w końcu nawet demony mają szansę odpokutowania.

- Chwała Mu! - zaintonowała urzędniczka.

- Tak, chwała Jej! - potwierdził Babriel.

- Słuchajcie, moglibyście dać sobie spokój z hosannami, a zająć się tym, co jest dla mnie ważne? Później możecie uderzać do siebie w załoty!

- Cóż za nienawistne, nieprzyzwoite słowo! - wykrzyknęła anielica, oblewając się rumieńcem i odwracając wzrok. - Sprawdź, co z tą „gutsią”. Czekać tutaj.

I zniknęła w czarujący sposób.

- Macie miłszych, ładniejszych i bardziej rezydentnych pracowników Zaopatrzenia niż my - zauważył Azzie.

- To dlatego, iż zgodnie z zasadami Dobra, wszystkie jego stworzenia są równe. Może, skoro musimy trochę poczekać, mógłbym wyłożyć ci niektóre z naszych podstawowych punktów doktryny?

- Nie trudź się - odparł Azzie. - Zamierzam się zdrzemnąć.

- Nie obawiasz się zasnąć?

- Zło jest znane ze swej wiecznej czujności - powiedział Azzie. - Z wyjątkiem tego, kiedy ma jej dosyć.

I zamknął oczy. Wkrótce nawet rytm jego oddechu świadczył ewidentnie o tym, że spał w najlepsze; albo znakomicie to udawał. Pozostawiony samemu sobie, Babriel odmówił długą modlitwę za zbawienie i poprawę wszystkich stworzeń, nie wyluczając demonów. Kiedy skończył, uroczą urzędniczka była z powrotem.

- Mam wyciąg *zgutsii* - powiedziała, wręczając Babrielowi mały flakonik, którego zawartość poblyskiwała miękko czerwienią, fioletem, złotem i błękitem.

- Wspaniale - pochwalił ją Babriel. - Jesteśmy ci oboj bardzo wdzięczni. - Jesteś najbardziej niezawodną, uprzejmą, pomocną, miłą...

- Dajmy temu spokój - odezwał się Azzie. - Wielkie dzięki, skarbie. Gdybyś kiedykolwiek zapragnęła

zmienic barwy klubowe...

Anielica zniknela w chmurze oburzenia.

Azzie udal sie do kuchni, by poinstruowac Frike'a, jak ma zmieszac miksture z Czarusiowa zupa z porów. Pelen wdziecznoscii wobec Babriela za sprowadzenie nalewki, byl wobec niego równie nieufny. Z jakiego powodu aniol mu pomagal? Czysta wspanialomyslność nie wydawala sie wystarczajacym motywem. Czy anioły byly zdolne do obludy? Co naprawde zamierzal Babriel?

Rozdzial drugi

Azzie zarzadzil podanie *gutsii* juz tego wieczoru i po Czarusiu od razu bylo widac znaczna poprawe. Przez kilka następných dni jego szermiercza wprawa i bojowosc znacznie wzrosly. Lalki przestaly go interesowac. Krótko mówiac, Azziemiu wydalo sie, iz nadeszla odpowiednia chwila, by przedstawic mu z detalami przedmiot czekajacej go wyprawy.

- Chcialbym porozmawiac z toba ponownie o twojej przyszłosci - rzekl Azzie pewnego spokojnego popoludnia, kiedy obaj z Królewiczem siedzieli w wielkiej sali palacu.

- Tak, wuju?

- Czy pamietasz, co ci opowiadalem na temat Drzemiaczej Królewny? - zapytal Azzie. - Nadszedl czas, bys ruszyl w jej kierunku.

- Nie mialbym nic przeciwko temu, by zostac tu, we dworze - odparl Czarus.

- Zapomnij o tym. Czekaja cie wielkie przygody.

- To mile, wuju. Ale wiesz, bylbym ciekaw, dlaczego to wlasnie ja mam ja odnalezc, pocalowac, i tak dalej?

Azzie przybral ton charakterystyczny dla cudu glębokiego wieszczenia.

- Mój chlopcze, zostalo zapisane bardzo dawno temu, ze tylko pocalunek zlozony przez jej prawdziwa milosc obudzi Królewne ze snu.

- Mam nadzieje, ze to sie dobrze dla niej skonczy - zauwazyl mlodzieniec.

- Oczywiscie, ze tak! Ty, Królewicz Czarus, jestes kochankiem i mezem przeznaczonym dla tej jasnowłosej dziewczyny.

- Jestes pewny, ze to o mnie chodzi, wuju? Mam na mysli to, skad wiesz, iz nie ma innych konkurentów

wyruszających na jej poszukiwanie?

- Ponieważ tak jest napisane!

- Gdzie?

- Nieważne gdzie - odparł Azzie. - Wierz mi na słowo - jeżeli mówię, że jest zapisane, to jest zapisane! Stanowisz okaz wielkiego szczęścia, mój chłopcze. Królowna Scarlet jest najpiękniejsza z dziewczyn i ma wspaniały posąg. Dostać się do niej będzie trudnym i niebezpiecznym zadaniem, ale wiem, że poradzi sobie.

- Mniej więcej jak trudnym i jak niebezpiecznym?

- Będziesz miał do pokonania zaklęty las - wyjaśnił Azzie. - Będziesz musiał walczyć z różnymi jego mieszkańcami, a na końcu dotrzesz do Szklanej Góry, na którą musisz się trochę wspiąć.

- To mi się wydaje krąco trudne - stwierdził młodzieniec. - Szklana Góra, co? Może zdobędzie ją, chociaż nie jestem pewien.

- Nie spotka cię żadne nieszczęście. Zaufaj staremu wujkowi Azziemu. Czy zawiodłem cię kiedykolwiek?

- Prawde mówiąc, nigdy dotąd nie miałem okazji - stwierdził Czarus. - W każdym razie nigdzie nie idę!

- Wreszcie spójrz na jej obraz. Co o niej myślisz? - zapytał Azzie, podtykając Królewiczowi miniaturę Scarlet pod sam nos.

Wygląda wcale wcale - stwierdził Czarus tonem znamionującym całkowite *desinteressement*.

- Ładna, nie? - spytał Azzie.

- Nic nadzwyczajnego.

- Piękne, jasne oczy.

- Ma bez wątpienia astygmatyzm.

- A te usta!

- Regularne, nie przecze - zgodził się Czarus.

- Filigranowa, szlachetna!

- Malawa - przyznał Królewicz.

- Jest urocza, nieprawdaz?

- Sądzę, że ma wszystko na swoim miejscu - powiedział Czarus. - Ale uważam także, że jestem zbyt młody by już na zawsze mieć na własność księżniczkę. Jeszcze nawet nie chodziłem z żadną dziewczyną!

Całkowity brak fascynacji Królową ze strony Czarusa był przerażający; Azzie nie spodziewał się czegoś podobnego. On sam, jako całkowicie typowy demon, był zwykle w stanie permanentnej chuci. Samo przypuszczenie, że Król mógłby być tak obojętny wobec wdzięków pięknej Scarlet, zdumiewało go. Także irytowało; a gdy zapuszczał się myśla w przyszłość - to i przerażało. Jeżeli Czarus nie okazuje niczego więcej ponad uprzejme zainteresowanie osobą Drzemiaczej Piękności, to jak można po nim oczekiwać, że pokona wszelkie przeciwności, by znaleźć się przy jej łóżku i obudzić ją pocałunkiem? Wnosząc z jego nastawienia, należało się raczej spodziewać, iż wysle jej list tej treści: „Pobudka, moja panno!”

Azzie bez skutku podnosił uroki Księżniczki, Czarus zaś traktował jego wysiłki z miążdżącą obojętnością, raniąc dodatkowo miłość własną demona, bowiem Scarlet była jego tworem. Nie mógł jednak za bardzo się złościć, ponieważ ten niewydarzony Książę także był jego kreacją; i z tego powodu, w mniejszym lub większym stopniu, Azzie odpowiedzialny był za stan jego ducha.

Takiego obrotu spraw demon nie spodziewał się w najsmielszych snach. Nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że Król nie zakocha się momentalnie w Scarlet. Teraz, kiedy największa przeszkoda - jego tchórzostwo - zdawała się być pokonana, okazało się, że nie jest wystarczająco romantyczny i kochliwy.

- Niech to szlag! - zaklął Azzie, zaciskając zęby. - Cholera! Kolejny chybiony zamysł!

Był w diabelnie przykłej sytuacji.

Rozdział trzeci

Wieczorem Azzie pozbył się Czarusa, wprawiając go w magiczny sen, po czym zwrócił swe kroki do pokoju zakleć. Zastal tam już Frike'a nucącego do siebie pod nosem podczas napelniania buteleczek *agius regae*, diabelskim jadem, krwią z kurzajek oraz ziołami i składnikami, które demony o zacieciu czarnoksięskim uznają za pomocne.

- Zabieraj stąd cały ten majdan - polecił Azzie. - Muszę tu trochę poczarować. Przynies mi kilka mililitrów krwi nietoperza, parę kurzajek demona i pół ćwierci kwarty ciemiernika czarnego.

- Ciemiernik nam wyszedł - odparł Frike. - Może zamiast niego nadadzą się brodawki ropuchy, albo coś w tym rodzaju?

- Zdaje się, że ci mówiłem, żebyś wszystko miał na składzie?!

- Przykro mi, ale okazuje się, że mam do niego pociąg. Azzie prychnął ze złości.

- To zahamuje twój rozwój - zauważył. - I spowoduje, że będziesz miał owłosione dłonie. Przynies mi zatem korzeń heliogabalusa. On musi wystarczyć.

Frike przyniósł korzen i zgodnie ze wskazówkami Azziego rozmiescił go dookoła pentagramu inkrustowanego macica perłowa na środku kamiennej podłogi. Zapalił czarne świece, a Azzie zaintonował inwokacje. Słowa zawierały wiele podwójnych pauz międzygłoskowych - zwykła właściwość starożytnego języka Zła. Wstęga szaropurpurowego dymu pojawiła się w centrum pięcioramiennej gwiazdy. Obłok rozprzestrzenił się, nadal, urosł większy, wyższy i szczuplejszy, by w końcu zmienić się w wyniosłą sylwetkę Hermesa Trismegistosa.

- Witaj, o Wielki! - rzekł Azzie.

- Cześć, Mikrusie - odparł Hermes. - Wygląda na to, że masz kłopoty?

Azzie zrelacjonował mu swoje trudności związane z Czarusiem.

- Popelniles błąd, mówiac mu o Ksieźniczce, Azzie - odparł Hermes. - Przyjales a priori, że sprawy w realnym życiu potoczą się niczym w baśni i że Królówic Czarus zakocha się szalenczo w Scarlet od jednego rzutu okiem na jej miniaturę.

- Czy to nie tak się właśnie dzieje?

- Tylko w baśniach.

- Ależ to właśnie jest baśń!

- Jeszcze nie - zaprotestował Hermes. - Jeżeli opowiesz krazy wśród gminu i jest wyspiętywana przez bardów, to wtedy dopiero staje się baśnią. Ale prawdę mówiac, na razie ten warunek nie został spełniony. Nie możesz tak po prostu pokazać młodzieńcowi obrazka i oczekiwać, by zapłonął do niego miłością. Musisz użyć psychologii.

- To jakies specjalne zaklecie? - chciał wiedzieć Azzie.

Hermes potrząsnął swą głową z dymu.

- To jest coś, co my nazywamy nauką. To wiedza o ludzkim zachowaniu. Nic lepszego na razie nie wymyślono. Psychologia tłumaczy, dlaczego ludzie są tak chwiejni duchowo; bez niej nikt nie wie, dlaczego ktoś inny coś robi.

- Dobra, ale co ja mam począć?

- Po pierwsze, musisz wymazać z pamięci Czarusia, że kiedykolwiek mówiles mu coś na temat Scarlet. Niewielka dawka wody z Lete, Rzeki Zapomnienia, załatwi to bez trudu. Nie za dużo tej wody, tyle tylko, by zapomniał o waszej ostatniej rozmowie.

- A potem?

- A potem powiem ci, co robić dalej.

Nie było żadnych problemów ze zdobyciem wody z Lete; Hermes przyniósł ją w małej flaszkę z kryształowego szkła i Azzie zaaplikował ją Czarusowi. Tego wieczoru obaj zasiedli do obiadu w wielkiej, wykładanej drewnem orzechą włoską jadalni. Usługiwał Frike, rozchlapując jak zwykle żupę z powodu swego utykania. Kiedy spalona pieczen została odesłana do kuchni, a owocowy krem

zjedzony, Azzie zagail:

- Przy okazji, Ksiaze, wybieram sie na jakis czas do miasta.
- W jakim celu, wuju?
- Mam tam pewne sprawy do zalatwienia.
- Jakie sprawy?
- Moje interesy nie sa twoimi! Frike, daj mi klucze!

Frike zniknal na chwile i przyczlupal z powrotem, dzierzac wielki pek kluczy na zelaznym kólku.

- Uwazaj teraz, Ksiaze. Zostawiam wszystkie klucze od dworu pod twoja opieka. Ten wielki jest od drzwi frontowych. Maly otwiera drzwi tylne, a kolejny jest od stajen. Tutaj masz klucz do piwnic, w których trzymamy wino, piwo i konserwowane mieso. Ten ozdobiony zakretasem otwiera moja skrzynie z zaklecaniami. Mozesz sie nimi pobawic, jesli chcesz; aktualnie nie sa uzbrojone.

- Dobrze, wuju - powiedzial Czarus, biorac klucze. Jeden z nich, niewielki srebrny kluczyk z zawilym arabskim wzorem, przyciagnal jego uwage.

- A ten do czego sluzyl? - zapytal.

- Ach, ten! Istotnie zostawilem go na kólku z kluczami?

- Najwyrazniej, wuju.

- W kazdym razie nie uzywaj go.

- Ale do czego on jest?

- Otwiera male drzwiczki w odleglym kacie mojej sypialni. A potem, uzywajac jego drugiego konca, mozna otworzyc znajdujaca sie tam okuta brazem debowa skrzynie. Ale nie wolno ci przechodzic przez owe drzwi, ani tez otwierac skrzyni!

- Dlaczego?

- Tlumaczenie ci tego zajeloby zbyt wiele czasu - odparl Azzie.

- Ja mam czas - powiedzial Czarus.

- Oczywiscie, ze masz. Wlasciwie nie dostaje ci nic oprócz wolnego czasu, nieprawdaz? Ale ja nie mam. Musze natychmiast wyjechac. Po prostu uwierz mi na slowo, ze jezeli otworzysz te drzwi, skutki beda oplakane. Wiec nie rob tego po prostu.

- Tak, wuju.

- Slowo skauta?

Królewicz uniósł prawa dłoń w geście pozdrowienia Skautów Rycerstwa, nowej organizacji

zrzeszającej młodych rycerzy terminujących dopiero w wojennym fachu. - Przrzekam, wuju!

- Dobry chłopak - pochwalil go Azzie. - A teraz musze juz isc. - Zegnaj, chlopcze.

- Badz zdrow, wuju.

Czarus odprowadzil Azziego do stajen, gdzie ten dosiadl ognistego araba.

- Spokojnie, Belshazzar! - zawolal Azzie. - Badz zdrow, bratanku. Zobaczymy sie za kilka dni, najdalej za tydzien.

Godzine pózniej Czarus odezwal sie do Frike'a:

- Nudze sie.

- Jeszcze jedna partyjka remika? - zapytal Frike, tasujac karty.

- Nie, gra w karty meczy mnie.

- Cóz zatem chcialbys robic, paniczu? Tenis na trawie? Ringo? Cymbergaj?

- Jestem chory na sam dzwiek nazw wszystkich tych cikliwych rozrywek - powiedzial Czarus. - Nie móglbys zaproponowac czegos interesujacego?

- Polowanie? - zasugerowal Frike. - Moze poszedlbys na ryby albo pobawil sie latawcem?

- Nie, nie... - Ksiaze zmruzył oczy, a potem podniósł wzrok; jego rysy przybraly ksztalt oznajmiajacy Frike'owi, ze mlodzieniec dostapil iluminacji. - Wiem!

- Oczekuje, ze to bedzie przyjemne dla pana, sir.

- Chodmy zerknac do tego pomieszczenia, co do którego sugerowano mi, bym tam nie zagladal.

Frike zostal dobrze przeszkolony. Ukrywajac usmiech cisnacy mu sie na twarz, powiedzial:

- Nie mozemy tego zrobic.

- Nie moglibysmy?

- Z cala pewnoscia nie, sir. Pan wscieklby sie jak jasna cholera.

- Przeciez nie musialby o tym wiedziec...

Wyraz twarzy Frike'a udatnie swiadczył, iz nigdy powaznie nie bral takiej mozliwosci pod uwage.

- Masz na mysli to, ze nie powiedzielibysmy mu?

- Dokladnie o to chodzi.

- Ale zawsze do tej pory mówilismy mu wszystko!

- Czas wiec na pierwszy wyjatek od tej reguly!

- Ale dlaczego?

- Dla zabawy, Frike, ot i wszystko.

- Och, zabawa - garbus zdawal sie mocno zastanawiac. - Przypuszczam, ze jezeli tylko o rozrywke idzie, to wszystko mogloby byc w porzadku. Jestes pewien, ze to tylko tak dla zbytku i figli?

- Frike, przysiegam ci - to wylacznie zabawa.

- W takim razie dobrze - zlamal sie sluga. - Tak dlugo, jak bedzie chodzic o rozerwanie sie.

- Chodźmy! - zakrzyknal Czarus, pokonujac w drodze na pietro po cztery stopnie na raz, a klucze podzwaniały w jego dloni.

Na zewnatrz palacu Azzie, który zostawil swego konia w pobliskim lesie, a sam wrócił na nogach, czy raczej na skrzydlach skrywanych do tej pory pod oslepiajaco jasna tunika, zawisl w powietrzu na wysokosci okna swej sypialni i usmiechal sie sam do siebie. Nigdy dotad nie slyszal o narzedziach psychologii, o jakich mowil mu Hermes, ale to dzialalo. I to jak jeszcze!

Rozdzial czwarty

Ylith okrywala wlasnie kocem ksiezniczke Scarlet, która zapadla w sen w samym srodku ich rozmowy, kiedy rozleglo sie donosne pukanie od strony bramy zamkowej.

Nie przypominalo wcale dobijania sie Azziego, a Ylith nie mogla wyobrazic sobie zadnego innego goscia, który by dotarl na szczyt szklanej góry. Zostawiajac dziewczynie w skórzanych objeciach olbrzymiego fotela, ruszyla szybko z bawialni i skierowala sie do glównego hallu zamku. Gdy przemierzala wysoko sklezione kamienne pomieszczenie, lomot rozlegl sie ponownie.

Ylith nacisnela klamke normalnej wielkosci drzwi znajdujacych sie obok wielkich wrót, otworzyla je i wyjrzala na zewnatrz. Zobaczyła wysoka, niezbyt urodziwa postac, spowita w biel oraz zloto. Nieoczekiwana figura odwzajemnila jej spojrzenie i usmiechnela sie.

- Tak? - spytala Ylith.

- Sadze, iz nie pomyle sie, twierdzac, ze jest to zamek Drzemiacej Pieknosci, Królowny Scarlet - dociekal kwieciscie przybyly.

- Nie mylisz się - odparła Ylith. - Ale ty nie jesteś Księciem Czarusiem, czyż nie? Jest jeszcze nieco za wcześnie na jego przybycie, a poza tym - nie masz tych właściwych oczu; nie, żebym miała cokolwiek przeciwko niebieskim.

- Och, nie, nie jestem nim - odparł intruz. - Nazywam się Babriel i jestem obserwatorem ze strony Sił Światłości. Goszczę u Azziego i właśnie pomyślałem sobie, że mógłbym podskoczyć tutaj, by przyrzec się finałowi całej operacji. Czy dotychczasowe postępowanie przebiega prawidłowo?

- Raczej tak - stwierdziła Ylith. - Nie wejdiesz?

- Dziękuję, chętnie.

- Jestem towarzyszką i współpracowniczką Azziego w tym przedsięwzięciu - wyjaśniła wiedźma. - Nazywam się Ylith. Miło cię poznać.

Wyciągnęła do niego dłoń, którą anioł podniósł i przycisnął do swoich ust.

- Och - szepnęła, gapiąc się na rękę, gdy Babriel uwolnił ją wreszcie. - Hm, chodź tedy. Pokażę ci panienkę. Ona oczywiście drzemie teraz.

- Oczywiście - zgodził się anioł, do którego dotarło nagle, że ciągle trzyma jej dłoń; puścił ją szybko. - Jeżeli to po drodze.

- Z pewnością, z pewnością.

Ylith odwróciła się i powiodła go wzdłuż sali.

- Przyjemny hall - pochwalił Babriel.

- Dzięki.

- Od dawna jesteś z Azzie'm?

- Och, wróciliśmy do siebie, ale to nie jest dokładnie to; szczególnie teraz. Poza tym projektem, mam na myśli.

- Wasz pomysł na uczestnictwo w Zawodach Milenijnych jest bardzo sprytny.

- Też tak uważam, ale to wyłącznie zasługa Azziego. Pomagam mu przez wzgląd na stare czasy.

- Rozumiem. Braterstwo Zła, i tak dalej - powiedział. - I oczywiście Siostrzeństwo także - poprawił się szybko.

- Coś w tym rodzaju. Tedy, proszę.

Ylith wprowadziła Babriela z kamiennej sieni do bawialni.

- Oto ona, Drzemiaca Piękność. Ładna, co?

- Urocza - zauważył anioł.

Ylith splonela rumiencem, kiedy stwierdziła, że mówiac to Babriel patrzył na nią. Momentalnie pomógł sobie zakleciem wywołującym kaszel.

- Chcesz drinka? - zaoferowała Ylith. - Mały ichor, na przykład?

- Chętnie.

- Usiadz i czuj się jak u siebie w domu.

Wyskoczyła z pokoju i po kilku zaledwie chwilach po wróciła z dwiema napelnionymi szklaneczkami.

- Proszę. Pomyślałam sobie, że przyłaczę się do ciebie - wytłumaczyła obecność drugiego drinka.

- Będzie mi miło.

- Popijał wolno, małymi łykami. Ylith usiadła obok niego.

- Znajduje, że projekt rozwija się pomysłnie - powtórzył anioł po pewnym czasie.

- Och, Azzie ma swoje problemy, jak sądzę - odparła.

- Jesteś pewnie dla niego wielką pomocą i wytchnieniem?

- Nie powiedziałabym tego. Jest nieco niekomunikatywny.

- Nie rozumiem.

- Podczas naszej ostatniej rozmowy był jakiś rozkojarzony. Być może z powodu kłopotów i trudności, z jakimi się boryka, albo to może właśnie znaczyć...

- Co?

- Że on jest taki - wobec mnie...

Przez chwilę w milczeniu saczyli ichor. Potem:

- Sama natura Zła polega na tym, by być przykrym, jak mniemam - zauważył Babriel. - Nawet wobec przyjaciół i sprzymierzeńców.

Ylith spojrzała w dal.

- On nie zawsze był taki.

- O!

- Wydaje mi się, że po twojej stronie jest lepiej z tymi sprawami.

- Chciałbym tak myśleć.

- Wszak musi to leżeć w naturze Dobra...

- Tak sadze. Ale lubie myslec, iz robimy to, poniewaz naprawde tego pragniemy. Wlasnie to powoduje, ze czujemy sie dobrzy.

- Hm. - Ylith odwróciła sie w kierunku Scarlet. - Spójrz na nia; biedna istota nie ma pojecia, ze jest tylko pionkiem w cudzej grze.

- Nie istnialaby, gdyby nie przeznaczona jej rola.

- Nadal uwazam, iz lepiej jest nie istniec, niz byc przedmiotem.

- Interesujaca teza teologiczna.

- Teologiczna? Do diabla z nia! Przepraszam, ale ludzie nie sa rzeczami, którymi mozna manipulowac, jak sie chce!

- Tak wcale nie jest; wszak maja wolna wole. Zatem Ksiezniczka ciagle stanowi osobe. Oto, co czyni cala te rzecz interesujaca.

- Wolna wola? Nawet jezeli pole wyboru zostalo sztucznie zawezone?

- To kolejny interesujacy teologiczny punkt widzenia; tak, sadze, ze to nie jest specjalnie mile. Pozostaje pytanie, co zostalo zrobione? Ona naprawde stanowi czesc gry.

- Tak sadze. Chociaz nie moze powiedziec, ze nie jest mi z tego powodu ani odrobine przykro.

- Och, mnie tez. Jesli chodzi o wspólczucie, jestesmy w tym wspaniali!

- I to wszystko? Mam na myśli fakt, ze to niewiele jej pomoze.

- Nie wolno nam pomóc jej w czymkolwiek. Chociaz teraz mi przypomnialas, ze mógłbym polecic ja czyjejs laskawosci; komus, kto przyniósłby jej nieco ulgi.

- Czy wspieranie jej nie byloby oszustwem?

- Niezupełnie. Ulga to rodzaj pomocy bez pomagania, jezeli rozumiesz, co mam na myśli. To rodzaj ratunku, jakiego sama sobie udzielasz. Nie uwazam tego za oszustwo, choc moze powinienem...

Kolejny lyk.

- Zawsze taki jestes? - zapytala Ylith.

- Jaki?

- Mily, uprzejmy.

- Chyba tak...

- To pokrzepiajace. Ulatwia sprawe, jezeli chodzi o wspólrpracę z toba jako obserwatorem.

- A ty, zawsze bylas wiedzma?

- To wybór kariery, jakiego dokonałam dawno temu.
- Zabawne?
- Najczęściej tak. W jaki sposób Sily Swiatlosci zamierzają przystąpić do Zawodów?
- Och, nazywamy to „katedra gotycka” - absolutnie nowa koncepcja w architekturze, także w architekturze nabożeństwa i dobra.
- Jak to się ma do dotychczasowej zwyczajowej różnorodności? Zaczekaj, należy ci kolejnego drinka.
- Dzięki.

Kiedy Ylith wróciła, Babilon począł jej wyjaśniać założenia katedry gotyckiej. Ylith uśmiechała się, potakując głową w regularnych odstępach czasu. Była zafascynowana.

Rozdział piąty

Scarlet kroczyła przed Ylith.

- Jestem już chora od tego ciągłego drzemania - poskarżyła się.

I szła dalej.

- Nigdy nie czuję się w pełni rozbudzona, a w nocy wcale nie śpię dobrze. Chcę czegoś więcej ponad przebywanie tutaj, w tym głupim zamku, czekając na jakiegoś faceta, który przyjdzie mnie obudzić. Chcę się stąd wydostać! Chcę z kims pogadać!

- Możesz porozmawiać ze mną - odparła Ylith.

- Och, ciociu Ylith, ty jesteś bardzo miła. Zwariowałabym, gdyby cię tutaj nie było. Ale pragnęłabym pogawędzić jeszcze z kims innym, sama rozumiesz, z jakimś mężczyzną...

- Chciałabym ci pomóc - powiedziała Ylith - ale wiesz, że nie jest ci przeznaczone mieć jakiegokolwiek towarzystwa, zanim Książę Czarus nie przybędzie, by cię wyzwolić z wiecznej drzemki.

- Wiem, wiem - rzekła Scarlet, a jej oczy wypełniły się łzami - ale to takie nudne ciągle spać! I na dodatek wcale się dobrze nie wysypiać. Tylko drzeć! Och, ciociu Ylith, czy nie ma jakiegoś sposobu, żebyś mi pomogła?

Ylith zastanowiła się. Jej irytacja z powodu Azziego była większa niż kiedykolwiek do tej pory. Powinna się była bardziej zastanowić, zanim znowu mu zaufała. Jednakże nie widziała nic takiego, co powinna

zrobic.

Następnego dnia rozległo się pukanie do bramy; zdarzyło się to podczas jednego z rzadkich momentów, kiedy Scarlet była zupełnie rozbudzona, w związku z czym dziewczyna pośpieszyła na dół, by osobiście otworzyć drzwi. Przed nimi stała szesciostopowego wzrostu zaba w liberii lokaja i z białą peruką nasadzona krzywo na pokrytej brodawkami głowie.

- Cześć - powiedziała uprzejmie Scarlet.

Była przyzwyczajona do widoku różnych zaczarowanych gości. Po rozmowie z Azziem - wyglądającym bardzo dziwnie, kiedy tak pojawiał się i znikał w wybuchających obłokach dymu, czy przestając z Ylith, spędzająca zdumiewającą ilość czasu przed magicznym lustrem i obserwująca ludzi z miasteczka położonego u stóp góry oraz odległe okolice (wliczając w to rejony podziemne i pobliskie światy astralne) - nic dziewczyny nie mogło zaskoczyć.

- Czy jesteś księciem, który ma mnie obudzić? - za pytała rezolutnie.

- Wielkie nieba, nie! - odzegnała się zaba. - Jestem tylko posłancem.

- Ale pod tą obrzydliwą postacią płaza jesteś tak naprawdę przystojnym młodzieńcem, prawda? - chciała się upewnić dociekliwa Królowa.

- Obawiam się, że nie - odparł ropuch. - Jestem zwykła zaba, tyle tylko, że zaczarowano mnie, bym umiał mówić ludzkim językiem i miał sześć stóp wzrostu.

- A jaki jesteś bez działania czarów? - nie ustępowała dziewczyna.

- Mierze sobie sześć cali i kumkam.

- Czego chcesz?

- Mam dla ciebie zaproszenie.

I wręczył jej kwadratowy kartonik z wytłoczonymi literami:

ZAPRASZAMY CIE NA UROCZYSTY BAL MASKOWY

WYDANY NA CZĘŚĆ KOPCIUSZKA I JEGO KSIĘCIA.

PRZYGRYWA MAESTRO ORLANDO I „THE FURIOSOS”.

GIORDANO BRUNO I JEGO HERMETYCZNE PRZESŁANIE.

SPARTACUS I ZBUNTOWANI NIEWOLNICY.

GRY, ZAGADKI ORAZ LOTERIE.

SMAKOWITA BIESIADA.

- Och, dziękuję ci! - zawołała Scarlet. - Ale dlaczego Kopciuszek zaprasza właśnie mnie? Nawet jej nie znam!

- Dotarły do niej słuchy o tym, że czujesz się samotna i współczuje ci; rozumiesz, ona sama też ma problemy.

- To wspaniale, ale nie mam sukni balowej!

- Z pewnością możesz ją zdobyć.

- A transport? Jak się tam dostanę?

- Skontaktuj się po prostu z Zaczarowanymi Dostawcami Produktów na Bal, a oni w odpowiednim czasie wyeksponują mnie z kareta wykonana z dyni.

- Och, ale czy sok dyni nie pobudzi mojej kreacji?

- W żadnym wypadku. Jej wnętrze obite jest najrzadszym morowanym jedwabiem.

Najrzadszym?

- Nie ma obawy, jest nieprzepuszczalny.

- Och, wielkie dzięki! - I Scarlet pobiegła, by opowiedzieć Ylith o wspaniałej nowinie.

- Wierz mi, dziecko, że Azzie otoczył zaklecaniami całe to miejsce - odparła Ylith. - Zabranie ci stąd wymagałoby specjalnego pełnomocnictwa, a w tym mogłyby pomóc tylko Moce Ciemności.

- Co mam począć w takim razie?

- Zupełnie nic, moje biedactwo - zadumała się wiedźma. - Gdybyś miała kartę Azziego o nieograniczonym kredycie, wówczas wiele rzeczy stałoby się możliwe. On jednak bardzo jej pilnuje i trzyma w górnej kieszonce kamizelki. Możesz jedynie mieć nadzieję, że zdejmie ją i gdzieś rzuci podczas następnej wizyty, a ty wyciągniesz kartę, zanim się spostrzeże.

- A co, jeżeli nie zdejmie?

- Wtedy zajma się tym twoje ręce - odparła Ylith. - Szczególnie lewa.

Scarlet spojrzała na swe dłonie. Lewa, należąca dawniej do kieszonkowca, była nieznacznie mniejsza od prawej i wyglądała - jakby to powiedzieć - jakos bardziej szelmowsko od swej towarzyszki.

- Co takiego kryje się w mojej lewej ręce? Jest mała i zgrabna, ale co z tego?

- To, że ta ręka posiada zrecznosc dostarczenia ci wszystkiego, czego potrzebujesz.

- A jeśli będę już miała tę kartę?

- Wówczas - odparła Ylith - możesz zazać balowej sukni i wydać odpowiedni rozkaz Zaczarowanym

Dostarczycielom Produktów na Bal. A potem wolno ci będzie udać się nań pod warunkiem, że wrócisz stamtąd prosto tutaj.

- Czemu mówisz mi to wszystko? Ylith spojrzała w przestrzeń.

- Złość i żal, moja droga - powiedziała po przerwie. - Pierwsze jest oznaką siły, a drugie słabości; myśl zatem głównie o tym pierwszym. Poza tym nadeszła pora, żebyś pokazała się w świecie. Wreszcie - istnieje wolna wola.

Ylith poklepała Scarlet po dłoni, której prawie udało się w tej chwili skraść ozdobiony klejnotami pierścionek.

- Tak - kontynuowała czarownica - niech piekło pochłonie Azziego. To jest ulga dla ciebie.

I uśmiechnęła się.

Rozdział szósty

Kiedy Azzie pojawił się następnym razem w Zaczarowanym Zamku, księżniczka Scarlet powitała go całą w uśmiechach. Szczebotała o swoich snach, stanowiących jedyną interesującą sprawę jej dziennego życia. Pokazała Azziemu kilka kroków tanecznych, jakie zapamiętała ze swej poprzedniej egzystencji. Tanczyła burzliwie, z temperamentem stawiając na podłodze swoje małe stopy w figurach hiszpańskiej seguidilly, i zakończyła występ, wpadając w ramiona Azziego po wykonaniu szeregu piruetów w poprzek sali.

- Pozwól, że cieściskam, wuju. Zrobiłeś dla mnie tak wiele!

Azzie poczuł drobny, klujący biust na swojej piersi i wcale nie myślał o tym, co w tej chwili porabiają szczupłe, zmysłne palce Księżniczki.

Kiedy znalazły się już same, Ylith zapytała:

- Masz ją?

Scarlet w uśmiechu pokazała ząbki, a na jej buzi utworzyły się zabawne doleczki. Wyciągnęła przed siebie czarną kartę kredytową.

- Oto ona!

- Dobra robota - pochwaliła Ylith. - Teraz pozostaje tylko ją użyć.

- Tak - zgodziła się Scarlet, usiłując stłumić ziewnięcie. - Ale co mam począć z tym diabelskim

zakleciem zmuszającym mnie stale do drzemki?

- Strzelic sobie porządna lufę ichoru - odparła Ylith. - Dodam do tego zaklecie, które spowoduje, że będziesz spała trzy do czterech razy dłużej niż zwykle; za to o tyleż samo dłużej będziesz przytomna po przebudzeniu.

Twarz Scarlet pojasniała.

- Pospieszmy się.

Rozdział siódmy

Karoca z wydrzonej dyni przyszybowwała na osłonięty sklepieniem podjazd, tocząc się cicho na kołach z rzodkiewek. Ropuszy lokaj zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki pojazdu przed Scarlet, która wysiadła, dbając, aby jej suknia - przepiękna kreacja z różowego tiulu we wzór z galazek hiacyntów, zaprojektowana i wykonana przez Michała z Perugii, a zapisana na konto Azziego - nie była w nieładzie.

Powitali ją słuzacy w liberii i poprowadzili do wnętrza. Sala balowa palala kolorami i światłem, a w jej odległym koncu usadowiła się orkiestra. Ksiezniczka Scarlet była osłniona; nigdy dotąd nie widziała podobnego przepychu. Zdawało się jej, że ma do czynienia z czymś spoza baśni, a fakt, iż ona sama pochodziła z zewnątrz bajkowego świata, nie czynił tego wrażenia mniej cudownym.

- Ty z pewnością jesteś Królową Scarlet! - zwróciła się do niej jakaś promieniejąca, piękna, młoda kobieta w tym samym mniej więcej wieku.

- A ty jesteś ksiezniczka Kopciuszkiem?

- Jak mnie poznałaś? Czy mam sadze na nosie?

- Alez skąd! Zdawało mi się to naturalne, skoro mnie powitałaś - powiedziała zakłopotana Scarlet, ale Kopciuszek rozesmiała się, sprawiając, że Królowa poczuła się zupełnie swobodnie. - To był tylko mały dowcip. Ciesze się, że mogłaś przybyć, słyszałam bowiem, że pozostajesz pod zakleciem snu.

- Dokładnie jest to czar drzemki. Ale jak się o tym dowiedziałaś?

- Słowo wedruje przez świat baśni - odparła Kopciuszek. - Jeżeli odczuwasz taką potrzebę, na górze znajdują się pokoje do wypoczynku oraz rozmaite stymulatory, których możesz użyć, jeśli twoje zaklecie poddaje się działaniu środków chemicznych.

- Nie potrzebuje ich - odparła Scarlet. - Udało mi się uzyskać czasowe zawieszenie funkcjonowania czaru.

- Jakkolwiek to zrobilas, jestem bardzo rada, ze przybylas. To pierwszy bal w tym sezonie, wiec zgromadzil on wielu odpowiednich kawalerów, głównie spośród szlachty, ale zjawilo sie takze kilku przedsiobiorczych i slawnych ludzi z gminu, jak na przyklad Jas Fasolka i Peer Gynt. Chodźmy; pozwolisz, ze poczestuje cie kieliszkiem szampana i przed stawie kilku osobom.

Kopciuszek wreczyła Scarlet kielich musujacego trunku i ujmując jej dlon, poprowadzila ja wokolo, wiodac od jednej do drugiej grupy pysznie ubranych gosci. Scarlet zawirowalo w glowie, a muzyka - glosna i rytmiczna - spowodowala, iz jej nogi tancerki podrygiwaly niecierpliwie; byla wiec zachwycona, kiedy wysoki, ciemnowlosy i przystojny mezczyzna w ubraniu ze złotej lamy i w szkarlatnym turbanie poprosil ja do tanca.

Zawirowali wokół parkietu. Partner Scarlet przedstawił sie jako Ahmed Ali. Był dobrym tancerzem, świetnie znającym najnowsze kroki, a taneczny instynkt Królowny spowodował, iz błyskawicznie opanowała arkana nowych układów i wkrótce z łatwością oraz wdziękiem wykonywała figury wszystkich popularnych tanców roku konczacego Milenium.

Ahmed zdawał sie płynac w poprzek sali, łącząc wielką zreczność partnerki ze swymi, minimalnie tylko ustępującymi jej, umiejętnościami. Reszta tancerzy odsunęła sie, robiąc im miejsce, gdyż oboje w oczywisty sposób przewyższali pozostałych gosci. Orkiestra niepostrzeżenie przeszła na „Jezioro labedzie”, ponieważ widok, jaki ze swego miejsca mieli muzycy, przypominał przedstawienie baletowe. Ahmed i Scarlet plasali wokolo, podczas gdy zadęły trabki i zakwiliły stalowe gitary, prowokując kolejne *pas de deux*; wirowali, przytupywali przy wzrastającym aplauzie widzów, aż wreszcie, gdy zbliżał sie finał, Ahmed w tancu wyprowadził Scarlet na mały balkonik wychodzący na niewielkie jezioro. Właśnie wzeszedł księżyc i drobne, srebrne zmarszczki na wodzie dążyły bezszelestnie w stronę ciemnego brzegu. Księżniczka Scarlet, wachlując sie chinskim wachlarzem, dostarczoną jej przez Zaopatrzenie, zwróciła twarz ku Ahmedowi i odezwała sie oficjalnym tonem:

- Pozwól sobie powiedziec, panie, iz nie spotkałam dotąd równego ci tancerza.

- Ani ja tancerki - odparł z galanterią Ahmed.

Jego twarz, przecięta zgrabnym, prostym nosem, miała stanowcze, ładnie wykrojone bladoróżowe usta, spoza których - kiedy sie uśmiechał lub unosił wargę w szyderym grymasie wyrażającym jego uczucia - ukazywały sie perłowo opalizujące białe zęby. Powiedział Scarlet, iz jest księciem na dworze Wielkiego Mogola, którego ziemie rozciągają sie od zamglonych granic wschodniej Turcji, aż po oblane morzem wybrzeże dalekiej Azji. Opisywał wspaniałość palacu swego władcy, w którym znajduje sie tak wiele pokoi, iz są one niepoliczalne nawet dla biegłych w matematycznej nekromancji. Opowiadał jej o głównych palacowych osobliwościach, o sadzawkach z karpiami, o mineralnych źródłach oraz wielkiej bibliotece, w której można bylo znaleźć pisma z całego świata. Wspominał o kuchniach, gdzie każdego dnia przygotowywano dla przyjemności młodych i utalentowanych ludzi, dodających swą obecnością splendoru dworowi, przysmaki o niespotykanej wspaniałości. Powiedział jej także, jak ośmiłaby wszystkie piękności tego zamku niesłychanym wprost urokiem swych cudownie delikatnych rysów twarzy. Zadeklarował przy tym, ze pomimo krótkiej z nią znajomości jest pod całkowitym jej wrażeniem, wrecz porażony, błaga przeto, by zechciała towarzyszyć mu w podróży, w której pragnąłby pokazac jej wszystkie cudowności królestwa Wielkiego Mogola, i - jeżeli takie tylko byłoby jej życzenie - by została tam na chwile. Opisywał jej bogate prezenty, jakimi mógłby ja obsypac. Tak długo zmiekczał opokę rozmaitymi obietnicami, aż Scarlet zakreśliło sie z tego wszystkiego w glowie.

- Chciałabym pojechać z toba i ujrzec wszystkie te nie zwykłości - powiedziała Królowna Scarlet - ale obiecałam mojej ciotce, ze wróce do domu natychmiast po balu.

- Nie ma zadnego problemu - zapewnił ja Ahmed, strzelając palcami.

Jeszcze odgłos ten nie przebrzmiał w powietrzu, kiedy Scarlet ujrzała wielki i bogato zdobiony perski dywan, który pojawił się znikąd i zawisł na poziomie balkonu.

- Oto latający dywan - powiedział Ahmed. - Stanowi zwykły środek transportu w moim kraju i posługując się nim teraz, mogę zabrać cię na dwór Wielkiego Mogola, pokazać ci okolice i wrócić tutaj, zanim skończy się noc.

- To bardzo ponętna propozycja - zastanowiła się Scarlet. - Ale ja naprawdę nie powinnam...

Ahmed Ali uśmiechnął się w sposób nieodparcie atrakcyjny i zstąpił z balkonu prosto na dywan. Odwrócił się do dziewczyny, wyciągając do niej dłoń.

- Lec ze mną, piękna księżniczko - powiedział. - Szaleje na twoim punkcie i przyrzekam, iż spędzisz naprawdę wspaniałe chwile oraz że uszanuję twoją cześć i odprowadzę cię na tyle wcześnie, byś mogła dotrzymać obietnicy i zdążyć do swojej szanownej ciotki.

Księżniczka Scarlet wiedziała, że nie powinna ulegać tej namowie. Z drugiej strony, owa nieoczekiwana przyjazność, czasowe zawieszenie zaklecia drzemki, wspaniałosc balu, tajemnicza i prowokująca obecność Ahmeda Ali oraz wypity kielich szampana (do czego nie była przyzwyczajona), a wreszcie aromat Matki Delirium, rośliny krzewiącej się pod balkonem - wszystko to razem spowodowało rozbudzenie jej zmysłów, a w konsekwencji śmiałość uczuć. Przeto ledwo wiedząc, co czyni, przyjęła dłoń Ahmeda i weszła za nim na latający dywan.

Rozdział ósmy

Kopciuszek zmierzała właśnie do wystawnego bufetu, by wziąć sobie kolejny kieliszek szampana, a być może także i miseczkę sorbetu, kiedy podszedł do niej jeden z lokajów, sklonił się nisko i powiedział:

- Przyszedł ktoś, księżniczko, kto chciałby z tobą porozmawiać.

- Mężczyzna?

- Demon, według mej opinii, chociaż w męskiej postaci, jak to one wszystkie mają we zwyczaju.

- Demon - zadumała się Kopciuszek. - Nie przypominam sobie, bym zapraszała jakiegos.

- Sądze, iż przyszedł na własną rękę, pani - rzekł lokaj, wycierając mankiet o swe bujne wasy. - Twierdzi, iż sprowadził go tutaj sprawa wielkiej wagi.

Ta wymiana zdań mogła się ciągnąć w nieskończoność, gdyby w tym momencie wielkimi krokami nie

wszedł na salę Azzie, wraz z dwoma odzwiernymi, którzy przywarli do pół jego surduta, próbując go powstrzymać. Demon otrząsał się z nich, aż rymneli jak dżdżownicy, i zapytał:

- Ty jesteś Kopciuszek?

- Tak, to ja.

- A to jest twoje przyjęcie?

- W rzeczy samej. I na wypadek, gdybyś chciał je rozbić, uprzedzam, że mam własne demony, które ujrzysz momentalnie, kiedy tylko je zawołam.

- Wydaje mi się, że zaprosiłaś moją bratanicę, Królową Scarlet?

Kopciuszek rozejrzała się po gościach. Kilkunastu wydawało się pograżonych w interesującej ich rozmowie, a lokaj zajmował się kreceniem swych śmiesznych wasów, jakby próbował samego siebie oraz zmyślone listy uwierzytelniające przepchnąć przez procedurę dworskiej etykiety.

- Chodźmy stąd do mojego prywatnego buduaru - powiedziała Kopciuszek. - Tutaj możemy mówić tylko szeptem.

Za czym przeszli do alkowy.

- Swoje latające kije od miotły zechciej postawić w kącie - poradziła Kopciuszek.

- Zatrzymam je przy sobie. Wystarczy nam krótka rozmowa. Gdzie jest Scarlet?

- Czy ty naprawdę jesteś jej wujem? Nie powinieneś pozostawić samotnego dziecka tak długo w zaczarowanym zamku. Nie sadyłam, że zaproszenie jej tutaj mogłoby komukolwiek wyrządzić jakąś szkodę.

- Gdzie ona teraz się znajduje? - powtórzył Azzie, tupiąc złowieszczo nogą.

Kopciuszek rozejrzała się wokół, ale nigdzie nie dostrzegła Scarlet. Zawezwała sługę - innego tym razem, nie tego z wielkimi wasami; przywołany mógł się pochwalić małą kozia bródka - i poleciła mu znaleźć księżniczkę. W chwili później lokaj przybiegł z powrotem.

- Powiedziano mi, że księżniczka opuściła przyjęcie w towarzystwie dżentelmena w turbanie, Ahmeda Ali - zameldował.

Azzie zwrócił się ku niemu.

- Jak się stąd oddalili?

- Na latającym dywanie, milordzie..

Azzie potarł policzek i spojrzał na sługę z namysłem.

- W jakim kierunku odlecieli?

- Wprost na wschód, panie.

- Czy wiesz, kim jest ten człowiek? - zapytał Azzie Kopciuszką.

- To jakiś szlachcic z dworu Wielkiego Mogola, władcy całego Turkiestanu.

- To wszystko, co o nim wiesz? A może słyszałaś coś *o al contrario*? Czy powiedział ci, gdzie znajduje się jego dwór?

- Nie, niezbyt dokładnie.

- No to ja ci powiem, że Ahmed Ali jest Szefem Dostawców do Seraju Wielkiego Mogola!

- Skąd to wiesz?

- W moim interesie jest znać takie fakty - odparł Azzie.

- Streczyciel! Z pewnością nie sędzisz...

- Sądze - stwierdził sucho Azzie - iż w tym dokładnie momencie księżniczka Scarlet przewożona jest ponad granicami w celu uczynienia z niej białej niewolnicy i cesarskiej prostytutki.

- Nie przychodzi mi do głowy żaden pomysł! - powiedziała Kopciuszką. - Gdzie jest mój wielki wezyr? Wykreśl imię Ahmeda Ali z listy gości! Przekreśl je podwójną krechą! Mój drogi demonie, nie potrafisz wyrazić, jak bardzo mi przykro...

Ale mówiła to już do siebie, gdyż Azzie wskoczył na poręcz balkonu, zatrzymując się tylko na czas potrzebny do uaktywnienia mechanizmów lotnych miotły, po czym wzniósł się w powietrze, kierując się na wschód; ciągle na wschód.

Latające dywany są chyba w locie, mając za napęd najmocniejsze zaklęcia potężnych dzinnów, ale charakteryzują się niewielką sprawnością aerodynamiczną oraz tendencją do chybotania na wietrze. Dodatkowo krawędź nacierająca dywanu niezmiennie zawija się do góry podczas lotu niczym przód toboganu, powodując powstanie poduszki powietrznej spowalniającej lot.

Ahmed cały czas zachowywał się nalezycie. Jeśli natomiast chodzi o Scarlet, to zaczęła się zastanawiać nad swoją sytuacją i doszła do wniosku, że jest ona nieco mniej zachwycająca, niż wydawała się wcześniej. Kiedy spojrzała na Alego, eleganckiego jak z zurnala i kierującego lotem dywanu, zauważyła znamionujące okrucieństwo linie brudzące mu twarz, które jakimś cudem poprzednio przeoczyła; a także dodający jego fizys wyrazu złości sposób, w jaki opadały mu wasy, by potem zakreślić z powrotem ku górze; ich nawoskowane konce przypominały ostre igły. Przyszło jej na myśl, że zaczęła staczać się po równi pochyłej dokładnie w tym momencie, kiedy przyjęła jego zaproszenie. Wpadła na to tylko dlatego, że przypomniała sobie o przeznaczonym jej Księciu Czarusiu, który być może właśnie teraz wkraczał do zaczarowanego zamku. Co będzie, jeżeli dotrze tam, nie zastanie jej i pójdzie dalej, by znaleźć kogoś innego? Czy stanie się wówczas jej przeznaczeniem samotne życie pod zaklęciem drzemki przez resztę dni? Czy przyjdzie jakikolwiek ratunek dla Drzemiaczej Piękności, której pech polegał na tym, że nie było jej akurat w domu i nie została znaleziona przez swego księcia? Tak czy owak, jak ona się w to wszystko wplatała? Czy Ahmed naprawdę jest szczerzy?

- Ahmed - powiedziała - zmieniłam zdanie.

- Doprawdy? - zdziwil sie bezceremonialnie.
- Chce wrócić na bal Kopciuszka.
- Pałac Wielkiego Mogola jest juz całkiem niedaleko - powiedzial Ali.
- Nie obchodzi mnie to! Chce wrócić natychmiast!

Ahmed odwrócił sie do niej, a na jego twarzy malowały sie zlosc, duma własna, nienawisc oraz zła wiara i maloduszność pospolu.

- Mała ksiezniczko, tys wybrała te przygode i teraz nie ma juz odwrotu.
- Czemu to robisz? - zapytala Scarlet. - Nadszedł moment, w którym liczy sie tylko prawda.
- To moja praca - odparł Ahmed. - I mój pan, Wielki Mogol, wynagrodzi mnie wspaniale za dostarczenie cie do jego haremu. Czy mam sie wyrazic jasniej?
- Nie pójde do zadnego seraju! Predzej sie zabije! - krzyknela Scarlet.

I przysunela sie nad krawedz dywanu. Wychylajac sie, ujrzala daleko w dole greckie wyspy - ciemne bryly na tle mlecznobiałego morza - i zdecydowala, ze sprawy nie zasly jeszcze tak daleko, by usprawiedliwialy samobójstwo - a przynajmniej nie teraz.

- Cofnela sie, wracajac na srodek dywanu i oplakujac juz w duszy przystojnego, mlodego ksiecia, który - sadzila - nie dostapi nigdy zaszczytu jej spotkania. Rozpuscila na wiatr swoje dlugie wlosy powiazane przez ped powietrza w mysie ogonki i zobaczyla - hen za soba na niebie, tam, kedy zwróčila głowe, usilujac ulzyc karkowi, w którym jej strzyknelo - malenka plamke poruszajaca sie najwyrazniej w ich strone. Plamka urosła, a wraz z nia i nadzieja w sercu Scarlet, wiec odwróčila sie z powrotem, by nie zdradzic przed Ahmedem miotajacych nia emocji.

Azzie, lecac pelnym gazem na zblokowanych dwóch kijach od miotel, zobaczyl przed soba latajacy dywan, którego kształt rysowal sie fantastycznym konturem na tle pełni ksiezycy; zblizył sie, mruzac oczy pod naporem chloszczacego go pedu powietrza. Jego wscieklosc zdawala sie wyzwalac w miotlach wieksza moc zmuszajaca je do wiekszej chyzosci. Gwałtownie skracal dystans do latajacego dywanu, a potem, znajdujac sie nieco z tyłu i powyzej kobierca, spikowal ostro w dól.

Pierwsza rzecz, jaka powiadomila Ahmeda o tym, co sie dzieje, byl glosny dzwiek przewyzszajacy nawet ryk smigla lotniczego; odwróciwszy sie, ujrzal demona o lisiej twarzy, dosiadajacego okrakiem dwa miotajace ogien kije od miotel i nurkujacego prosto na niego! Przytrzymujac Scarlet jedna reka, Ali rzucil dywan w slizg. Podczas gdy ich pojazd spadal z nieba, Scarlet zapiszczala przekonana, iz manewr zakonczy sie pewnym zderzeniem z falami, lecz Ahmed wyrównal lot kilka zaledwie stóp ponad powierzchnia lśniacego morza. Obrócił dywan, by uruchomic sterowane moca zaklec wyrzutnie piorunów. Nie raz i nie dwa prosil o najnowoczesniejsze bazooki, ale Wielki Mogol, tak rozrzutny, gdy szlo o sprawy zwiazane z jego haremem, wykazywal zadziwiajace skapstwo w kwestii modernizacji uzbrojenia swych latajacych dywanów.

Totez zanim zdazyl doprowadzic swoje standardowe wyposazenie bojowe do dzialania, Azzie ostrzelal

go rozpryskowymi strzałami światła - krótkimi i bardzo bolesnymi impulsami. Ahmed robił uniki i lawirował, jak mógł, ale świetlne pociski padały wciąż bliżej i bliżej, osmalając krawędzie dywanu i nadwierzając jego skromne teraz zdolności manewrowe. Ali zorientował się, że bez względu na to, jak mocno będzie szarpał za stery, nici watki i osnowy nie będzie w stanie sprawować dalej kontroli nad pojazdem. Dywan nachylił się stromo, a Ahmed chwycił kurczowo obiema rękami jeden jego koniec. Księżniczka Scarlet, uwolniona z uścisku, zślizgnęła się po nachylonej teraz niemal pionowo powierzchni kobierca, przekoziolkowała na drugą stronę i zaczęła spadać w przejrzystym powietrzu.

Spadała i spadała, a przerażenie, które ją ogarnęło, było tak wielkie, że ani jeden okrzyk przestraszenia nie wydobyl się z jej sparalizowanych trwoga ust. Morze przybliżało się zatrważająco szybko, a pod sobą widziała urwista, mała wysepka wznosiła się ku niej dużo szybciej, niżby mogła sobie tego życzyć.

Śmierć zadrzała jej w oczy; jednak w ostatnim z możliwych momentów upadku, gdy ostre jak igły skaliste szczyty sięgały już po nią swymi granitowymi palcami, Azzie runął pod nią, zgarnął ją ramieniem i przelożył przez miotły tak, jakby układał worek maki na grzbiecie ziemskiego jucznego zwierzęcia. Scarlet odczuła przeciążenie, z jakim Azzie wyrwał w górę w beczce, usiłując wydobyć się z lotu nurkowego, który zdawał się nieuchronnie kończyć w białym, spienionym morzu. A potem oddalili się od niego, wznosząc się ponownie w powietrze, bezpiecznie!

- Och, wujku Azzie - wysapała Scarlet. - Tak się cieszę, że znowu cie widzę! Byłam taka przerażona!

- Jesteś cholernie nieposłuszna - stwierdził Azzie. - Gdyby nie to, że nasze sprawy zaszły tak daleko, pozwoliłbym zabrać cię do haremu Wielkiego Mogola i zrobił sobie nową Królową Scarlet. Mój młody Książę zasługuje na bardziej wierne serce.

- Już nigdy więcej nie ucieknę - obiecała Scarlet. - Przysięgam. Będę cichutko drzemać w swoim pokoju i czekać na jego przyjście.

- Dzięki temu wszystkiemu - powiedział Azzie - został osiągnięty pewien cel wychowawczy - nauka posłuszeństwa.

I skierował miotły w stronę zaczarowanego zamku.

Rozdział dziewiąty

Po odzyskaniu swej karty kredytowej i umieszczeniu Scarlet tam, gdzie zawsze powinna się znajdować, Azzie poleciał do Paryża - z dawien dawna jednego z jego ulubionych miast. Postanowił przez kilka dni trzymać się z dala od Augsburga, by dać Czarusiowi szansę natknięcia się na miniaturę Księżniczki, czego mu solennie zakazał, tym samym oczekując po Królewiczu, iż zakocha się w niej bez pamięci - za to zgodnie z zasadami psychologii.

Czyż miał lepszy sposób na spędzenie tego czasu, niżli zanurzyć się w rozpustnym życiu jednego z

satanicznych klubów Paryza, z jakich slynelo to miasto?

Ten, na który padł jego wybór, Heliogabulus Club, mieścił się w jaskini pod powierzchnią miasta. Po zejściu w dół po nieskończonej ilości kondygnacji kamiennych schodów Azzie dotarł do groty udekorowanej przy pomocy czaszek i szkieletów. Światła pochodni umocowanych w żelaznych, ściennych uchwytach rzucały tu i tam ponure, mroczne cienie. Za stoły w tym przybytku służyły sarkofagi sprowadzone przez jakiegoś pomyslowego przedsiębiorcę z Egiptu, gdzie znajdowała się ich niewyczerpana mnogość, zaś trumny posledniejszego gatunku - za krzesła. Drinki serwowała służba ubrana w kszesze sutanny i habity zakonnic. Tych szelm używano także jako usłużnych i powolnych ciał podczas orgii stanowiących kulminacyjny punkt większości wieczornych zabaw. Seks oraz śmierć - był to jeden z głównych tematów poruszanych w europejskich barach.

- Co podać? - zapytał mocno zbudowany mężczyzna w księzych szatach.

- Daj mi jakieś drogie, importowane piwo - zamówił Azzie. - Macie także coś na zab?

- *Nachos* - odparł kelner.

- Co to takiego?

- Coś, co Franciszek Szybki przywiózł z Nowego Świata.

Tak więc Azzie dostał swoje *nachos*, które okazało się owsianymi płatkami pokrytymi smierdzącym camembertem i polanymi ketchupem. Azzie zmienił smak posiłku kuflem ciemnego angielskiego piwa i od razu poczuł się lepiej.

W trakcie jedzenia miał wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Teraz rozejrzał się wokół. W ciemnym, odległym kącie znajdował się jeden nie oświetlony nawet świeczką stolik, ale Azzie dostrzegł w tym mroku jakiś ruch. Wrażenie bycia obserwowanym zadawało się emanować właśnie stamtąd.

W pierwszej chwili Azzie postanowił zupełnie zignorować sprawę. Zamówił jeszcze jeden talerz *nachos* i przerzucił się na wino, więc po niedługim czasie zaczął mieć mocno w czubie. Zabawa stawała się huczniejsza, i Azzie urzynał się. Nie jak świnia, ale jak demon; był naprawdę bardzo pijany. Zaintonował piosenkę, jaką śpiewają demony z ziemi kananejskiej, kiedy dobrze się bawia. Słowa biegły tak:

Czuje się świetnie,

choć nie wiem, jak nazwać mam

tego starego, fajnego ubawu stan,

który często puka do bramy,

kiedy jestem pijany

i czuje się świetnie.

Piosenka liczyła jeszcze kilkanaście dalszych wersetów, ale Azzie miał teraz trudności z przypomnieniem ich sobie oraz - po prawdzie - czegokolwiek innego też. Było już bardzo późno i zdawało mu się, że jest w tym miejscu od diabli wiedza jak dawna. Rozglądając się wokół, stwierdził, że inni stali bywalcy umknęli dokądś. Co mu wsypano do wina? Miał zawroty głowy; zataczał się dużo bardziej, niżby to istotnie wynikało ze stanu upojenia, w jakim się znajdował. Coś dziwnego działo się także w głębi jego trzewi i nie był pewien, czy zdoła wstać o własnych siłach. W końcu, po długim zastanowieniu, podniósł się na nogi.

- Kto mi to zrobił? - zapytał słowami tak zniekształconymi, jakby z jego ust toczyły się ledwo ociosane brukowce.

- Tutaj, Azzie - powiedział jakiś głos za plecami.

Demon odniósł wrażenie, że słyszał go już wcześniej, i spróbował się odwrócić w jego kierunku, ale właśnie wtedy coś ciężkiego walnęło go w tył głowy, w pobliże lewego ucha - miejsce niezwykle czule u demonów. Normalnie byłby w stanie znieść skutki podobnego ciosu; nie jest wcale łatwo powalić wysłannika piekiel, tym jednak razem, znajdując się pod działaniem mocnego alkoholu i tego czegoś, co ktoś nieznany domieszał mu do trunku, nie mógł się oprzeć. Cholera! Znalazł się w kropce. I to było wszystko, co zdążył pomyśleć w tym momencie, ponieważ zemdlał tak gruntownie, że nie był absolutnie świadom tego, co się z nim działo przez wiele momentów przyszłości świata.

Rozdział dziesiąty

Azzie ocknął się w jakimś nieokreślonym czasie później. Wracał do przytomności osłabiony i niezbyt szczęśliwy. Meczyl go katzenjammer o niepospolitej zgola intensywności. Próbował obrócić się zdziebko, by przynieść jakąś ulgę swej bolącej jak wszyscy diabli głowie, ale stwierdził, iż ma znacznie ograniczoną swobodę ruchów. Rece wydawały się związane; to samo z nogami. Był także przytroczony do ogromnego krzesła.

Dwa, trzy razy otworzył na próbe oczy, a potem definitywnie rozwarł powieki i rozejrzał się ciekawie. Przebywał w jakiejś podziemnej grocie, której ściany był w stanie dostrzec dzięki fosforescencyjnemu lśnieniu miki zawartej w tworzonych je skalach.

- Hej tam! - zawołał. - Jest tu kto?

- Oczywiście - odparł jakiś głos. - Ja tutaj jestem. Azzie wyteżył wzrok jeszcze bardziej i po chwili dostrzegł w mroku jakąś postać. Właściwie było to tylko pół postaci, chociaż brodatej. Z pewnym trudem rozpoznał rysy twarzy pod porastającymi ją włosami.

- Rognir!

- Bo też istotnie był to troll, którego przekonał kiedyś, by ten oddał mu swój feliksyt i klejnoty.

- Czolem, Azzie! - powiedział Rognir, a w jego głosie wyraźnie brzmiało szyderstwo i złośliwość. - Czyżbys nie czuł się zbyt dobrze?

- Istotnie, szczególnie - potwierdził Azzie. - Ale to nieważne, mam wielką zdolność regeneracji sił. Mam też wrażenie, jakbym zaplatał się w coś, co mnie wiąże do tego krzesła. Gdybys był tak miły i uwolnił mnie oraz podał mi kubek wody, to myślę, iż niemal całkowicie przyszedłbym do siebie.

- Uwolnić cie?

Śmiech Rognira był tak pogardliwy, jak to często bywa ze śmiechem trolli. Gdy nastąpiła cisza, dołączyły do niego inne mruczące głosy.

- Do kogo ty mówisz? - zainteresował się Azzie. Ponieważ jego oczy przyzwyczajały się coraz bardziej do ciemności, mógł teraz dostrzec inne kurduplowate postacie znajdujące się wraz z nim i Rognirem w jaskini. Byli to wszyscy mali mężczyźni, same trolle, których przyglądające mu się badawczo oczy tworzyły wokół błyszczący krąg.

- To jest moje plemię - powiedział Rognir. - Chciałbym dokonać prezentacji, ale po cóż się tym kłopotac? Nie będziesz tu dłużej, niżli na czas potrzebny do uciecia sobie malej i zabawnej rozmówki.

- Ale o czym? - zapytał Azzie, chociaż miał na ten temat wcale dobre pojęcie.

- O tym, co jesteś mi winien - przypomniał mu Rognir.

- Wiem. Czy jednak uważasz, że sposób, do jakiego się uciekłeś, jest jedynym mogącym doprowadzić do omówienia tej kwestii?

- Twój sługa nie chciał dozwolnić nam wejść, gdy przychodziliśmy pogadać z tobą na ten temat.

- Ach, ten Frike - powiedział Azzie dusząc w sobie śmiech. - Jest taki opiekunczy!

- Być może jest. Ja jednak chcę moich pieniędzy. Znalazłeś się tutaj po to, bym je otrzymał. W tej chwili. Natychmiast.

Azzie wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie przeszukałeś już moje kieszenie, więc wiesz, że nie mam przy sobie niczego oprócz drobnych oraz jednego czy dwóch zakleć.

- Nie masz już nawet i tego - odparł Rognir. - Zabralismy je!

- Więc czego więcej możecie chcieć?

- Zapłaty! I to nie tylko procentów, które mi obiecałeś od moich skarbów, ale także samych klejnotów!

Azzie roześmiał się cicho ze szczerym rozbawieniem.

- Mój kochany! Całe to zamieszanie jest zupełnie niepotrzebne, ponieważ tak naprawdę przybyłem do Paryża po to, by cię odnaleźć i powiedzieć, jak dobrze ma się twoja inwestycja.

- Ha! - zakrzyknął Rognir ze zdziwieniem, które nie mogło znaczyć nic innego, jak wyraźnie dająca się odczuć niewiara.

- Daj spokój, Rognir, nie ma powodu do takich gier. Rozwiąż mnie i pogadajmy o tym jak dzentelmeni.

- Nie jesteś dzentelmenem - przypomniał mu Rognir. - Jesteś demonem.

- A ty trollem - nie pozostał dłużny Azzie - ale rozumiesz, co miałem na myśli.

- Chcę dostać swoje pieniądze.

- Zdajesz się zapominać o tym, że nasza umowa miała obowiązywać przez rok - rzekł Azzie. - Termin jeszcze nie upłynął. Sprawy idą dobrze i w stosownym czasie otrzymasz swój kapitał z powrotem.

- Myślałem nad tym wszystkim i zdecydowałem, iż nie mam zamiaru wkładać swoich zasobów w twoje przedsięwzięcie. Wydaje mi się, iż może ono źle się skończyć dla klas pracujących, jak na przykład dla nas, trolli. Jeden klejnot w saszce jest wart dwóch albo i trzech na jakiejś zagranicznej giełdzie, gdzie może wybuchnąć panika.

- Umowa jest umowa - stwierdził Azzie - a ty zgodziłeś się poruczyć mi swoje skarby na rok.

- Tak, ale teraz się wycofuje. Chcę odzyskać swój wkład.

- Związany, jak w tej chwili, nie jestem w stanie zrobić dla ciebie nic więcej - wzruszył ramionami Azzie.

- Tak, ale jeżeli ci uwolnimy, to rzucisz jakieś zaklecie i tyle ci będziemy widzieli.

Było to dokładnie to, co zamierzał Azzie. By odwrócić uwagę konusa od tego drażliwego tematu, zapytał:

- Co znaczy „my”? Dlaczego są w to zamieszane jakieś inne trolle?

- To są moi partnerzy w tym interesie - odparł Rognir. - Być może udałoby ci się przekabacić mnie samego, ale z nimi wszystkimi nie pójdzie ci tak łatwo.

Jeden z trolli wystąpił do przodu. Był niski, nawet jak na gнома, a jego całkiem biała broda nosiła żółtobrnatną obwódke wokół ust - ślad po zuciu tytoniu.

- Nazywam się Elgar - przedstawił się. - Okpiłeś tego prostodusznego trolla Rognira, ale nie uda ci się zrobić tego samego z nami. Oddawaj natychmiast naszą forsz albo...

- Mówiłem już - powiedział Azzie - że nie mogę nic zrobić, mając związane obie ręce. Nie mogę nawet się wysmarkać!

- A po co masz smarkac? - zainteresował się Elgar. - Nie o tym mówimy.

- To tylko taka figura stylistyczna - wyjaśnił Azzie. - Chodzi o to...

- Wiemy, o co tobie chodzi - powiedział Elgar. - O to, by nam niczego nie zwrócić. Ale skoro nie możesz zapłacić, mamy wobec ciebie pewne plany, mój miły przyjacielu.

Jestem w każdej chwili wyplacamy, ale nie będąc przytroczonym do krzesła! - Azzie uśmiechnął się w sposób właściwy zwyczajom. - Rozwiążcie mnie i dajcie mi szansę zdobycia jakichś funduszy. Zaraz wróce i przysięgam na wszystko, co chcecie, że tak się stanie.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział Elgar. - Gdy byśmy popuścili ci choćby na cał, załatwiłbyś się z nami przy pomocy swoich diabelskich czarów. Nie. Licze do trzech, a ty masz oddać wszystko, co jesteś winien Rognirowi. Raz, dwa, trzy. Nie ma forsy? A więc tak!

- Jak? - zapytał Azzie.

- Zobaczysz jak to jest!

- Co?

Elgar zwrócił się do pozostałych.

- W porządku, chłopcy. Bierzmy go do Kola Pracy.

Było to coś, o czym Azzie nigdy dotąd nie słyszał; wyglądało jednak na to, iż wkrótce dane mu będzie poszerzyć swą wiedzę empirycznie. Drobne, zrogowaciałe dłonie dzwignęły krzesło wraz z siedzącym na nim Azzie'm i poniosły go w głąb jaskini.

Rozdział jedenasty

Podczas wędrowki obniżającym się tunelem, wciąż dalej i dalej w głąb trzewi Ziemi, krocząc poprzez kocie lby i wertepy, omijając ślepe korytarze i przedzierając się w poprzek lodowatych strumieni, trolle cały czas śpiewały z zapamiętaniem. Było tak ciemno, że Azziego poczęły boleć oczy - tak je wytrzeszczał, by cokolwiek zobaczyć. A oni szli i ryczeli piosenkę po piosence w języku, którego nie rozumiał ani w zab, aż wreszcie dotarli do otworu, który ich wyprowadził na ogromną podziemną równinę.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytał Azzie, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi na to tak proste pytanie.

I znów mrowie małych rak przytrzymało go mocno, podczas kiedy odwiązywano go od krzesła, a przywiązywano do czegoś innego; po dotyku sadzac, było to rusztowanie, czy rama jakiegoś rodzaju wykonana z metalu i kawałków drewna. Kiedy spróbował zrobić krok, coś poruszyło się pod jego stopami. Po paru chwilach zorientował się, iż solidnie przytroczono go po wewnętrznej stronie wielkiego koła, jakby koła wodnego; stopy miał wolne, natomiast ręce mocno przywiązane do uchwytów znajdujących się po obu stronach obrotu. - To jest - zaprezentował Rognir - Koło Pracy. Obracasz je, spacerując w miejscu, a dzięki szeregowi przelozien porusza ono następne koło, które obraca wały napedzające maszyny w jednej z górnych hal.

- Interesujące - skrzywił się Azzie. - Ale co mi do tego?

- Oczekujemy, że będziesz chodził w tym kole, wprawiając je w ruch. Tym sposobem pomożesz nam w pracy, a my będziemy ci płacić - czyli zmniejszać twoje zadłużenie. Kilkaset lat takiego zajęcia - i będziesz wolny jak ptak!

- Zapomnij o tym - stwierdził Azzie.

- Rób, jak uważasz - powiedział Rognir. - W po rzadku, chłopcy, otwórzcie słuze.

Ponad głową Azziego rozległ się zgrzytliwy dźwięk i coś stamtąd zaczęło na niego spadać; jak wkrótce powiedział mu o tym jego nos, oberwał się na deszcz ekskrementów. Nie były to jednak proste ludzkie czy demoniczne nieczystości, nad których obsługą spędził w swym życiu mnóstwo czasu, nie; to, co zleciało mu na głowę, śmierdziało tak potwornie, iż jego receptory węchowe - każdy na własną rękę - usiłowały popelnić seppuku.

- Co to za swinstwo? - krzyknął.

- Fermentujące przez wieki smocze gówno - wyjaśnił go Rognir uprzejmie. - Znajdujemy się w pobliżu jego legowiska i spuściliśmy na ciebie nieco zawartości ze spodu szamba, traktując to jako środek dopingujący cię do pracy.

Nogi Azziego zaczęły biec swym własnym rytmem i koło obróciło się, a po chwili strumień smoczycich odchodów urwał się.

- Zasada jest prosta - wyjaśnił Rognir. - Gówna zaczynają spadać, kiedy przestajesz dreptać i trwa to aż do chwili, gdy znów podejmiesz swój wysiłek.

- A co z resztą czasu? - chciał wiedzieć Azzie.

- Dowiesz się, kiedy będziesz miał przerwę - powiedział Elgar i banda trolli rozesmiała się.

- Wysłuchajcie mnie! Mam do załatwienia bardzo ważną sprawę. Musicie mnie wypuścić, żebym się z nimi uporał! Oddam wam...

- Istotnie, oddasz - powiedział Rognir. - W towarzystwo albo w pracy. Załatwimy to później, demonie.

Trolle zniknęły. Azzie został sam z desperackimi myślami

Rozdział dwunasty

Azzie spacerował obracając Kolo Pracy i wyrzucając sobie, iż nie powiedział Frike'owi, dokąd się wybiera; po prostu wyszedł z domu, nie zostawiając słuzacemu żadnych poleceń ani wskazówek. I właśnie teraz, kiedy potrzebny był nadzwyczajny pośpiech, ponieważ nadszedł już najwyższy czas na rozpoczęcie przygody Księcia Czarusia, Azzie tkwił w ciemnościach pod Paryzem, skazany przez bandę głupich trolli na obracanie ich głupiego kola.

- Hej tam! - powiedziała ciemność. - Jesteś demonem?

- Kto mówi?

- Spójrz w dół, obok swojej prawej stopy, to mnie zobaczysz.

Azzie posłuchał polecenia i ujrzał długą na sześć cali glistę.

- Dżdżownica?

- Tak. A ty jesteś demonem?

- Zgadza się. Jeżeli mi pomożesz, będę miał dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.

- Co takiego? - chciała wiedzieć glista.

- Uczynię cię królem wszystkich dżdżownic.

- Obecnie nie mamy króla. Są naczelnicy okręgów oraz Wysoka Rada.

- Zrobię cię członkiem tej Rady.

- Najpierw muszę zostać szefem dystryktu, by móc do niej kandydować.

- W porządku, zostaniesz naczelnikiem. Jak się nazywasz?

- Elton Siedzacy najajach. Ale przyjaciele mówią mi Tom.

- Okay, Tom. I co ty na to? Pomogiesz mi?

- Mógłbym. Tutaj na dole nic się nie dzieje i zrobiłbym to, aby przerwać nudę. Choć z drugiej strony - mógłbym i nie pomóc.

- Co wybierasz?

- Nie jestem pewien. Nie popędzaj mnie. Dżdżownice myślą raczej powoli.

- Przepraszam. Zastanów się spokojnie... Namysłiles się już?

- Nie, nawet nie zacząłem jeszcze nad tym pracować. Azzie powściągnął swą niecierpliwość.

- W porządku, zastanawiaj się, jak długo chcesz. Zawołaj mnie, gdy będziesz gotowy. Glista nie odpowiedziała.

- Tak będzie dobrze? - zapytał Azzie.

- Co będzie dobrze?

- Ze powiadomisz mnie, kiedy się zdecydujesz.

- Brzmi to rozsądnie - stwierdziła dżdżownica. - Ale nie rób sobie nadziei na zapas.

- Nie martw się. Będzie czekał.

I Azzie czekał, obracając Kolem Pracy. Słyszał dżdżownicę poruszającą się bardzo cicho po pieczarze, czasem na jej powierzchni, czasem grzebiąc pod ziemią i skalami. Czas mijał, ale Azzie nie był w stanie określić, ile to wszystko trwało. Zdawało mu się, iż diabelnie długo. Co było dokuczliwe, to to, iż Azziego zaczęła swierzbieć skóra na klatce piersiowej. Swędzenie jest nadzwyczaj irytująca rzecz, kiedy obie ręce ma się przywiązane, jakby się było rozpiętym na krzyżu! Szukając ratunku, Azzie stwierdził, iż wyginając się maksymalnie do tyłu, może sięgnąć swędzącego miejsca ogonem. Teraz podrapał się bardzo ostrożnie, ponieważ chwost miał niezwykle ostro zakończony.

To było cudowne! Ale jednocześnie natrafił na coś, co i przeszkadzało mu w osiągnięciu pełnej satysfakcji z tego czochrania się. Zbadał ostrożnie zawadę koncem ogona. Tak, coś tam było. Owinął przedmiot chwostem i odsunął dalej od twarzy, by mógł to zobaczyć. Rzecz miała kilka cali długości i zdawała się być z metalu.

- Ciągłe myśle - powiedziała dżdżownica.

- To dobrze - pochwalił Azzie.

Pochylił głowę i chwycił sznur, na którym wisiało jego znalezisko. Chowając uprzednio szpony dla uzyskania lepszego kontaktu czuciowego, dotknął go opuszkami palców. Wyglądało to na klucz. To był klucz od jego Chateau! Teraz Azzie przypomniał sobie, iż z przezorności zawiesił sobie na szyi zapasowy, by mieć go zawsze przy sobie bez względu na to, ile razy by się przebierał. Był to dosyć zwyczajny klucz, ale miał w środku swej główki czerwony klejnot. Wewnątrz, jak pamiętał, znajdowało się małe zaklecie, które trzymał tam, zapomniawszy o nim.

- Jak się nazywałeś i do czego służyłeś? - spytał teraz zaklecie.

- Jestem Dirigan i otwieram przejścia - z czerwonego kamienia dobył się cieniutki głosik.

- Jejku, to wspaniale! - ucieszył się Azzie. - Poradziłbyś sobie z moimi wieżami?

- Niech no rzuce okiem - powiedział Dirigan. Azzie przesunął klucz ponad swymi spętanymi dłońmi.

Światło we wnętrzu klejnotu pulsowało łagodnie, rzucając wokół czerwone błyski.

- Myśle, że dam sobie z tym radę.

Klejnot rozbłysnął gwałtownie i zgasł; wieże opadły. Ręce Azziego były wolne.

- Wyprowadz mnie stąd teraz.

- Ja nadal myślę - powiedziała dżdżownica, wznosząc swój tępy łeb.

- Nie mówilem do ciebie - powiedział Azzie.
- To dobrze, ponieważ jeszcze się nie zdecydowałem.
- Też mi coś - zamruczał Azzie.

Mając wolne ręce, poczuł się silny i zdolny do działania. Najpierw zszedł z kola; niech deszcz smoczych głów nie pada sobie równo - jego nie ma już na ich drodze.

- Teraz - powiedział - trzeba znaleźć drogę do wyjścia. Dirigan, poswieć trochę.

Klejnot zapulsował jasniej, rzucając cienie na ściany pieczary. Azzie ruszył przed siebie, aż dotarł do rozgałęzienia dróg. Miał do wyboru pięć różnych kierunków.

- Któredy powinienem iść? - zapytał zaklecia.
- A skąd ja mam wiedzieć? - odparło. - Jestem tylko małym zakleciem i właśnie się wyczerpałem.

I światło zgasło.

Azzie słyszał coś nieco o podziemnych labiryntach trolli kryjących w sobie wielkie niebezpieczeństwa. Często w podłogach tuneli znajdowały się zapadnie, przez które można było wpasć do znajdujących się poniżej wilczych dolów - cuchnących przestrzeni wypełnionych wszelkiego rodzaju plugastwem. Gdyby obsunął się do jednego z nich, mógłby się nigdy stamtąd nie wydostać. Najgorsze w tej ewentualności było to, iż Azzie, jak wiele innych demonów, był praktycznie niesmiertelny; mógł zatem - gdyby nikt nie przyszedł mu z pomocą - tkwić w najgłębszej otchłani przez wieki, może nawet na zawsze, żywy lecz zanurzony na śmierć. Słyszało się wszak historie o demonach pogrzebanych żywcem przez takie czy inne nieszczęśliwe wypadki. Wiele z nich po dziś dzień tkwiło w podziemnych pulapkach, w których znajdowały się od jeszcze wcześniejszych czasów.

Azzie ruszył przed siebie. Usłyszał szelest dżdżownicy Eltona, który powiedział:

- To nie jest dobra droga.

Azzie odstąpił wstecz.

- Nadal nie zdecydowałem się, czy mam ci pomóc, czy też nie.
- Lepiej by było, gdybys zrobił to jak najszybciej. Moja oferta nie obowiązuje bezterminowo.
- W porządku - powiedział Tom. - Sądzę, że ci pomogę. Idź tym tunelem najbardziej na prawo od ciebie.

I Azzie posłuchał go. Jak tylko wkroczył do skalnego korytarza, ziemia usunęła mu się spod stóp. Spadał. Miał tylko tyle czasu, by krzyknąć:

- Powiedziałeś, że ten chodnik jest bezpieczny!
- Sklamalem! - zawołała dżdżownica. - Ha, ha!

Azzie spadał i spadał, chociaż to był w sumie krótki upadek, wszystkiego może z pięć stóp. Po jego

prawej ręce znalazły się nagle metalowe drzwi oznaczone fosforyzującym napisem: WYJSCIE.

Klnac, przepchnął się przez nie.

Rozdział trzynasty

W Augsburgu Frike wylał sobie palce ze zdenerwowania, chodząc tam i sam przez frontowe podwórze oraz wyglądając na niebie najmniejszego choćby znaku powrotu jego ukochanego pana. Wreszcie dojrzał jakiś cienki, ciemny punkcik, który niebawem przybrał postać Azziego.

- Och, panie! Wróciłeś nareszcie!

- Tak szybko, jak tylko byłem w stanie to uczynić - odparł Azzie. - Ale w drodze powrotnej zostałem zatrzymany przez plemię chciwych trolli, ładunek smoczyczych odchodów, Kolo Pracy oraz gliste tknięta schizofrenia. Mam nadzieję, że ty za to spędziłeś miło czas i miałeś oko na Księcia Czarusia.

Twarz Frike'a skrzywiła się ze smutku.

- Zajmowałem się Królewiczem, jak tylko potrafiłem najlepiej. Smoczy gnój?

- Nie inaczej. Czy przelamał moje ostre zakazy i poszedł do zamkniętego pokoju na górze?

- Tak, panie.

- I natychmiast, gdy się tam znalazł, odszukał w górnej szufladzie mego biurka w gabinecie małą, zamkniętą szkatułkę?

- Poszedł tam jak po sznurku, panie - potwierdził Frike.

- A otwarszy ją, czy znalazł miniaturę Księżniczki Scarlet?

- Nie inaczej, panie, tak właśnie uczynił.

- Skoro tak, to czemu nie opowiesz mi, posługując się swą nieco przyciężką wymową, co potem się wydarzyło?

Otóż, panie, Królewicz spojrział na podobiznę Księżniczki Scarlet, po czym skierował wzrok w przestrzeń, a później znowu się jej przyjrzał. Trzymając miniaturę w lewej dłoni, prawa skubał w zamysleniu wargę. Odchrzakiwał co chwile, wydając z siebie dźwięk „ehem, ehem” jak człowiek, który nie ma pojęcia, co powiedzieć, a czuje się zmuszony powiedzieć cokolwiek. W końcu bardzo delikatnie odłożył miniaturę na miejsce, odwrócił się i raz czy dwa przeszedł się po pokoju wielkimi krokami. Potem zawrócił i podniósł ponownie podobiznę Scarlet do oczu. Znowu odłożył, spojrział w przestrzeń -

tym razem lewa dłoń pociągał się za górną wargę.

- Ależ to są wspaniałe szczegóły, Frike! - ucieszył się Azzie. - Ale czy mógłbyś dojść do sedna sprawy, jak zwykle nazywa się jądro jakiejś rzeczy?

- Z całą pewnością, sir. Po uraczeniu się wielokrotnymi spojrzeniami, czy raczej - mógłbym powiedzieć - zapatrzeniami na portret młodej damy, odwrócił się do mnie i po wiedział:

- Frike, ta dziewczyna jest wspaniała!

- To były jego własne słowa?

- Jak najwłaśniejsze, sir. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na to, więc wy dobyłem z gębi swego gardła niski, zwierzęcy pomruk, który młody człowiek mógł interpretować wedle swej woli. Czy dobrze postąpiłem, milordzie?

- Bardzo rozsądnie, Frike. I co stało się dalej?

- Potem, panie, przespacerował się szybkim krokiem dookoła komnaty raz czy dwa, zawrócił do mnie i zapytał: „Dlaczego wuj Azzie schował to przede mną?”

- Aha! - zatriumfował demon.

- Słucham, sir?

- Nic ważnego, to tylko wykrzyknik bez znaczenia. Co mu odpowiedziałeś?

- Rzekłem: „Z powodów, które najlepiej są znane tobie samemu, Książę”. I dalej, zacząłem znów wydobywać ze swego gardła owe przerażające dźwięki.

- Dobra robota, Frike. Co się później zdarzyło?

- Po długim jeszcze gapieniu się na malunek i gmeraniu przy wargach oraz po całym szeregu innych ruchów, które pomimo przez wzgląd na zwyczajność mej opowieści, powiedział: „Frike, muszę ja mieć!”

- Wiedziałem, że mój plan będzie działać! - zakrzyknął Azzie. - Co jeszcze powiedział?

- To było wszystko, jeśli chodzi o pierwszy dzień - odparł Frike. - W ciągu następnego zrobił się jakiś niecierpliwy. Chciał się koniecznie dowiedzieć, gdzie jesteś, panie. Ponieważ jest obowiązkowym chłopcem, pragnął przed wyruszeniem na poszukiwanie Scarlet uzyskać twoje pozwolenie.

- Zuch chłopak - powiedział Azzie. - Gdzie on teraz jest?

- Odszedł - rzekł Frike. - Niedługo potem zdecydował, że nie może dłużej czekać.

- Ale dokąd poszedł?

- Gdziekolwiek indziej, aniżeli po Księżniczkę Scarlet? Dokładnie tak, jak tego pragnąłeś, panie. Czekal na ciebie pięć dni, ale dłużej nie mógł wytrzymać na skutek trawiacej go gorączki namietności. Czyż nie tego właśnie sobie życzyłeś, milordzie?

- Oczywiście, że tak. Ale wcześniej powinien był otrzymać pewne wskazówki oraz specjalny ekwipunek przeznaczony dla człowieka wybierającego się na poszukiwania. Co zabrał ze sobą?

- Udał się do zbrojowni i wybrał miecz oraz zbroję spośród tych wiszących na ścianie. Wziął także trochę pieniędzy, które pozostawiłeś w komodzie, i powiedział, że pójdzie swoją drogą; polecił, aby ci przekazać, iż wróci z księżniczką i ma nadzieję, że nie będziesz się na niego gniewał.

- Psiakrew! - zawołał Azzie.

Zapomniał się, tupnął nogą i zapadł się w ziemię po pas; wydostał się stamtąd z wyraźną trudnością. Babriel, wywedrowawszy przed dom wraz z przybyciem Azziego, wysłuchał wszystkiego i teraz powiedział:

- Co się stało? Przecież on robi dokładnie to, czego się po nim spodziewałeś, czyż nie?

- Tak, ale nie powinien był jeszcze odchodzić. Nie teraz - rzekł Azzie. - Postarałem się, by jego poszukiwania były trudne i niebezpieczne, bowiem tylko wówczas mają szansę zwrócić naszą uwagę Wysokiej Rady. Czarus wyruszył przeciwko groźnym sprawom czarów, w stosunku do których zwykli ludzie uczyniliby najlepiej, obchodzić je kolemi. On nie ma żadnej magicznej ochrony, jaką dla niego przygotowywałem.

- Co zatem uczynisz? - zapytał Babriel.

- Muszę dostarczyć mu niezbędnych rekwizytów - rzekł Azzie. - I muszę to uczynić szybko, bardzo szybko! Czy powiedział ci, gdzie zamierza rozpocząć poszukiwania?

- Ani słowa, panie.

- Dobra, w którą stronę zatem się skierował?

- Poszedł prosto jak strzelił - odpowiedział Frike, wskazując stronę świata.

Azzie spojrzał w tym kierunku.

- Północ - zamruczał. - Poszedł na północ. Zły znak, Frike. Musimy go znaleźć, zanim nie będzie za późno.

Nona

Rozdział pierwszy

Książe Czarus wjechał samotnie na koniu w głąb wielkiego, zielonego lasu, rozciągającego się poza dobrze mu znanymi polami oraz wzgórzami, i wkroczył na teren rozposcierającej się poza nimi ziemi nieznaną, inaczej *terra incognita*. Droga prowadziła go na północ; podczas jazdy rozmyślał o swym mieczu. Wiedział, że Prawie Zawsze Zwycieski Miecz to nie to samo, co Prawdziwie Zaczarowany Miecz, ale i tak był to oręż znacznie lepszy od zwykłego miecza. Podniósł swą bronię i przyjrzał się jej. Był to nadzwyczajnie piękny miecz, z miło pokarbowaną galką kończącą rekojęsc oraz ozdobną strudziną otaczającą jelec; bez wątplenia najwspanialszy okaz broni białej, jaki Czarus kiedykolwiek widział. Znacznie mniejszy od modnego w tych czasach palasza, prosty, bez ekstrawaganckich wygięć - żaden z tych tureckich zakretasów, za który dzięki serdeczności. Miał dwie krawędzie tnące, uczciwie zaostrzone po obu stronach głowni, a kończył się ostro niczym igłą. Już to samo powinno wystarczyć, by zaliczyć go do specjalnej klasy mieczy, ponieważ pospolita ich większość miała krawędź tnącą tylko po jednej stronie głowni i tępe zakończenie.

Prawie Zawsze Zwycieski Miecz stanowił miłą bronię, ale miał też i swoje wady. Istnieje ogólna grupa Zaczarowanych Mieczów, a Azzie, spiesząc się ze znalezieniem magicznej broni dla swego protegowanego, nie zajrzał do skrzyni, z której wyjął ten właśnie egzemplarz. Sądził prawdopodobnie, że wszystkie magiczne miecze są takie same. Nie spostrzegł, iż określenie „zaczarowane” stanowi ogólny termin określający typ broni; innymi słowami - miecze o różnych stopniach zaczarowania leżały tam jedne na drugich.

Magiczna bronię różni się przede wszystkim skutecznością działania. Są (lub były) Miecze Niepekające, których stal nigdy nie ulegała rozhartowaniu; miecze niezawodnie zabijające przeciwnika należały do nadzwyczajnych rzadkości, chociaż jest to właściwość, która każdy niemal płatnerz próbował zakuć w swą klingę. Od czasu do czasu można było znaleźć Absolutnie Zwycieski Miecz, ale te potężne ostrza generalnie nie są w stanie ocalić swego właściciela, który nie może być pokonany w pojedynku, zostaje zwykle otruty przez bliskiego przyjaciela, swą własną żonę albo żonę tegoż przyjaciela; za czym nawet z doskonałym mieczem ludzie nie dożywają bezpiecznie swych dni.

Książe Czarus jechał sobie tymczasem przez splecione lasy. Był to, oczywiście, las zaczarowany. Stały w nim magiczne drzewa - ciemne i posępne, tworzące zielony świat z przeswitującymi pomiędzy nimi czarnymi kształtami. Przypominało to wszystko, jako żywo, starożytny bór, pełen dzikich hord i potworów.

Czarus dotarł w końcu na polanę; jasna łąka ze wszystkich stron otoczona przez ciemność i grozę. Na drugim jej końcu dostrzegł pawilon rozpięty z białych i pomarańczowych płacht materiału. W jego pobliżu stał przywiązany do drzewa wielki czarny koń; wysoki i kształtny - prawdziwe zwierzę bojowe. Czarus ruszył przed siebie i podszedł do pawilonu. Na zewnątrz namiotu, rzucone na stos, leżały części zbroi; był to wspaniale wykonany czarny pancerz, tu i ówdzie ozdobiony perłami. Do kogokolwiek należał, musiał to być ktoś możny i bez wątpliwości mocarny.

Czarus dostrzegł róg wiszący u drzewca proporcą zatkniętego przed namiotem. Podniósł go do ust, zadał i wydobył z niego głośny ryk. Zanim echo zamarło w lesie, w namiocie wszczęło się jakieś zamieszanie, a potem wynurzył się stamtąd olbrzymi, czarnowłosy i patrzący wilkiem facet. Za sobą włożył jasnowłosa dziewczynę w wielce omdlałym stanie.

- No i któż to zadał w mój róg? - zapytał rycerz.

Ubrany był w jasne, pasiaste, krótkie spodnie. Na widok Czarusa zmarszczył się jeszcze bardziej.

- Ba, mój panie! Jestem Książe Czarus - przedstawił się młodzian - i jęde przed siebie, by wybawic Królowne Scarlet spod wpływu zaklecia spiaczki.

- Ha! - zakrzyknął wojownik.

- Dlaczego powiedziales „ha”? - zapytał Czarus.

- Ponieważ wypada mi wydać pogardliwy dźwięk, gdy słysze o tak drobnej i zupełnie błahej wyprawie, jak twoja.

- Podejrzewam, iż waszmości poszukiwania muszą być dużo bardziej wazkie?

- Na pewno są! - odparł, zwiierzając się, mężczyzna. - Musisz wiedzieć, młody człowieku, że nazywam się Parsifal i poszukuje nie mniej, nie więcej, tylko Świętego Graala!

- Graal, co? - powiedział Czarus. - Naprawdę znajduje się gdzieś tutaj?

- Oczywiście, że tak. Wszak jest to zaklęty las; w nim muszą znajdować się wszystkie niezwykle przedmioty, zatem z pewnością można tu znaleźć i Świętego Graala.

- A co z kobietą? - spytał Czarus.

- Jaka kobieta?

- Ta, która trzymasz za włosy.

Parsifal spojrział w dół.

- Och, ona? Ona nic nie znaczy.

- Ale co z nią robisz?

- Czy muszę to wyjaśnić...?

- Oczywiście, że nie. Ja tylko myślałem...

- Wiem, co sobie pomyślałeś - rzekł Parsifal. - Kobieta jest ze mną, by mi służyć do zabawy, dopóki nie natkniesz się na Graala znajdującego się w okolicy.

- Rozumiem - powiedział Czarus. - A tak przy okazji, czy potrzebujesz swego konia?

- Mego konia? - zdziwił się Parsifal.

- Właśnie pomyślałem sobie, że mógłbym o to zapytać, ponieważ jeżeli nie jest ci niezbędny, chętnie bym z niego skorzystał. Jest dużo większy i silniejszy od mojego.

- To najdziwniejsza rzecz, jaką usłyszałem od bardzo dawna! - zakrzyknął Parsifal, - Ten giermek zaledwie, co ma mleko pod nosem, przybywa konno do mego obozu i chce wiedzieć, czy mój

wierzchowiec jest mi potrzebny! Patrzajcie go! Ale nie, z pewnością masz racje, nie jest mi niezbędny. Możesz wziąć mego konia, jeżeli tylko chcesz.

- Dzięki - powiedział Czarus i zsiadł z siodła. - To niezwykle uprzejmie z twojej strony.

- Ale najsamprzód - ostudził jego zapal Parsifal - będziesz musiał walczyć ze mną o niego.

- Obawiałem się, że będzie jakiś dodatkowy warunek.

- Owszem, jest. Jak widzę, masz Prawie Zawsze Zwycieski Miecz?

- Tak - powiedział Czarus, wyciągając go z pochwy i prezentując w całej okazałości. - Niezły, nie?

- Istotnie - przyznał Parsifal - ale, oczywiście, nie jest równie zaczarowanym mieczem, co mój.

Obnażył swój orecz i pokazał go Czarusiowi.

- Nie przypuszczam - stwierdził książe - by mój miecz mógł wiele zdziałać przeciwko twojemu.

- Z całą szczerością, ja także tak nie sądzę - zgodził się Parsifal. - Prawie Zawsze Zwycieski Miecz nie są złe, ale nie możesz wiele się po nich spodziewać w starciu z Prawdziwymi Zaczarowanymi Mieczami.

- Wcale tak nie myślałem. A tak na marginesie, czy my naprawdę musimy ze sobą walczyć?

- Obawiam się, że tak - powiedział Parsifal i zaatakował.

Książe Czarus odskoczył i zakreślił swoim Prawie Zawsze Zwycieskim Mieczem. Orecz zabrzęczał jednym głosem, wydając niesamowity dźwięk. Po nim nastąpił jeszcze bardziej niezwykle odgłos, z jakim pekiło ostrze Czarusiowego miecza.

- Zwyciężyłem! - krzyknął Parsifal, wznosząc swoją broń do zadania śmiertelnego ciosu. - Grrwg!

Czarus pomyślał, że jest skończony, zużył więc swoje ostatnie sekundy ziemskiego bytowania na przelecenie w głowie wszystkich swoich wspomnień, co w jego akurat wypadku nie zajęło zbyt wiele czasu. Żywot Księcia nie dobiegł jednak kresu; ponieważ jego miecz był Prawie Zawsze Zwycieski, stanowiąc jednocześnie bardzo dobry okaz w swoim gatunku, stało się zatem, że kiedy pekiło, to pojedyncza, jasna drzazga metalu poleciała w górę, zagłębiając się w gardło Parsifala, gdzie kryza odsłoniła około całej rozplatanego mięsa.

To właśnie stanowiło przyczynę owego „grrwg!”, ostatniego dźwięku, jaki wydał z siebie Parsifal, zanim z grzmiącym odgłosem zwałił się na ziemię.

- Przykro mi, ale sam tego chciałem - powiedział Czarus. Odwrócił się i ruszył przed siebie, perswadując siebie, że zapewne ktoś inny pojawi się tutaj niebawem, by pochować ciało pokonanego.

- Weź ten wspaniały miecz - rozkazał mu jakiś głos.

- Kto to powiedział? - zapytał Książe.

- To ja - wyjaśnił miecz Parsifala. - Weź także i konia.

- Kim jesteś? - dopytywał się Czarus.
- Nazywają mnie Excalibur - odparł miecz.
- A co mówią o tobie?
- Przeczytaj runy, jakie wyryto na mej klindze - polecił miecz.

Czarus podniósł bron i spojrzał na błyszczące ostrze. Z pewnością były tam jakieś wygrawerowane znaki, ale on z równą pewnością nie potrafił ich odczytać. Popatrzył więc na miecz z respektem i powiedział:

- Dlaczego do mnie przemówiłeś?
- Nie podejrzewałem siebie o to - przyznał Excalibur - ale nie mogłem tak po prostu pozwolić ci odejść i zostawić mnie tutaj. Nie wiedzieć jak długo byłbym pozbawiony zajęcia, a ja kocham swoją pracę. Na pewno bardzo ci się przydam. Jeżeli ktokolwiek będzie sprawiał ci kłopoty, zmusza mnie one do odpowiedzenia smiałkowi.
- Wstrzymaj się, panie! - krzyknęła dziewczyna, wstając ze swej półleżącej pozycji na ziemi, kiedy Czarus skierował swe kroki w stronę konia. - Proszę cię o pomoc, powołując się na twój honor rycerski!

Czarus nie przypominał sobie żadnych zasad honoru rycerskiego, tym niemniej jednak zapytał:

- Jaki rodzaj pomocy masz na myśli?
- Jestem Walkiria - wyjaśniła branka Parsifala - a ten człowiek pokonał mnie, udając na polu walki umarłego, by zwabić mnie bliżej. Mogę dostać się do domu w Walhalli tylko wtedy, jeżeli wezwę Teczowy Most oraz będę miała przy sobie odpowiednie trofeum, by zabrać je ze sobą. Mógłbyś pomóc mi znaleźć mój róg, który przywłaszczył sobie Parsifal?
- Przyjdzie mi to z największą łatwością - odparł Czarus dwornie - szczególnie jeżeli jest to ten róg, w który zadalem, gdy tu przyszedłem. Czy to nie on zwisa z drzewca sztandaru przed namiotem?
- Istotnie - powiedziała Walkiria, idąc w stronę instrumentu. Wzniosła go do ust i zadela w niego w niesamowity sposób.

I natychmiast spadł z nieba na ziemię koniec teczy, chybiając Czarusia o włos.

- Dzięki ci, łaskawy panie - wyraziła swą wdzięczność dziewczyna, zaczynając zbierać elementy zbroi Parsifala.
- Czemu nie zabierzesz jego ciała? - zainteresował się Czarus. - Słyszałem, że wy, damy, kolekcjonujecie pokonanych.
- Nie ma żadnego pożytku z rycerza, który nie trzyma się twardo swego mitu - stwierdziła Walkiria. - A z drugiej strony, to dobra zbroja i trudno przejść obok niej obojętnie. Ostrogi paznokciami podwazyła napiersnik, przytaszczyła elementy zbroi do stóp teczy, posłała mu pocałunek, wołając: „Do zobaczenia”, i zniknęła w rozbłysku światła.

Czarus jechał przez las na zdobyczym rumaku, z Excaliburem przytroczonym rzemieniem do pleców, prowadząc za sobą swego własnego konia. Cudownie było czuć obecność tego miecza. Po jakimś czasie młodzieniec usłyszał niskie mruczenie poniżej swego prawego ucha i stwierdził, że to Excalibur mamrocząc sam do siebie.

- Co się dzieje? - zapytał królówic.

- Nic wielkiego. Bierze mnie rdza.

- Rdza! - Czarus wyciągnął Excalibura i dokładnie obejrzał lśniące ostrze. - Nie widzę ani śladu rdzy.

- Czuję, że mnie weźmie - odparł miecz. - Trzeba mnie nasmarować.

- Nie mam oleju.

- Odrobina krwi lub ichoru zrobi mi bardzo dobrze.

- Też nie mam.

- To zapomnij o tym, chłopczku, i pozwól mi drzemac oraz snic o dawnych czasach.

Odpowiedź wydała się Czarusiowi bardzo dziwna, ale puścił ją mimo uszu i jechał dalej. Wyglądało na to, że miecz usnął, ponieważ dolatywało od niego lekkie chrapanie. Czarus nie miał pojęcia o tym, że gadające miecze potrafią także chrapać. Usiłował ignorować dobiegające go dźwięki i jechał aż do chwili, gdy spotkał mężczyznę w zakonnej oponczy. Braciszek pozdrowił Czarusia, i rozeszli się w swoje strony.

- Czy widziałeś jego podstępne i nieprzyjazne spojrzenie? - zapytał Excalibur.

- Nie zauważyłem nic podobnego.

- Ten mnich zamierza cię zniszczyć - upierał się miecz. - Cóż za wyniosłość! I jaka wrogość!

- Wcale nie był taki! - sprzeciwił się Czarus.

- Masz mnie za kłamcę? - zapytał Excalibur.

- W żadnym wypadku - odparł Królówic, ponieważ przezorność jest naturalną rzeczą, kiedy rozmawia się z czarowanym mieczem; szczególnie z takim z runami.

- Mam nadzieję, że jeszcze spotkamy tego zakonnika! - stwierdził Excalibur i zatrząsł się od niskiego, złowieszczonego śmiechu.

Tego samego dnia mijali się jeszcze z grupką kupców. Byli to bardzo grzeczni ludzie, ale nie zdążyli nawet na dobre zniknąć z pola ich widzenia, kiedy miecz powiedział Czarusiowi, że tak naprawdę kupcy owi stanowią bandę złodziejasków zamierzających rozwalić Czarusiowi łeb i skrać jego, Excalibura. Królówic osmielił się stwierdzić, że nie uważa tak, ale miecz nie chciał go słuchać. Ostatecznie wyskoczył zza pasa Czarusia i mówił: „Zaraz wracam!”, błysnął stalą, znikając w lesie. Wrócił po

godzinie - ociekając krwią i chwiejąc się na boki. Klął i ryczał sprośne piosenki niczym karczemny ochlaptus, a w końcu zaczął oskarżać Czarusa, że ten knuje przeciwko niemu coś złego, jak na przykład stopienie go w najbliższej odlewni. Było oczywiste, że miecz ma jakiś problem.

Tego wieczoru, gdy Czarus położył się, by trochę odpocząć, a miecz usnął, Królewicz wstał i uciekł chylkiem od Excalibura tak szybko, jak tylko niosły go nogi.

Rozdział drugi

Uwolniony od groźnego towarzystwa Excalibura, Czarus kontynuował swoje poszukiwania zamku Księżniczki Scarlet. Poruszał się cicho przez las, pokonując otaczające go zewsząd ogromne drzewa, pnacze oraz liany zajmujące każdy skrawek wolnej przestrzeni. Wyglądało to niczym podmorski pejzaz, zielony i wilgotny, pełen tajemniczych odgłosów dochodzących z każdej strony. Królewicz szedł pieszo, ponieważ nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wielki czarny kon Parsifala uciekł wraz z jego własnym wierzchowcem, kiedy porzucił Excalibura.

W tym samym czasie Azzie, w Augsburgu, miał się szalenczo po pałacu, usiłując zebrać do kupy wszystkie rzeczy, którymi zamierzał obsypać Czarusa, gdy go tylko znajdzie.

- Szybko, Frike, spakuj flakon magicznej masei na rany.

- Ciete czy tłuczone?

- Najlepiej spakuj obie, nie mamy pojęcia, co go może spotkać.

- Lady Ylith wróciła, milordzie - zaanonsował Frike.

- Tak? Myślałem, że ma oko na Scarlet... Więcej bandazy, Frike!

- I to właśnie robi. Jednak podczas pańskiej nieobecności czuła się zobowiązana do wypełniania waszej umowy wobec obserwatora i przekazywania mu w pańskim imieniu regularnych, codziennych sprawozdań na temat rozwoju wypadków.

- Obserwatorowi? To znaczy Babrielowi? Oczywiście. Dobra dziewczyna. Gdzie ona teraz jest?

- W saloniku, jak sadze. Konferuje z obserwatorem nad filiżanką herbaty... Tu są bandaze.

- Zajrże tam, zanim wyruszymy, by się przywitać. Dzięki, Frike.

Ylith i Babriel zerkali na siebie ukradkiem spoza wysokich karafek do wina i wymieniali spojrzenia poprzez mgiełkę otaczającą ich gorące uczuciem głowy. Wyglądało na to, iż poczynili znaczne postępy i zasmakowali we własnym towarzystwie. W przypadku Ylith znac to było szczególnie po tym, jak

nachylała się ku Babrielowi przy każdej sposobności; gdy zaś o tego ostatniego idzie, to rodzilo się w nim coś na kształt niebiańskiego pożądanego.

Azzie wpadł do pokoju, szczerząc się i krzywiąc stosownie do okoliczności, co spowodowało, że Ylith skoczyła na równe nogi.

- Azzie, mój drogi, sładziłam, że nadal przebywasz poza domem! - oznajmiła, spiesząc mu na spotkanie i obejmując go. - Właśnie korzystałam ze sposobności...

- Sposobności do czego? - zapytał Azzie.

- No, by dowiedzieć się, jak stoja sprawy pod koniec całego przedsięwzięcia - oznajmiła wiedźma. - Jak ma się twój projekt?

- Chwila jest krytyczna - zauważył Azzie, uwalniając się z jej objęć - i moja osobista obecność na scenie wydarzeń stała się niezbędna. Sładze, że byłoby lepiej, gdybyś wróciła teraz do zamku Scarlet, by śledzić rozwój wypadków aż do finału. Cześć, Bab. Co Dobro porabia w tych dniach?

- Jakby ci tu... Właśnie wymyśliliśmy bardzo interesujący i inspirujący szczególnie naszego wystąpienia milenijnego. Nazywamy to witrażami. Bardzo bym chciał, abys zobaczył je w najbliższym czasie.

- Przykro mi, ale bardzo się spiesze. Witraże, powiadasz?

- Tak, bardzo piękne i moralnie pouczające.

- Uff! Brzmi to okropnie! Przepraszam, ale nie mogę tu stać i paplać bez końca. Weź sobie kolejnego drinka, dobrze ci zrobi. Frike! Mamy wszystko, czego potrzebujemy?

- Oto, panie, ostatnia z rzeczy - zawołał słuzący, wkraczając do pomieszczenia; w rękach niósł buty jezdzieckie z miękkiej, czerwonej skóry. Nie było w nich nic nadzwyczajnego poza małymi tarczkami umieszczonymi w obcasach.

- Moje Siedmiomilowe Buty! - zawołał Azzie. - Frike, jesteś geniuszem!

Azzie włożył je i spróbował ciężaru worka zawierającego zaklecia, zapasowe miecze i różne różności. Poklepał się dwukrotnie po obcasach butów, uaktywniając je.

- Wychodzę! - zawołał.

Azzie dał jeden krok, z miejsca przechodząc przez frontowe drzwi i wznosząc się w powietrze, a Babriel i Ylith skoczyli do okien, bowiem nigdy wcześniej nie widzieli Siedmiomilowych Butów w akcji. Obuwie, należące do Azziego, nie było nowe, ale działało wciąż doskonale; demon wystartował w nich, co prawda, tuż ponad dachami Augsburga, ale wciąż nabierał wysokości, wznosząc się bez najmniejszych zakłóceń.

Siedmiomilowe Buty wyniosły go wysoko w powietrze, skąd Azzie mógł dostrzec wielki las, rozciągający się pod nim aż po horyzont, niczym bezkresny ocean zieleni. Od czasu do czasu owa jednolitość naruszana była przez brunatne plamy polanek ze wznoszącymi się na nich zabudowaniami osad. Ich widok towarzyszył Azziemu uparcie przez jakiś czas. Demon nie miał pojęcia, gdzie się znajduje; postanowił więc dopytać się o swe położenie. Spróbował w tym celu zmusić buty, by skierowały się ku powierzchni ziemi. Cholewy odmówiły zmiany dotychczasowego kursu - to był właśnie

problem z Siedmiomilowym Obuwem: traktowało swe zadanie bardzo literalnie, przenosząc swego pasażera dokładnie o siedem mil - i ani o cal mniej czy więcej. Azzie sięgnął w dół i zaczął je okładać piaskami.

- Chce natychmiast znaleźć się na ziemi!

Buty zignorowały jego poczynania i krzyki, a wreszcie nie zauważyły chyba nawet jego narzekan. Wyprostowane i rzetelne, niosły go ponad lasem i jego kilkoma rzekami, ładując w końcu poza murami jakiegoś miasta.

Zdumieni wiesniacy z Vuden we wschodniej Wołoszczyźnie mieli niewatpliwy zaszczyt zaobserwować doskonale przyziemienie demona, dokonane w samym środku ich cotygodniowego jarmarku.

- Zaczarowany las! - zawołał Azzie. - Gdzie go znajdzie?

- A o który zaczarowany las chodzi? - odrzyknęli tubylcy.

- Ten z zaczarowanym zamkiem i Spłaca Królowa!

- Z powrotem ta droga. Będzie ze dwie mile - zakrzyknęli wiesniacy, wskazując kierunek, z którego właśnie przybył.

Azzie ponownie wzniósł się w powietrze. I ponownie Siedmiomilowe Buty wykonały siedmiomilowy krok. Rozpoczęły się nerwowe zawody obliczone na zmezczenie przeciwnika, w których to igrcach Azzie usiłował oszacować i przewidzieć, jaki powinien obrac kierunek, by kombinując swą trajektorie z siedmiomilowych skoków, osiągnąć wskazane miejsce przeznaczenia. Zajęło mu trochę czasu, zanim wyobraził sobie odpowiedni zygzak.

W końcu pojawił się przed nim szczyt magicznej, szklanej góry, rozpoznawalny nawet poprzez wisząca nad nim i mrocząca jego widok mgiełkę. Teraz, gdzieś w sąsiedztwie góry, należało jeszcze odnaleźć Czarusa.

Rozdział trzeci

Przez cały dzień książe Czarus wędrował po lesie. Podłoże było całkiem znośne, poprzecinane licznymi błyszczącymi strumykami, a od czasu do czasu mijał drzewo owocowe, z którego zrywał coś na lunch. Słońce ślało ukosne promienie, złocąc liście i galezie. Po pewnym czasie młodzieniec dotarł do polany, na której odpoczął.

Gdy się zbudził, drzewa stały mroczne i ponure od wieczornego światła i Czarus usłyszał, jak coś przechodzi w jego pobliżu. Podniósł się ostrożnie na nogi i oddalił, kryjąc się w pozycji lesnym; sięgnął jednocześnie po miecz, zanim nie przypomniał sobie, że porzucił był wcześniej Excalibura.

Wyciągnawszy zatem nóż, wyrzwał zza krzaczka jeżyn i ujrzał kudłatego małego konika wchodzącego na polankę.

- Witaj, młody człowieku - powiedział pony, zatrzymując się i wytrzeszczając oczy na lesny gaszcz.

Czarus nie doznał wstrząsu z tego blahego powodu, że kucyk umie mówić. W końcu był to zaczarowany las, a to do czegoś zobowiązywało.

- Cześć - odpowiedział.

- Dokąd zmierzasz? - zapytał pony.

- Szukam zaczarowanego zamku, co do którego żywie podejrzewam, iż znajduje się gdzieś w pobliżu - odparł Czarus. - Mam ocalić dziewczynę zwaną Drzemiacą Królową - śpi ona zaczarowanym snem.

- Och, znowu ta sprawa Drzemiaczej Piękności - skrzywił się kucyk. - Nie jesteś pierwszym, który w jej poszukiwaniu przedziera się przez te ostepy.

- A gdzie są pozostali?

- Wszyscy twoi poprzednicy postradali życie - wyjaśnił konik. - Z wyjątkiem tych paru nadal usiłujących przeć przed siebie, a których przeznaczeniem jest także wkrótce zginąć.

- Och, przykro mi z ich powodu, ale sędzię, że wszystko toczy się tak, jak powinno - stwierdził Czarus.

- Nie może jej obudzić nieodpowiedni facet.

- A więc to ty jesteś tym właściwym? - zaintrygował się pony.

- Jam ci jest.

- Jak się nazywasz?

- Czarus.

- Księżo Czarus?

- Tak.

- W takim razie to o ciebie chodzi. Zostałem tu wysłany, by cię odszukać.

- Kto cię przysłał?

- Ach - westchnął kucyk - siła by mówić. Wszystko się wyjaśni w późniejszym czasie. To znaczy, jeżeli będziesz żył dostatecznie długo.

- Oczywiście, że będę - odparł Czarus. - Poza wszystkim, ja jestem tym jedynym, właściwym.

- Wskakuj na mój grzbiet - polecił pony. - Możemy o tym podyskutować w drodze.

Rozdział czwarty

Ksiaze Czarus jechał na koniku, aż wreszcie drzewa rozstąpiły się i ujrzał pole z wieloma rozstawionymi namiotami, pomiędzy którymi przechadzali się rycerze w paradnych zbrojach - jedli oni mięso z różną i flirtowali z pannami noszącymi na głowach wysokie, spiczaste kapelusze przybrane delikatnymi welonami. Panny chodziły tam i sam, roznosząc wino, miód pitny oraz inne trunki, a niewielka orkiestra grała zwawo na świeżym powietrzu.

- Wygląda to na miłą paczkę - zauważył Czarus.

- Nie wierz temu - zaproponował kucyk.

- Dlaczego?

- Po prostu zaufaj memu słowu.

Czarus był świadom, dzięki części minionej wiedzy zmagazynowanej w jego mózgu, że włochate, małe pony pojawiające się tajemniczym sposobem w środku lasu zasługują na danie im posłuchu. Z drugiej strony wiedział także, że mężczyźni nie są wcale skłonni postępować zgodnie z tymi radami; jeżeli bowiem choćby raz posłuchało się głosu rozsądka, nigdy więcej nie uczyniło się już nic interesującego.

- Jestem głodny - poskarżył się więc Czarus. - I być może ci rycerze znają drogę do zaklętego zamku.

- Tylko nie mów mi potem, że cie nie ostrzegalem - powiedział konik.

Czarus dał mu ostrogę, co wystarczyło, by pony ruszył klusem.

- Czolem waszmościom! - zawołał Czarus wjeżdżając w środek rycerzy.

- Czolem! - odpowiedzieli zagadnięci. Ksiaze podjechał bliżej.

- Jesteśli rycerzem? - zapytał jeden z tamtych, najbardziej wysunięty ku przodowi.

- Jak najbardziej.

- Gdzież zatem miecz wasci?

- O, to cała historia - odparł Czarus.

- Opowiedz ja nam zatem.

- Miałem miecz imieniem Excalibur - odparł Czarus. - Sądziłem, że to przyzwoita bron, ale ledwie wyruszyliśmy razem w drogę, tak otwarł sobie na mnie gębe, że nie byłibyscie w stanie uwierzyć!

Zachowywał się coraz dziwniej, aż wreszcie byłem zmuszony uciec w obawie, że mnie zabije.

- To jest twoja opowieść? - zapytał rycerz.

- To nie jest moja opowieść, tylko opis tego, co naprawdę się wydarzyło!

Rycerz skinął dłonią. Dwóch innych zbrojnych wyszło z białego namiotu, niosąc pomiędzy sobą dziecienny becik z niebieskiej satyny. Na poduszce leżał miecz; był wyszczerbiony, pokryty rdzą, ozdobne chwasty miał wystrzepione, ale ponad wszelką wątpliwość można było poznać, że jest to Excalibur.

- Czy to twój miecz? - zapytał rycerz.

- Tak, chociaż wyglądał zgoła inaczej, kiedy widziałem go po raz ostatni - potwierdził Czarus.

- Dzięki, chłopaki - odezwał się Excalibur cichym, trzesącym się głosem. - Sądzę, że ustoję o własnych siłach.

Miecz zeskoczył z poduszki, omal nie upadając, a potem odzyskał równowagę, stając mocno na czubku swego ostrza. Jaskrawy klejnot w jego rekojści spojrzał na Czarusia bez mrugnienia.

- W porządku, to on - rzekł Excalibur. - To on porzucił mnie na polu walki.

Rycerze zwrócili się ku Księciu.

- Miecz twierdzi, iż pozostawił go w opuszczeniu na polu bitwy. Czy to prawda?

- To nie było tak - zaprotestował Królówicz. - On bredzi!

Excalibur zachwiał się, a potem odzyskał równowagę.

- Przyjaciele - zapytał - czy ja wyglądam na szalenca? Powiadam wam, odrzucił mnie precz bez żadnego powodu, pozostawiając na zboczach wzgórz na pastwę rdzy.

Czarus pokręcił palcem przy skroni, poddając w wątpliwość zdrowy rozsądek gadającego oreza. Rycerze nie wydawali się przekonani tym gestem. Mówili jeden do drugiego doskonale słyszalnym szeptem:

- Nieco dziwny, być może, ale z całą pewnością miecz nie jest szalony.

Jeden z rycerskiego grona, wysoki mężczyzna z okalającą jego twarz siwą brodą, o orlim wejrzeniu oraz wąskich wargach oredownika, wyjął kawałek zwiniętego pergaminu i pióro.

- Imię?

- Czarus.

- Nazwisko?

- Ksiaze.

- Zawód?

- Taki sam, jak nazwisko.
- Obecny przydział?
- Misja.
- Jaki rodzaj?
- Mityczna.
- Przedmiot misji?
- Obudzenie Drzemiacej Królowej.
- Sposób?
- Pocalunek.

Po skompletowaniu jego odpowiedzi, rycerze odsuneli się w odległy kąt pola, by naradzić się w skrytości, co im dalej czynić przystoi, pozostawiając królewicza z rękami i nogami związanymi jedwabnym sznurem przymocowanym do żywoplotu. Czarus doszedł do wniosku, iż nie są to przeciętni wojownicy. Już sam sposób przesłuchiwania go był zaskakujący, a koscista bladłość na wpół ukrytych za metalowo-drewnianymi hełmami twarzy nie nastrajała do nich przychylnie. Czarus słyszał, co mówili, mimo że odeszli spory kawałek dalej.

- Co z nim zrobimy?
- Zjemy go - przyszła pierwsza odpowiedź.
- To się rozumie samo przez się. Ale w jakiej postaci?
- Potrawka jest bardzo smaczna.
- W takim razie zabierzmy się najpierw za jego konia.
- Jak go przyrzadzimy?
- Co byście powiedzieli na pieczeni w przyprawie z ziół? Czy ktoś widział gdzieś w okolicy odpowiednie zioła?

Czarus zdecydował natychmiast, że: a) rycerze nie rozmawiają ze sobą tak, jak się należało tego po nich spodziewać, i b) ci faceci nie byli wcale żadnymi rycerzami, tylko demonami w rycerskich przebraniach.

Ogólna zgoda w obozie przeciwnika została osiągnięta co do potrawy z Czarusią, ale wystąpiły pewne trudności z rozpaleniem ognia. Ostatnio mocno padało w tej części lasu i nie można było znaleźć zbyt wiele suchego drewna.

W końcu jeden z rycerzy schwycił młodą salamandrę i ułożywszy naprzeciwko niej stos wilgotnego drewna na podpalce, szturchnął ją ostro w nos, kiedy usiłowała uciec; wkrótce też uzyskał dobry płomień. Dwóch innych zajęło się w tym czasie przygotowaniem sosu, jeszcze inna para demonów - marynaty,

a reszta spiewala.

Czarus uznal, ze znalazl sie w smiertelnym niebezpieczenstwie.

Rozdzial piaty

Zaniechawszy swoich Siedmiomilowych Butów na rzecz własnych, demonicznych umiejetnosci latania, Azzie byl znowu w drodze. Lecial ponad lasem, przepatrujac go uwaznie i w pewnym momencie ujrzal w oddali ogien. Skierowal sie w tamta strone, wykonujac kilka rozpoznawczych okrazen nad obozowiskiem. Czarus, zwiazany niczym kaplon, czekal na przyprawienie ziolami, podczas gdy jego pony gotowal sie juz i wrzeszczal:

- Nie mozece mi tego zrobic! - wolal co sil. - Ja jeszcze nie skonczylem z pouczeniem go!

Rycerze-demony nie przerywaly sobie spiewu. Azzie blyskawicznie znalazl sie na dole, kryjac sie w pobliskich krzakach. Rozwazal wlasnie, w jaki sposob mógłby dokuczyc rycerzom i uwolnic Czarusia, gdy nagle obok niego pojawil sie Babriel - olsniewajacy w swej bialej zbroi i powiewajacy równie olsniewajacymi bialymi skrzydlami.

- Przyszedles pochwalic sie swoja katedra? - zagadnal Azzie.

Babriel spojrzal na niego surowo.

- Mam nadzieje, ze nie zamierzasz sam sie z nimi rozprawic, staruszku?

- Oczywiscie, ze mam taki zamiar - odparl Azzie. - Cóz ty sobie myslisz, ze pozwole na to, by banda renegackich demonów zjadla mego bohatera?

- Nie chcialbym ci sie naprzykrzac, ale moim zadaniem jest miec na ciebie oko. Widze, ze ksiaze jest w opalach, ale znasz zasady gry równie dobrze jak ja - nie wolno ci pomagac mu. Nie bezposrednio. Nie mozesz wplywac na rozwój wypadków, podejmujac wlasna akcje.

- Wlasnie przynioslem mu kilka rzeczy - powiedzial Azzie. - Sztylet. Oponcze-niewidke.

- Niech na to spojrze - rzekl Babriel. - Hmm... Sztylet wydaje mi sie w porzadku, natomiast nic nie moze powiedziec o pelerynie.

- To dlatego, ze jest niewidzialna - odparl Azzie. - Ale mozesz jej dotknac. I jak?

Babriel obmacal dokladnie niewidzialny przedmiot.

- Sadze, ze jest w porzadku - uznal w koncu.

- Nawet gdyby nie była - spytał Azzie - kto by się o tym dowiedział?

- Ja - odparł Babil. - I nie zachowałbym tego dla siebie.

Książe Czarus leżał związany i czuł się nad wyraz głupio. Dlaczego nie zwrócił należytej uwagi na przestrogi, jakimi raczył go włochoć kuc? Teraz nie mogło już być mowy o kontynuowaniu przez niego wykładu. Dlaczego mu nie uwierzył? Jeżeli nie daje się posłuchu wieszczacemu włochoćmu pomy, to komu można zaufać w dzisiejszych czasach? Chociaż przyznać trzeba, że pachnie teraz znakomicie... Nagle Czarus usłyszał jakiś hałas. Brzmiało to, jakby ktoś powiedział głośnym szeptem:

- Hej tam!

- Kto tu jest? - zapytał Królówic.

- Twój wuj Azzie.

- Ciesze się, że tu jesteś, wuju. Możesz mnie stąd wy dostać?

- Nie bezpośrednio. Ale mam dla ciebie kilka drobiazków. Po pierwsze - zaklęty sztylet; pozwoli ci się uwolnić z więzów.

- A po drugie?

- Oponcza-niewidka. Dzięki niej możesz niepostrzeżenie wydostać się z tarapatów, w które wpadłeś.

- Dzięki, wuju! Odwdzięczę ci się kiedyś!

- Mocno w to wątpię - mruknął Azzie.

Wymierzyszy dokładnie, rzucił sztylet. Nóż wbił się w pniak, o który oparty był Czarus.

- Mam go! - powiedział więzien.

- Dobry chłopiec - pochwalił go Azzie. - A teraz peleryna. Przeczytaj uważnie instrukcje. A przede wszystkim, nie zostawiaj ich nigdzie pod odpowiedzialnością karna. Powodzenia! Niedługo zobaczymy się znowu.

Czarus usłyszał, jak z cichym psyknięciem coś miękko ładuje obok niego. Musiała to być oponcza-niewidka. Po tym, jak zaklęty sztylet przeciął jego więzy, Czarus rozejrzył się za okryciem, ale niczego nie dostrzegł. Mógł to przewidzieć, stwierdził; nie będzie łatwo znaleźć peleryny-niewidki - szczególnie w ciemną noc.

Demoniczni rycerze wrócili, śpiewając:

Wstretna jest sprawiedliwość

a chleb to śmierć.

Kładź mu do głowy

puree grochowe

i napchaj mu brzuch

daktylami przez ucho,

by jak Jack Fitzimons miał pysk.

Nikt nie był w stanie wyjaśnić, co znaczyły te rymy. Były bardzo stare i pochodziły z czasów, kiedy ludzie uważali ciemnotę za wygodny sposób na życie.

Rycerze legli porozwalani po całym obozowisku, chrząkając, przeciągając się, cmokając i ziewając. Wśród przypadkowych beknąc i sporej ilości czochran ułożyli się wreszcie do snu. Czarus zajął się oponczą. Jak jej nie było, tak nie było. Nagle pochwycił katem oka widok niewielkiej naszywki z fosforyzującym napisem, który głosił: **NIE ODRZUCAC TEJ PLAKIETKI POD GROZBA KARY BOSKIEJ. PRZECZYTAJ INSTRUKCJE ZNAJDUJACA SIĘ NA DRUGIEJ STRONIE.** Czarus spróbował zastosować się do polecenia, ale ten drugi napis miał tę przykrą właściwość, iż nie świecił w ciemnościach. Wcale, a wcale.

Ubrał oponczę, otulając się nią najlepiej, jak umiał i ruszył ostrożnie pomiędzy leżącymi pokotem grupami wojowników. Nieznaczna nierówność terenu spowodowała, że potknął się nagle, delikatnie muskając jedną ze śpiących postaci.

- Hola! - jakaś niepewna dłoń sięgnęła w ciemność i schwyciła Czarusa. - Chłopcy, widzita może, com złapał?

- A czemuż to trzymasz na wpół zacisniętą pustą pięść, Angus? - zapytali towarzysze.

- Ponieważ trzymam w niej, przyjaciele, niewidzialnego szpiega.

- Nie jestem szpiegiem! - rozdarł się Czarus.

- Ale jesteś niewidzialny. Nie zaprzeczysz chyba temu, co?

Czarus wyrwał się i uciekł. Rycerze powstali i pogonili za nim, budząc resztę głośnymi gwizdami i pohukiwaniami. Uciekinier słyszał za sobą ich wrzaski, którym odpowiadały nawoływania od przodu. Z początku Czarus sądził, że było to echo, ale potem fakt, iż krzyki przed nim stawały się coraz głośniejsze, przywrócił mu rzeczywisty obraz sytuacji. Demony otaczały go, poruszając się nad wyraz szybko, żeby odciąć mu drogę ucieczki. Czarus widział wyraźnie, że będzie zmuszony przedrzeć się przez ich szeregi.

Przystanawszy w celu poprawienia niewidzialnej oponczy, zafascynowany był widokiem swych znikających dłoni, gdy tylko płaszcz-palatka je zakrywała. Czarus widział poprzez swój strój i wskrosz okrytych nim rak, dostrzegając grunt pod sobą. Oczywiście, samotne dłonie wystające z rekawów były widoczne jak zwykle; faktycznie nawet bardziej, ponieważ wyglądając na bezkrwawo i ukosnie uciete, podkreślały swym niedorzecznym istnieniem brak ramion.

Szybko udrapował na sobie oponczę i ruszył biegiem dalej. Wpadł na szerokie, trawiaste pole. Ścigający go jeźdźcy pojawili się na jego skraju w świetle księżyca. Jeden z nich pomachał ręką, wskazując kierunek.

- Tam, gdzie trawa jest rozdzielona! Tamte dy musiał uciekać!

Czarus odskoczył wstecz między drzewa, znajdując płytką jaskinię, która skryła go na tyle długo, by zdolał rozerwać podszewkę niewidzialnej oponczy. Jak się tego spodziewał, podbicie, choć cienkie, miało identyczne właściwości, co i sama peleryna; w związku z tym Czarus mógł sprokurować sobie maskę osłaniającą całą jego głowę, dzięki czemu stawał się zupełnie niewidzialny. Nie umiał natomiast nic poradzić na ruch zdradzający jego przejście. Każdy jego krok znaczone był poruszeniem liści oraz przygięciem małych gałązek i traw. Mimo to osłonięcie niewidzialnym woalem głowy opłaciło się istotnie, czyniąc jego znalezienie znacznie trudniejszym.

Spieszył się, nie dbając nawet o to, że pozostawia za sobą widoczny ślad. Docierało do niego, że uczyniłby lepiej, gdyby zaczął poruszać się powoli i ostrożnie, gdyż w ten sposób łatwiej by mu było wymknąć się swoim przesładowcom, kiedy znajdowali się w pobliżu. Była to metoda, jakiej mógłby z powodzeniem użyć ksiądz z bajki, ale zupełnie nie nadająca się dla niego. Biegiem, a jego długie nogi unosiły go raczej; było dalej od niebezpieczeństwa. Patrząc z punktu widzenia jego kończyn dolnych, należało stwierdzić, iż był teraz stworzeniem posuwającym się zawrotnie wielkimi krokami, wręcz szybującym w powietrzu. Prawda jednak była taka, że konie jego przesładowców poruszały się szybciej. Zbliżyli się ze wszystkich stron jednocześnie i jeźdźcom tylko w nieznacznym stopniu przeszkadzał fakt, iż widza swa zwierzyne jedynie pośrednio, dzięki znaczącym jej drogą kołyszącym się gałęziom drzew.

Poscig był wciąż bliżej i bliżej, a stalowe ostrza lanc mrugały do niego. Czarus ujrzał przed sobą polane, ale wątpił poważnie, czy zdąży do niej dobiec. Była to bardzo dokuczliwa wątpliwość, gdyż lesny przeswit zawierał długie wapienne półki, na których nie pozostawiłby śladów swych stóp. I było to już całkiem blisko.

Jeden z rycerzy opuścił swą kopię i zaszarżował. I w tym decydującym momencie nadeszło ocalenie. Czarus nie wiedział, czy za sprawą sił natury, czy w sposób wywołany przez Azziego; dość na tym, że choć wcześniej powietrze było absolutnie spokojne, teraz nagle zerwał się wiatr. Nie jakiś tam wietrzyk czy zefirek, ale gwałtowna zawierucha niosąca krople lodowato zimnego deszczu i rozproszonego gradu. Bombardowane nim ze wszystkich stron listowie powodowało wokół dziki zamęt, czyniąc ruchy Czarusa niezauważalnymi.

Prowadzący pogon rycerz chybił go o kilka stóp. Następny także nie popisał się wiele lepiej. Rycerze skoczyli teraz osobno, starając się go otoczyć, ale Czarus z łatwością przeslizgnął się pomiędzy nimi, pognął na złamanie karku w stronę wapiennych skalnych półek i przebył je, nie zostawiając po sobie

najmniejszego tropu. Kiedy się zatrzymał, wiatr przestał wiać i nie było słychać żadnych odgłosów pościgu; Czarus zrozumiał, że wymknął się demonom.

Rozdział siódmy

Ksiaże Czarus biegł jak długo niosły go nogi, a płuca nie zaczęły palić niemilosiernie. Wtedy runął na ziemię i usnął. Po przebudzeniu stwierdził, że znajduje się na zalanej słońcem łące. Na przeciwległym jej krancu wznosiła się pod niebo góra - gigantyczny Matterhorn wyległy w szalonej wyobraźni, wysniona iglica z wielokolorowego szkła. Przed nią, broniąc do niej dostępu, rósł gęsty las, który wydawał się składać z metalowych drzew. Czarus zbliżył się ku niemu i przyjrzał uważnie dziwnemu zjawisku. Pnie wykonane były z ciemnych rur od pieca, z których najwyższe nie przekraczały siedmiu stóp wysokości. Kiedy podszedł do nich, zaczęły emitować żółtawy gaz, a ten wkrótce buchnął płomieniem, zając się od zapalników ukrytych pod powierzchnią gruntu.

Ksiaże mógłby nie wiedzieć, z czym ma do czynienia, gdyby nie to, że widział niegdyś Azziego studiującego świstek papieru, który wuj-demon pozostawił później na swoim biurku. Z ciekawości Czarus rzucił nań wówczas okiem. Był to rachunek z Kompanii Gazowniczej Nadprzyrodzonego Rejonu Energetycznego za dostarczenie paliwa do ognistych drzew.

Jeżeli wuj Azzie rzeczywiście zapłacił za gaz - a trudno było wyciągnąć inne wnioski wobec tak ewidentnych dowodów - stanowiło to wyraźny znak manipulacji i Czarus poczuł się zdecydowanie dziwnie, kiedy zastanowił się nad całą intrygą. Wynik tych rozważań ukazał mu siebie samego jako postać wyciętą z pomalowanej tektury i przyszpilona do tła zdarzeń. Było to przerażające w swej istocie stwierdzenie, ale przyszło w momencie, kiedy był najwyższy czas, by przedrzeć się przez przeszkodę. Za czym odłożył te konstatacje do późniejszego zbadania i ruszył przed siebie.

Jeżeli płonące drzewa dawały się włączać, musiał istnieć jakiś sposób na ich wyłączenie; prawie godzinę zabrakło Czarusiowi znalezienia zaworu rurociągu. Kiedy go przekreślił, drzewa zgasły. Uznał za bardzo dziwne niedopatrzenie umieszczenie tak ważnego kurka na niemal eksponowanym miejscu.

Czarus przeszedł pomiędzy drzewami.

I tak dotarł do Wioski pod Szklaną Górą, stanowiącej ostatni obóz przed atakiem na szczyt, a jednocześnie miejsce zaopatrzenia w pasze, żywność i pamiątki dla tych, którzy zamierzali podjąć trud wspinaczki ku oslepiającemu w blasku słońca wierzchołkowi góry, gdzie - jak wieść niesła - znajdował się zaczarowany zamek, a w nim spłacała, leżała Królowna Scarlet.

Główny przemysł miasteczka opierał się na świadczeniu usług wobec tych, którzy pragnęli zdobyć szklany szczyt. Zjeżdżali się tutaj poszukiwacze przygód i wspinacze po szklanych górach z całego świata, bowiem powab tego wyzwania był dla nich nieodparty.

Czarus maszerował obok sklepów położonych przy głównej ulicy Wioski pod Szklaną Górą; wiele

spśród nich specjalizowało się w sprzedaży szklanogórskiego sprzętu wspinaczkowego. Szkło jest trudnym materiałem do wdrapywania się po nim - słuchając mieszkańców miejsciny, można było dojść do wniosku, że jego właściwości zmieniają się za każdym razem, gdy jakaś chmura przesłoni na moment słońce. Poza tym Góra mogła pochwalic się tym, iż zawierała w sobie każdy gatunek szkła, jaki można sobie wyobrazić: było tam szkło wodne i szkło fałszywe (zwane pleksiglasem), szkło podstępne i szkło bagienne. Znajdowało się tam wysokie wzgórze ze szkła morderczego i niska równina szkła złego. Każdy jego rodzaj (a o Górze mówiło się, iż składa się z większej liczby odmian szkła niż ich w ogóle istnieje) przedstawiał sobie inną trudność przy jego pokonywaniu; dostępne w mnogich sklepikach broszury udzielały porad na każdą ewentualność.

Chociaż niektórzy holdowali przekonaniu, iż Szklana Góra stanowi jedyny tego rodzaju fenomen na świecie - unikalny i niepowtarzalny - znaleźli się wszakże intelektualisci twierdzący śmiało, że odwieczny ludzki zwyczaj wspinania się na owe dziwotwory może być wytłumaczony jedynie przez głęboką historyczną pamięć, niemal uniwersalną dla całej rasy ludzkiej, a powstała na skutek czynienia tego niezliczenie wiele razy w niezliczonej liczbie miejsc. Teoretycy owi chcieliby, żeby Szklane Góry stanowiły archetyp ludzkiego doświadczenia, którego fizyczne potwierdzenie istniało zawsze na niezmiernych poziomach działalności człowieka - od pierwszego momentu przeszłości, aż do ostatniej chwili najdalszej przyszłości.

Księgarnie Wioski pod Szklaną Górą pełne były fachowych opracowań na temat technicznych sposobów zdobywania szklanych gór dawniej i dziś. Były tam książki ujmujące temat historycznie, przewodniki oraz wydania zawierające wywiady ze słynnymi wspinaczami oraz teoretykami glassenizmu. Inne sklepy nie sprzedawały z kolei niczego innego poza wszelkiego rodzaju rakami do chodzenia po szkle, nie wyluczając także tych nabijanych diamentami.

Kwestia, czy używać koni do wspinania się na Szklaną Górę, czy też nie, budziła w miasteczku spore kontrowersje. Generalnie, dużo trudniej jest wleźć na nią wierzchowcowi, aniżeli człowiekowi. Kopyta konskie nie są do tego procederu przystosowane; szlachetne te stworzenia, wspaniałe na równinach i periach, zwinne w lesie i całkiem przydatne w niezbyt gęstej dżungli, zupełnie nie nadają się do szklanogórskich wyczynów - w związku z czym narodził się zwyczaj zdobywania gór na grzbietach kóz.

Dla tradycjonalistów było to nie do zaakceptowania. Powszechnie zatem spodziewano się po Czarusiu, iż będzie starał się pokonać szczyt konno. Rzesze ilustratorów, z których wielu uważało się za wręcz inspirowanych przez wyższe siły duchowe, prezentowały liczne obrazy koni wspinających się na szczyt z Księciem Czarusiem na grzbiecie. Fakt bezsprzeczny jednak stanowi, jak twierdzą ci, co nigdy nie meczą się daniem dobrych rad, że nawet jeśli koń jest w stanie wspinać się na Szklaną Górę, to wyczyn ten pozostawia mu ślad na duszy, czyniąc z niego bieguna słabego na wietrze. Pomimo to nikomu nie podobała się idea zdobywania Szklanej Góry na kozie. Czarus był tego samego zdania, co wszyscy.

- Zartujecie? - zapytał, kiedy zaproponowali mu kozę za rumaka. - Nie ma mowy!

- W takim razie - odpowiedziano mu - musisz założyć raki i wdrapać się na wierzchołek na piechotę.

- Ja mam nosić raki? - Czarus czuł jakiś przesadny strach przed użyciem tych pożytecznych przedmiotów.

- Wszyscy wspinacze je noszą.

- Nie, dzięki. Nie namówicie mnie na to.

- Jeżeli ich nie założysz, nigdy nie zdobędziesz Szklanej Góry. Jest cała ze szkła, jak wiesz. To

ryzykowne.

Czarus, jak wielu mlodych mezczyzn w tamtych czasach, mial uprzedzenie do kóz i raków. Wzdychajac, wybral to, co wydawalo mu sie mniejszym zlem.

- Niech bedzie. Osiodlajcie mi koze.

Jednak nie kazda koza potrafi zdobyc Szklana Góre. Musza to zrozumiec ci wszyscy, którzy sadza, iz wystarczy byle rogate bydlatko, by posiasc ksiezniczke. Prawda wyglada tak, iz potrzebujesz kozy, zeby zyskac rozped. I jezeli na samym koncu, kiedy bohaterski czyn zostal dokonany, zechcesz zastapic swoja koze pelnej krwi rumakiem, gdyz taki wlasnie zapragniesz miec portret, to w porzadku - kon wyglada znacznie lepiej nizli koza, umówmy sie.

I wreszcie stalo sie tak, ze Królewicz Czarus, jadac w góre na grzbiecie kozy, dotarl do drogi wiodacej ku wejsci do ogromnego zamku, którego blanki wkluwaly sie w wysokie niebo. Przed nim wznosily sie schody. O tym, ze znalazl sie na miejscu, dowiedzial sie za sprawa tekturowej tablicy umieszczonej na metalowym stojaku. Przeczytal:

PRZYBYLES DO ZACZAROWANEGO ZAMKU. SPIACA KRÓLEWNA ZNAJDUJE SIE U SZCZYTU SCHODÓW W PIERWSZEJ KOMNACIE NA PRAWO. GRATULACJE.

Czujac drzenie przenikajace go az po koniuszki palców, Ksiaze Czarus przejechal przez broniacy dostepu barbakan, przeplynal wypelniona lodowata woda fose, a potem, ociekajac wilgocia, ruszyl wzdluz kruzganków i przejsc pomiedzy wiezyczkami strzelniczymi, by wreszcie poprzez antyszambry, gdzie podrzemywala zaczarowana sluzba, dotrzec do wijacej sie dzikimi, budzacymi zawrót glowy splotami klatki schodowej, która powiodla go do przedpokoju sypialni.

Otworzyl jej drzwi i postapil dwa kroki przed siebie. Na srodku pokoju ujrzal wielkie lózko z wysokim baldachimem, a w nim, z zamknietymi oczami, lezala najpiekniejsza kobieta, jaka kiedykolwiek widzial. Byla ta, w której miniaturze sie zakochal, ale tutaj postrzegal ja jako nieporównanie bardziej cudowna od jej malowanej podobizny.

Rozdział ósmy

Zadne inne oczy nie bylyby w stanie ocenic jej pieknosci, ale smocze spojrzenie Czarusia dostrzeglo nawet wiecej. Przejrzalo na skros projekt Azziego i przeniknelo zaplanowana przezen intryge. Oczy smoka pokazaly mu, ze on, Czarus, nosi znenawidzona przez Scarlet twarz jej uwodziciela. Co zrobi dziewczyna, kiedy ujrzy to oblicze? Smocze oczy dostrzegly czajacy sie cien nieszczescia, lecz Czarus zignorowal te ostrzezenia, pochylajac sie nisko nad Królewna.

Nastąpił długo wyczekiwany moment, nad którym Azzie mozolił się od samego początku - odkąd tylko wymyślił swój plan.

Pocalunek! Rozstrzygający pocalunek!

Już wcześniej umieścił zatruty sztylet na nocnym stoliku, w pobliżu dłoni Scarlet. Dziewczyna powinna go użyć, gdy tylko otworzy oczy i pozna swego calusznika - pogardzanego uwodziciela!

Zza zasłony, gdzie się ulokował, Azzie zwrócił się do wielkiej, niewidocznej publiczności, obserwującej ostatni akt dramatu.

- Panie i panowie! Istoty Światłości i Ciemności! Druhowie demony i przeciwnicy aniołowie! Oto przedstawiam wam zakończenie najbardziej starożytnej i pouczającej historii o Księciu Czarusiu i Królownie Scarlet! Spójrzcie, oto pocalunek przebudzenia i jego rezultat!

Nawet wówczas, kiedy słowa te zamierały, Książę Czarus kontynuował swymi smoczymi oczyma przenikanie zamysłu Azziego, mówiąc o nim tak:

„Aha - monologował - stało się dla mnie oczywiste, że jestem niczym więcej, jak zwykła kupa osobnych organów, a mój tak zwany wujek Azzie (prawdziwy demon, mimo że ujmujący), składając mnie w całość, obdarzył me ciało twarzy uwodziciela Scarlet w tym jeno celu, bym stał się ofiarą Królowny, gdy ta się tylko przebudzi. Dobrze zatem, jeżeli tak ma być, niechaj się stanie! Zabij mnie, cudna Księżniczko, skoro sprawi ci to radość! Lecz chociaż jestem nikim, tworem pozszywanym z resztek, w które życie tchnął szatan, w mojej piersi bije szczerze serce i mogę powiedzieć tylko tyle, Księżniczko, byś postąpiła ze mną wedle swej woli!”

Scarlet poczuła na ustach dotknięcie męskich warg. Otworzyła oczy, ale w pierwszej chwili, z powodu bliskości, w jakiej znajdował się całujący ją młody człowiek, niczego nie zobaczyła. Jej pierwsza myślą było: „Cóż to za błogosławieństwo być obudzona!”

A potem ujrzała jego twarz. Te twarz! O, bogowie! Rozpoznała ją natychmiast - było to oblicze człowieka, który ją uwiódł i porzucił!

Jej oczy rozszerzyły się; biała ręka zatrzępotła przy piersi niczym jedna z zagubionych gołębic Hery. On! To on! Szukająca po omacku za plecami dłoń natknęła się na rekojesc leżącego na małym stoliku nocnym sztyletu. Podniosła go...

Azzie wyliczył tę część sztuki nad wyraz precyzyjnie. Wiedział, jak sztylet powinien wśliznąć się do ręki dziewczyny, powodowanej jakby jej własną wolą. Publiczność, niewidoczna, lecz obecna, pochyliłaby się wówczas do przodu. Członkowie Jury Zawodów ujrzeliby ramię Scarlet cofające się dla nabrania zamachu, a potem wbijające sztylet w plecy Czarusia - wprost w serce! Później, gdy młodzieniec wyzwałby ducha na podłodze komnaty, Azzie wystąpiłby naprzód.

„Niestety, mała księżniczko - powiedziałby (przemowa z dawna przygotowana i przeliczona) - zabiłaś jedynego człowieka, którego mogłaś być pokochać; jedynego, w którym było twoje ocalenie”.

Byłoby także miłym zakończeniem, pomyślał Azzie, gdyby Scarlet skierowała potem bron przeciwko własnej osobie, gwarantując sobie w ten sposób wieczność cierpienia w najgłębszej z piekielnych Otchłani. Azzie zastanawiał się nawet nad chwilowym przywróceniem Czarusiu życia na dostatecznie długi czas, by mógł ujrzeć śmierć Scarlet: wszystko to z zamiarem skuszenia go do wypowiedzenia bluźnierstwa tak wielkiego, by i jemu zapewniło ono wieczne potępienie. Dobry koniec dla kogoś, kto

lubi zawiązać wszystkie watki.

Azzie był tak pewny swego, że pojawił się teraz przed Scarlet, mówiąc z ciekawą ironią:

- Niebiosy znajdują środki, by zabić twoją radość z miłości, ale świat, ani jego prawo, nie jest twoim przyjacielem.

Jeszcze długo potem ludzie sprzecznali się co do tego, dlaczego plan spalił na panewce; wedle Azziego bowiem, prosta wzajemność uczuć powinna wystarczyć, by powiesić palce Scarlet w stronę sztyletu, a sztylet ku nie osłoniętym plecóm młodego Księcia. Jednak życie, z jego zdrowym przyzwyczajeniem do przypadkowości, nie godzi się na to.

Azzie nie wziął pod uwagę efektu działania oczu Scarlet. Choć nie posiadały one zdolności widzenia prawdy, jak to miało miejsce w przypadku Czarusa, to potrafiły wszakże dostrzec - kiedy rozważała pełen napięcia żywy obraz obejmujący ją sama, Księcia Czarusa oraz zatruty sztylet - trywialność i sztuczność, banalność oraz podstęp. Oczy artystki uświadomiły jej nienaturalność powstałej sytuacji: to nie był dobry motyw dla kogoś, kto całe życie malował z natury! Najpierw więc Scarlet zbuntowała się przeciwko drastyczności rozwiązania z pobudek artystycznych, a dopiero później jej delikatność i wrażliwość poszły za estetycznym osadem.

- O czym ty mówisz? - zapytała.

- Nie powinnas była go zabijać - powiedział Azzie. - Skazałaś się na nieskończoność piekielnych tortur, młoda damo.

Scarlet wybuchnęła śmiechem.

- Śmiejesz się ze mnie? Ja ci pokażę...

W tym momencie zawtórował jej inny chichot. Należał do Czarusa, stojącego obok królowej i obejmującego jej kibić ramieniem. Czarus?! Żywy?! A więc sztylet nie został wykorzystany zgodnie z jego okrutnym przeznaczeniem! Azzie cofnął się w konfuzji.

Zyli oboje, i w jakiś sposób miłość zatriumfowała nad odwiecznością klątwy Azziego. Widząc tych dwoje pięknych młodych ludzi razem, anioły i demony poczuły wzruszenie; nikt spośród widzów nie miał suchych oczu.

- To nie jest tak, jak ja zamierzałem! - krzyknął Azzie. - To w ogóle nie jest tak!

Ale było to, co było i czego dokonał; szczęśliwie zakończona, zabawna baśń o miłości i o odkupieniu, która poruszała wyobraźnię każdego, zapewniając jednocześnie, że to Dobro, a nie Zło, zapanuje w ludzkiej duszy na następne tysiące lat.

Rozdział pierwszy

Szczupłe palce Ylith stukaly w drzwi prowadzace do alchemicznego laboratorium Azziego.

- Azzie? Wiem, ze tam jestes!

Zadnej odpowiedzi. Stojacy obok niej Babriel powiedzial:

- Spróbujmy jeszcze raz.

Ylith zapukala ponownie.

- Azzie! Daj spokój! Wpusc mnie. Jestem tutaj z Babrielem. Wiemy, ze przezyles wielkie rozczarowanie, ale jestesmy twoimi przyjaciółmi i chcemy byc przy tobie.

Z wnetrza rozlegl sie zgrzytliwy, przykry dzwiek i stalowy pret sluzacy za zasuwe zostal wyciagniety. Drzwi laboratorium zbite z drewnianych bali uchylily sie na kilka cali, a w powstalej szparze pojawila sie twarz Frike'a.

- Czy twój pan jest tutaj? - zapytala Ylith.

- O, tak, panienko. Jest w srodku. Ale nie zblizalbym sie do niego; ma raczej okropny nastrój. Nie jest wykluczone, ze mógłby w tym stanie zrobic komus krzywde.

- Nonsens! - powiedzial Babriel. - Pozwól mi z nim porozmawiac!

I przepchnal sie przez drzwi.

Azzie, w purpurowej szacie i w pomaranczowej, szkockiej, welnianej czapce z pomponem naciagnietej na jedno oko rozwalal sie na niewielkim tronie, który ustawil w jednym z rogów pracowni. Wygladal iscie szatansko. Mial przekrwione oczy, a cynowe kufle oraz butelki ichoru walaly sie dookolą na podlodze. Na pobliskiej półce staly kolejne flaszki, wesole w swej pelnosci - i w zasiegu reki.

- Daj juz spokój, Azzie - zagail Babriel. - Dales znakomite przedstawienie podczas Zawodów. Nie liczy sie zwyciestwo, czy przegrana, ale to, jak gales.

- Mylisz sie calkowicie - odparl Azzie. - Wazny jest tylko wynik. To, jak gales, nie ma najmniejszego znaczenia.

Babriel wzruszyl ramionami.

- Hm, tak... Odmienne zasady, odmienne duchowe imperatywy, jak sadze. Tak czy owak, naprawde powinienes przestac pic, staruszku. Daj, pomoge ci wstac.

Babriel wyciagnal ramie w strone Azziego, który chwycil je jedna reka, a pazurami drugiej usilowal rozszarpac. Aniol zwinnie odparowal cios i pomógł Azziemu stanac na nogi.

- A tak na marginesie, staruszku - zapytal - jakie to ma naprawde znaczenie, kto wygral?

Azzie zagapil sie na niego.

- Czy ja dobrze slysze?

- Oczywiscie. Mam na mysli to, ze jako Istoty Swiatlosci i Ciemnosci musimy byc dalekowzroczni. Obaj sluzы my zyciu i smierci, madrosци oraz wszystkim innym boskim silom.

- Nie powinienem byl przegrac - upieral sie Azzie. - Ponioslem porazke, poniewaz nie mialem zadnej pomocy ze strony Sil Ciemnosci. Ty sam, Babrielu, mój przeciwnik, wspomagales mnie bardziej niz chlopcy z mojej wlasnej druzyny. To jest wlasnie główny problem ze Zlem - ono nie współpracuje nawet z soba samym!

- Nie bierz sobie tego tak mocno do serca, Azzie - rzekl Babriel. - Idziemy na obiad wydany z okazji przyznania nagrody; na pewno bedzie kupa smiechu.

- O tak, niewatpliwie - stwierdzil ponuro Azzie. - Przeklęte przyjecie! Wpadne tam za chwile. Wy idzcie sami.

- Mam kilka drobnych spraw, które powinienem wczesniej zalatwic. A jak stoja sprawy z gotycka jak-jej-tam?

- Koncza dzwonnice - odparl aniol.

Kiedy wychodzili, Babriel zwrócił sie do Ylith:

- Wiesz, sadze, ze naprawde powinniśmy sprawic Czarusiowi jakas przyjemnosc za to, jak wspaniale odegral swa role.

- Znakomity pomysl - przyznala wiedzma.

Azzie zazgrzytal zębami. Kiedy tamci wyszli juz na dobre, zawezwal Frike'a.

- Slyszales kiedys cos podobnego? - zapytal go.

- Co takiego, panie?

- Slyszales, co wychodzac stad, mówilo tych dwoje tak zwanych moich przyjaciół o cielecto rozmarzonych twarzach? Cóż za nonsens! Pragna wynagrodzic Czarusia za dobra robote!

Tak, panie - odparl Frike. - To bardzo smieszne. Ha, ha.

- Tak tez sobie zaraz pomyslam - zgodzil sie Azzie. - Do rzeczy. Mysle, ze i my mozemy wywdzieczyc sie paniczowi Czarusiowi za zmiane tragedii w farse milosna, odbierajac mu zycie, które bylo moim

podarunkiem dla niego. Nie mogę, niestety, zrobić tego osobiście. Są pewne zasady. Głupie, co prawda, ale zakazują demonom napadać na ludzkie istoty i zabijać je bez żadnego powodu.

- Och, to bardzo źle, panie - zmartwił się Frike.

- Tak, zawsze myślałem tak samo - zgodził się Azzie. - Ale wierzę, że jakos obejdziemy ten przepis.

- Och, panie, jak tego dokonamy?

- Frike - spytał Azzie - jak by ci się podobało, gdybys zamiast unizonym sługą, został dla odmiany rycerzem-ścicielą?

- Brzmi niezłe, milordzie - powiedział Frike. - Tylko jak to zrobić?

- Pozostało nam wiele różnych części ciała - odparł Azzie - a ja jestem mistrzem w trudnej sztuce rzeźbienia ludzi. Połóż no się na tamtej marmurowej płycie.

- Panie, nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

- Zamknij się. Nie kłóć się ze mną. Pamiętaj, iż równie łatwo, co posturę, mogę ci zmienić i osobowość.

- Tak, panie, nie zapomniałem o tym.

Frike ułożył się na stole laboratoryjnym.

Azzie znalazł tymczasem skalpel i podostrzył go o obcas.

- Będzie boleło? - chciał wiedzieć Frike.

- Jasne, że będzie boleło - odparł Azzie. - Anestezjologia nie została jeszcze wynaleziona.

- Co nie zostało wynalezione? Anacostam?

- Nieważne. Zagryz mocno wargi, zabieram się do ciecia.

Rozdział drugi

Książę Czarus wychylił się przez jedno z wysokich okien zaczarowanego zamku. Był w dobrym nastroju i czuł się przyjemnie rozleniwiony. Miłość to daje człowiekowi, przynajmniej na chwilę, a Czarus trwał właśnie w pierwszym jej porywie.

Podczas gdy wyglądał przez okno, w zakłopotanie wprowadził go fakt, że pewne drobne fragmenty i części

zamczyska poczely nagle znikac. Spojrzal ponownie w kierunku stajen. Polowa ich zdematerializowala sie dokladnie w momencie, kiedy patrzyl w inna strone. Przypomniat sobie, ze wkrótce beda zmuszeni opuscic to miejsce; zamkowi nie bylo pisane stac tutaj po wieczne czasy, a trzymajace go w kupie zaklecia rozprzegaly sie na wyprzódki.

- Kochanie! Zejdz na dól! Nasi goscie pragna sie z toba przywitac.

Glos Scarlet nadlecial z glebi klatki schodowej do sypialni, gdzie jak sie mogla tego spodziewac, Czarus mizdrzyl sie przed lustrem. Lubil, by jego ubrania wygladaly na nim dobrze. Wiedzial, ze to przyjecie stanowi dla Scarlet wielkie wydarzenie, poniewaz wreszcie nadszedl czas, kiedy mogla zaprosic na bal Kopciuszka i pozostalych ksiazkowych bohaterów. Czarus nie byl do konca przekonany, czy mu sie podoba, ze wszyscy jego przyjaciele sa wytworami plebejskiej wyobrazni, ale wygladalo na to, ze nie jest to zle.

Interesowal go sposób dzialania zaczarowanego zamczyska. Z miejsca, w którym stal, widzial spory odcinek drogi prowadzacej pod jego mury. Nagle ich czesc przepadla - zdematerializowaly sie kamienne chimery splywajace z blanków.

- Czarus! - nawolywala Scarlet - Gdzie jestes?

W jej glosie pojawil sie slad rozdraznienia i do mlodziencza dotarlo, ze niezbyt dobrze zna swa ukochana. Wczesniej przypuszczal, ze wieczna szczesliwosc obiecana im w bajce jest tego rodzaju, ze sama sie tworzy i reguluje; nie zas, ze to on bedzie zmuszony nad tym pracowac. Zreszta, niech tam...

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na swa postac odbita w wysokim lustrze, wyszedl z pokoju i ruszyl schodami w dól. Ponizej, w wielkiej sali balowej, muzycy w czarnych krawatach i bialych perukach rzeplili cos na wiele glosów. Goscie sterczeli pod krysztalowymi kandelabrami, popijajac szampana i skubiac kanapki. Wsród nich byla i Scarlet stojaca obok Kopciuszka, swej najwiekszej przyjaciółki. Jej pomysl stanowiło wlasnie przebudzeniowe party, bedace jednoczesnie przyjeciem zareczynowym Scarlet i Czarusia.

Pomiedzy licznie przybylymi gosciami Ksiaze rozpoznal dwóch slynnych Irlandczyków - byli to Cuchulain i Finn McCool. Rozgladajac sie dalej, spostrzegl i innych bohaterskich mezów Francji oraz Niemiec, a takze krain Wschodu - Rolanda, Zygryda i Aladyna. Ujrzano go i podniósł sie gromki aplauz. Rozlegly sie okrzyki w stylu: „Dobra robota, stary!” - slowa, które najbardziej chialoby sie uslyszec po obudzeniu Drzemiaczej Królowny. Porywajacy chór glosów zaspiewal na znana melodie: „Czarus naszym byczym przyjacielem jest”.

Tak, zadne inne chwile nie moga juz byc lepsze od tej, zdecydowal Czarus. Nawet jezeli kawalki jego zaczarowanego zamku znikaja, nawet jezeli Ksiezniczka Scarlet jeczy i narzeka duzo bardziej, niz mozna by sobie tego zyczyc - to i tak ten moment jego triumfu byl mu najslodsza rzeczka w zyciu.

Czul przenikajace go drzenie rozkoszy, kiedy nagle rozleglo sie glosne walenie do bramy. Wstrzasnelo na wskros posadami zamku, powodujac, ze wszyscy goscie zamarli w bezruchu, wpatrujac sie w odrzwia.

„Niemozliwe! - powiedzial do siebie Czarus. - Dobre wydarzenia nie anonsuja sie z taka stanowczoscia!”

- Kto tam? - zawolal glosno.

- Ktos, kto prosi o przysluge - dolecial go stlumiony glos z zewnatrz.

Czarus mial szczerza ochote poslac intruza do diabla, ale zrozumial, ze w dniu swego triumfu musi stawic czolo wszystkim, co mu los zeslal. Ksiazkowi bohaterowie zamierzajacy poslubic Drzemiacza Królowne nie moga odmowic wejscia nikomu, bez wzgledu na to, jak zle bylyby ostrzegajace go przed tym wibracje.

- Niech tam - powiedzial Czarus. - Nie mam, co prawda, czasu na wyrzadzenie duzej przyslugi, ale moze jakas mala...

I odryglowal drzwi. Mezczyzna, który wszedl przez nie, przypominal mu kogos. Ale gdzie mógł spotkac tego wysokiego rycerza, meza o ponurym spojrzeniu, widocznym spod nacisnietego gleboko na oczy helmu z brazu?

- Kim jestes? - zapytal.

Wojownik odsunal przylbice i Czarus stwierdzil, ze patrzy na brodata, wpólszalona twarz Frike'a.

- Frike! - zakrzyknal. - To ty! Ale zmieniles sie jakos... niech pomysle chwile... Mam! Byles przedtem maly i garbaty, a teraz jest z ciebie kawal dobrze umiesnionego chlopa poruszajacego sie bez najmniejszego sladu powlóczenia noga!

- Bystrzak z ciebie - Frike usmiechnal sie krwiozerczo.

- Czemu mam zawdzieczac twoja wizyte?

- Temu - odparl Frike - ze wyslal mnie tutaj mój pan, milord Azzie.

- Mam nadzieje, ze ma sie dobrze?

- Jak najlepiej. Przyslal mnie do ciebie, abym przyniósl mu cos, co tutaj wloze.

- I Frike otworzyl skórzana sakwe, która mial ze soba. Wydostal sie z niej ostry odór.

- Ocet! - zdziwil sie Czarus.

- Masz racje - potwierdzil Frike.

- A po cóz to przyniosles buklak cuchnacego octu do zaczarowanego zamku?

- Ocet jest potrzebny do tego, by zakonserwowac cos, co zabiore stad ze soba.

Czarusiowi nie podobal sie obrót, jaki wziala rozmowa, ale brnal dalej:

- A co zamierzasz stad zabrac, Frike?

- Ach, chlopcze, przyszedlem po twoja glowe!

- Moja glowe? - zakrzyknal Ksiaze. - Ale dlaczego wuj Azzie jej zada?

- Jest wsciekly na ciebie, synu, gdyz Królowna Scarlet nie zabila cie, tak jak sie tego spodziewal. W ten

sposób przegranej odbywane w wigilie końca każdego tysiąclecia Zawody pomiędzy Światłością i Ciemnością. Uznał zatem, że jest z Ciebie niesolidny oraz szczywany lis - i chce Twojej głowy.

- Ale to nie była moja wina, Frike! A nawet gdyby, to dlaczego Azzie miałby czuć do mnie urazę za to, że próbowałem ocalić życie?

- Logiczne pytanie, przyznaje - odparł Frike. - Ale co możesz na to poradzić? On jest przecież demonem, i jest zły, bardzo zły. Zadał Twojej głowie, a ja znalazłem się tutaj, by spełnić jego prośbę. Przykro mi mówić ci to w dniu Twojego wesela, ale nie mam wyboru. Pożegnaj się z Królową. Należy mieć nadzieję, że do tej pory nacieszyłeś się wystarczająco jej względami, ponieważ nie będziesz miał już po temu okazji, kiedy pozbawię Cię głowy.

- Mówisz to poważnie? - zapytał Czarus.

- Lepiej, żebyś w to uwierzył, chłopcze. Przykro mi, ale tak się dzieje w świecie baśni. Gotów?

- Czekać!

- A na cóż mam czekać?

- Nie mam miecza!

- Nie masz? - zdziwił się Frike, opuszczając ostrze swej broni. - Alez ty musisz mieć miecz. Gdzie on jest?

- Zdobę go.

- Powinieneś mieć broń cały czas przy sobie.

- Daj mi trochę czasu, to mój dzień weselny.

- Dobra, idź po miecz, ale pośpiesz się.

- Frike, ty praktycznie jesteś moim ojcem. Jak możesz mi to zrobić?

- No cóż, gram piękną, tradycyjną rolę z ludowego podania - odparł Frike. - Kalekiego sługi, który jest nawet sympatyczny, ale odznacza się fatalną skłonnością do zła. Osobście nic do Ciebie nie mam, ale musimy się pojedynkować.

- Bzdura; ale niech tam - stwierdził Czarus. - Zaczekaj tutaj, wrócę niebawem z mieczem.

- Będzie czekał - zapewnił go Frike i podszedł do bufetu, by czegoś skosztować.

Kiedy Czarusia nie było już dobre pół godziny, Scarlet ruszyła za nim. Znalazła go w czymś, co fragmentarycznie przypominało stajnię. Bohater kończył właśnie siodłać najbardziej racza koze, jaka udało mu się znaleźć.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała.

- Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć - odparł Czarus - ale odnoszę wrażenie, że powinienem jak najszybciej znaleźć się jak najdalej stąd.

- Tchórz! - powiedziała Scarlet.

- Dziwka! - nie pozostał jej dłużny.

- Przecież nasze wspólne życie dopiero się zaczęło!

- Jakie znaczenie ma nasza przyszłość, jeżeli będę zbyt martwy, by się nią cieszyć?!

- Może mógłbys go pokonać?

- Nie sadze - powiedział Czarus. - Szczerze mówiąc, nie jestem zbyt szczęśliwy, że odchodzę w ten sposób. Mam wrażenie, że potrzebna mi jest rada jakiegoś dobrego ducha.

W tym momencie buchnął płomień światła.

- Myślałem, że już nigdy o to nie poprosisz - rzekł jakiś głos.

Należał on do Hermesa Trismegistosa.

Rozdział trzeci

Nigdy dotąd półbóg nie wyglądał przystojniej. Czarna szata udrapowana artystycznie wokół jego masywnego, marmurowobiałego ciała sprawiała cudownie piękne wrażenie. Każdy kosmyk liliowoniebieskich włosów był na swoim miejscu, a nieco skosne, orientalne oczy nadawały mu niewypowiedziany urok. Czająca się w jego wzroku pustka, wynikająca z zasad rzeźby klasycznej, wedle których galki oczne postaci pozbawione były zrenic, czyniła z niego nosiciela nadprzyrodzonej wiedzy oraz mądrości. Nawet jego sandały promieniowały przemądrzałe.

- Hermesie - powiedział Czarus - to, co robi Azzie, wysyłając Frike'a po moją głowę, jest nie fair; a wszystko dlatego, że nie zostałem zamordowany przez Scarlet zgodnie z jego planem.

- Istotnie, wydaje się to nie w porządku - zgodził się Hermes. - Ale kto powiedział, że demony mają się zachowywać inaczej?

- Miał nawet rację, wedle boskiego prawa, nasylać na mnie morderce?

- Niech spojrze - powiedział Hermes.

Spomiędzy fałd swej szaty dobył gruby zwój; trzepnął nim w powietrzu i uchwycił z góry, podczas gdy rulon, opadając, rozwijał się samorzutnie. Hermes strzelił palcami; pojawiła się mała nakrapiana sowa.

- Znajdź mi stosowny ustęp przepisów dotyczący działania pomocników demonów - polecił jej półbóg.
- Zalatwione - powiedziała sowa i wleciała w powietrze, rzucając się w stronę nieskonczonej długości zwoju papieru. W końcu odnalazła poszukiwany fragment, scisnęła pergamin w dziobie i przyciągnęła go ku Hermesowi. Ten przeczytał odnosny paragraf i potrząsnął ze smutkiem głową.
- Tak, jak się tego obawiałem; korzystając z pomocy służącego, może zrobić z toba, co zechce, ponieważ to on cie stworzył. Poskładał z resztek, co prawda, ale to na jedno wychodzi.
- Ale dlaczego daje mi to władzę nad moim życiem i śmiercią?
- To wynika z zasad rządzących grą stworzenia. Mimo to nie jesteś bez szans.
- Co mogę zrobić?
- Zabij Frike'a.
- Myślisz, że mogłoby mi się to udać? Wygląda na przerazliwie mocnego, mocniejszego ode mnie.
- Tak, ale ty jesteś bohaterem. Gdybyś miał dobry miecz...
- Miałem niegdyś Excalibura, ale nasze drogi się rozeszły. Próbował mnie zabić.
- Musisz go odzyskać. Trzeba wziąć magiczny orez, by zabić w nadprzyrodzony sposób powiększonego asystenta demona.
- Sądze, iż powinienem w tym miejscu powiedzieć, że jestem przerazony.
- To dlatego, że obdarzono cie sercem tchórze. Ale nie martw się tym; nikt nie jest wolny od strachu.
- Nikt?
- Ci, co są nazbyt śmiali, giną zbyt szybko, by pozostała po nich jakakolwiek pamięć. Tchórzostwo nie jest niczym takim, czego należałoby się wstydzić, książe. To jest jak odra - przechodzi ją większość ludzi. Po prostu zignoruj strach i idź dalej. Działaj, jakby go nie było. Ta metafora nie jest zbyt jasna, ale taka jest droga twego obowiązku. Ruszaj, Czarus, i znajdź ten miecz. Powiedz swemu tchórzliwemu sercu, by przestało trzepotać jak ptak, zabierz się do zniszczenia tego lotra Frike'a i na zawsze zasłuż sobie na swą Królową. A tak przy okazji, ona jest bardzo piękna.
- Prawda? - ucieszył się Czarus. - Ale obawiam się, że dasz się na mnie.
- ładne dziewczyny zawsze takie są - stwierdził Hermes. - Dalej, ruszajmy na poszukiwanie miecza!

Hermes i Czarus nie mieli zbyt wiele czasu na poszukiwania. Najpierw bozek skierował swe kroki do Biura Mieczy Znalezionych, istniały bowiem zapisy rezonansowych wibracji każdej klingi, jaka kiedykolwiek została wykuta - wszystkie przechowywane w punkcie rejestrującym na planecie Oaqsis IV. Hermes trafił tam na trop Excalibura i pośpieszył z powrotem na Ziemię, wiedząc jego śladem Księcia Czarusia.

Idąc za bogiem, Czarus znalazł się ciupasem w jakiejś podłej tawernie. Prowadzony przez Hermesa poszedł do kuchni, a tam ujrzał swój miecz, cały poszczerbiony i pogięty, ale niewatpliwie dobrze zahartowany, będąc używanym przez podkuchennego do siekania rzodkwi i rzepy, patroszenia kapusty, skrobania marchewki i całej reszty prostych, domowych zajęć. Pomimo tych przeżyć, Excalibur poznał Czarusia, gdy ten tylko przekroczył próg kuchni.

- Panie, tutaj jestem! - powiedział głosem pekniętego garnka. - Twój własny, opuszczony miecz!

- Co ci się przytrafiło? - zapytał Czarus. - Rzeczywiście służyłeś do siekania jarzyn?

- To nie moja wina - odparł Excalibur. - Co takiego uczyniłem, że ci podli ludzie oddali mnie tutaj? Weź mnie z powrotem do swej służby, panie, a okaże się dobrym pomocnikiem.

- Chodź zatem - rzekł Czarus.

I miecz wskoczył do jego dłoni. Jeden z pacholków trudzących się w tawernie wyglądał na gotowego wszczuć klótnie, ale jeden rzut oka na nagi połysk metra stali w dłoni Księcia powstrzymał momentalnie jego zapędy.

Stało się zatem tak, że Czarus odwrócił się z mieczem w dłoni i dzięki magicznej opiece Hermesa, był w stanie migiem znaleźć się w zaczarowanym zamku.

Widząc go, Frike opuścił kanapkę z siekaną kurzą wątróbką, która podjadał, oczekując powrotu Czarusia, wytarł usta rekawem i zapytał:

- Jesteś gotów?

- Tak...

- Zatem do dzieła.

Brzeknęły miecze, walka rozpoczęła się.

Miecz Czarusia jeknal pod sila ciosu Frike'a, wygiął się niczym wierzbową wita, a potem odskoczył. Excalibur uderzył mocno w dół, w stalowy helm Frike'a, zmuszając tego ostatniego do cofnięcia się. Były garbus postąpił dwa kroki wstecz, by odzyskać równowagę, potem zrobił krok w przód, a jego miecz zamigotał w oslepiających wzorach, odparowując pchnięcie. Excalibur przyjął te ciosy z równym zapalem i nieustraszoną zrezygnacją. Goście, zgromadzeni na schodach i niewielkiej wewnętrznej galerii, śledzili walkę, wstrzymując oddechy.

A potem Frike uśmiechnął się, ponieważ poznał słaby punkt Excalibura. Był to wszak szalony miecz demona i na odpowiedni sygnał stawał się posłuszny diabelskiemu wezwaniu. Stosownie do tego Frike zaczął, aż ich ostrza skrzyżują się ponownie, i wtedy zawołał:

- Wróć do swego pana, o potężny Excaliburze! Chodź do mnie!

- Niedoczekanie twoje! - warknął Excalibur, odcinając dla podkreślenia swej niechęci prawe ramię Frike'a.

- Rozkazuje ci! - krzyknął Frike; dzięki zaszczerpiemu mu hartowi ducha znanych z szalenczej odwagi wojowników skandynawskich nawet nie poczuł bólu, kiedy przerzucił swój berdysz ponad głowę do zdrowej, a raczej pozostałej, lewej ręki - nawet chyba okrutniejszej.

- Ale nie powiedziałes tego runami! - zareplikował Excalibur, obcinając drugie ramię Frike'a, stosownie do odważnego natarcia Czarusia.

- Oszczędź mi tych zjadliwych wykrętów! - zawołał Frike, atakując teraz Księcia oboma nogami uzbrojonymi w kosy o bardzo złym usposobieniu. - Przez pamięć starożytnych Złych, wzywam cię, abys przyszedł do mnie natychmiast, bez żadnych dalszych ceregieli!

- Ależ oczywiście - zgodził się Excalibur. - Jeżeli tylko takie jest twoje życzenie, niech się spełni!

I wielki Isniacy miecz wyskoczył z piaski Czarusia, opisał w powietrzu piękną arabeskę i natarł na Frike'a ostrzem, nie zatrzymując się tak długo, aż przeszył jego zbroję i przeciął jej zawartość w pół.

- Niestety, jestem skończony! - stwierdził Frike.

Czarus odwrócił się do Księżniczki. Jego oczy rzucały błyski, a umysł miał wolny od jakichkolwiek wahań.

- Daj mi ostatni pocałunek - powiedział. - A potem pchnij sztyłem, jeżeli tylko zdoła to uradować twoje serce, i jeśli nadal jest to twoim życzeniem; bo gdy sprawy poszły na opak, żadna śmierć nie jest tak drogą, jak zadana przez ukochaną w odpowiednim momencie - stanowi wówczas najwyższą rozkosz.

- Dam ci pocałunek, i pocałunek za pocałunek, a potem jeszcze więcej pocałunków, by spłacić te pocałunki, które jeszcze się zdarza - odparła Scarlet. - Nie mów o śmierci, to już minęło. Teraz na zawsze zanurzymy się w rozkoszy!

I tak się też stało.

Rozdział szósty

Moondrench był młodym duchem, który nie przeżył jeszcze rozbudzenia seksualnego. Choć mówiono o nim „on”, zasadniczo był pod względem płci rodzaju nijakiego. Agryppa zaś stanowił okaz starszego ducha, który krecił się w pobliżu od bardzo dawna i był bardziej niż tylko nieco sterany nie-życiem. Jakkolwiek lubił niedoswiadczone, młode duchy, to kiedy zapraszał Moondrencha, powodowała nim jakaś sportowa zyłka. Bawiły go naiwne odpowiedzi młodych, dając mu coś w rodzaju poczucia wyższości.

Przybyli do północnego wejścia do Limbo o godzinie wyznaczonej na Milenijną Kolację wydana z okazji rozdania nagród. Ramie w ramie wspinali się po schodach z chmur prowadzących do budynku, w którym odbywał się bankiet. Nie jest łatwo chodzić po obłokach, nawet jeśli jest się demonem; Moondrench bardzo szybko zaczął się na to uskarżać.

- Jestem chory od chodzenia na piechotę - powiedział. - Polecmy.

- To nie jest przyjęte - odparł Agryppa.

- Przecież zawsze fruujemy! Pamiętasz te zabawy w latanie, jakiej mnie nauczyłeś?

- Proszę, nie tutaj! Mówi się, iż zasuujemy dzisiaj pieszo na cześć przodka naszej ofiary, Adama.

- Adam-szmadam - przedrzeźnił Moondrench. - Ja po prostu nie mam ochoty przepocic swojego nowego stroju.

- Przeszan narzekac - rzekł Agryppa.

Przed nimi leżało wielkie, niebiańskie pastwisko z chmur, które rozprzestrzeniało się niczym pozbawiona sensu metafora; korynckie kolumny przydawały mu klasycznego wyglądu.

Podeszli do wejścia. Demon w upudrowanej peruce i bezowych, jedwabnych ponczochach sprawdził zaproszenie Agryppy, podnosząc je do światła, by zobaczyć, czy nosi znak wodny. Rozdanie Milenijnych Nagród stanowiło tak ważne wydarzenie, że wiele nadprzyrodzonych istot próbowało dostać się do wnętrza, stosując różne kłamstwa oraz podstępny lub fałszując zaproszenia. Szczęśliwie dla Agryppy, jego doskonałe koneksje w Wysokiej Radzie Demonów, dla której wydawał swe przyjęcia i literackie wieczorki, zapewniły jemu, i jego przyjaciółom, uczestnictwo w feście.

Agryppa, liczący sobie wiele setek lat, miał skórę twardą jak podeszwa i zmarszczki głębokie niczym rottweiler. Odzwierzytny sprawdził jego zaproszenie i pozwolił iść im dalej.

W sali bankietowej podeszli do stołu tak długiego, że przeciwne jego krańce ginęły w glebi perspektywy. Agryppa i Moondrench mieli jednak miejsca w pobliżu środka. Znaleźli swoje imiona wypisane na małych tabliczkach w kształcie chorągiewek zatkniętych w grapefruitach. Zajmując miejsca,

skineli na powitanie sasiadom siedzącym po drugiej stronie stołu. Przemowy od strony prezydium zgromadzenia już się rozpoczęły. Za drugiego swego sasiada Agryppa miał anioła z Nubii; wokół jego głowy świeciła czarna jak heban aureola. Moondrench rozglądał się dość poważnie przestraszony, aż ujrzał, że wnoszone są potrawy.

- Mogę zacząć jeść? - zapytał Agryppę głośnym szeptem.

- Tak, ale nie zachowuj się jak świnia...

Moondrench warknął na niego i sięgnął po udko indyjskiej wielkości psiego skoku, po czym popił je kieliszkiem mescalu wyprodukowanego z ichoru. Na dnie kielicha znajdował się smoczy embrion stanowiący certyfikat autentyczności trunku. Moondrench chrupiał swoje udko i rozglądał się wokół. W oko wpadło mu wysokie blond stworzenie o wielkich niebieskich oczach, które siedziało po przeciwnej stronie stołu.

- Niech to cholera! - zauważył do Agryppy - Oto, co mam na myśli, mówiąc, że ktoś jest seksy!

- Zapomnij o niej - powściągnął jego zachwyty Agryppa. - To anioł i nie jest dla takich jak ty.

Było prawda, że demony zawsze pozadały anielic, którym - jak wiadomo - pochlebiali to. Sposobność, jaka było przyjęcie z okazji wręczenia nagród, stanowiła jeden z niewielu wypadków, kiedy obie strony mogły przebywać w swym towarzystwie zupełnie swobodnie.

Kelnerzy chodzili tam i z powrotem, nosząc tace pełne jadła oraz napitku. Wielu spośród nich skrywało twarze za etnicznymi maskami, bardzo popularnymi w tym sezonie w kregach niebieskich. Maski konweniowały tematycznie z roznoszonymi przez służbę smakolokami. Włoskie anioły serwowały mikroskopijne pizze, anioły wietnamskie polecały rolady z jaj i *zuepho*, a duchy arabskie nosiły na srebrnych tacach kebaby ułożone we wznoszące się wysoko piramidy. Zarcie było oczywiście znakomite, ale Moondrench bardziej gustował w mocnych trunkach.

- Podaj mi ichor - powiedział wysokiemu, błyszczącemu duchowi, siedzącemu po przekątnej od niego.

Jeśli chodzi o Agryppę, ten też dobrze wystartował. Moondrench rozważał ewentualne przyłączenie się do grupy diabłów skupionych w kacie, które piły ichor z buta sasiada i chichrały się przy tym bez umiaru. W innej części stołu gruby demon w stroju kłowna rozciął ogromny pasztet, uwalniając z jego wnętrza dwadzieścia cztery kosy, które zaczęły trzepotać ponad głowami gości.

- Dobrze się bawisz? - spytał Agryppa Moondrencha.

- Nie jest źle - odparł zagadnięty. - Ale kto to jest tam dalej, ten machający rekami?

- To Asmodeusz - wyjaśnił Agryppa. - Odpowiada dzisiaj za tę część bankietu.

- A ta czarna dama obok niego?

- To Hekate, Królowa Nocy. Jeżeli spojrze w twój kierunek, po prostu uśmiechnij się i wznies kieliszek. Oboje są bardzo ważni.

- Nie musisz mi mówić, jak mam się zachowywać. Co ten Asmodeusz robi? Wygląda, jakby coś czytał. Nie wiedziałem, że władca demonów umie czytać.

- Bardzo śmieszne - skrzywił się Agryppa. - Jeśli usłyszałby cie, mówiącego coś podobnego, przekonałbyś się dowodnie o poziomie jego poczucia humoru.

Mimo to przyjrzał się uważnie Asmodeuszowi.

- Najwyraźniej przegląda tekst swej mowy.

- Jakiej mowy? - zapytał Moondrench. - Nic nie mówiłeś o żadnych przemówieniach!

- Sądziłem, że masz mniej więcej pojęcie o tym, jak może wyglądać podobna impreza.

- Jak rodzaj wielkiego party, czyż nie?

- Nawet większego - odparł Agryppa. - To jest uroczystość, podczas której ogłoszone zostanie imię zwycięzcy Zawodów Milenijnych, co określi charakter następnego tysiąca lat.

- Czy to takie ważne? - zapytał Moondrench. - Ta kwestia ludzkiego przeznaczenia?

- Nie dla nas, na przykład - zgodził się Agryppa. - Ale dla nich to znaczy bardzo wiele.

Bezimienny Horror przeszedł dumnym krokiem, wydzielając odór głębokiego, gądziego pizma. Jego towarzysz, odmiana modelu Pickmana, zapytał:

- Słyszałeś, co się wydarzyło z występem Dobra w Zawodach?

Bezimienny Horror chrząknął, że nie.

- Cała ta przeklęta rzecz zawałowała się! To była piękna katastrofa, mówię ci - z tymi witrażami i w ogóle całym tym wszystkim. Najgorzej, oczywiście, dostało się kamiennym gargulcom rynien.

- Jak do tego doszło? - warknął Bezimienny Horror.

- Coś się stało z przyporami i lukami sklepien. Nie jestem biegły w mechanice; sądzą, że Dobro także nie! Hyr, hyr!

- Mam ochotę znowu się napić - powiedział Moondrench. - Obiecałeś mi, że będę miał mnóstwo zabawy!

- Właśnie nadchodzi kelner niosący ichor - odparł Agryppa. - Proszę, nie zachowuj się głupio.

- Będę pił tyle, ile mi się spodoba - upierał się Moondrench, sam obsługując się karafka ichoru. - I prawdopodobnie wypije bardzo dużo. Picie bez umiaru nigdy nie jest głupie.

Z tyłu sali doszło do jakiegoś poruszenia. Demon o lisiej twarzy wszedł do środka i posuwał się naprzód chwiejnym krokiem, potykając się o kelnerów, potracając jedzących i zrzucając na swej drodze talerze ze stolów. Szmer głosów narastał wraz z tym, jak przechodził:

- Cóż za grubianin!

- Czy to nie...?

- Czyzby on...?
- Wygląda jak Azzie.
- Czy on nie brał czasem udziału w Zawodach?
- Chciałbym wiedzieć, co się stało?
- Hej, Azzie! Dobrze się czujesz?
- Słyszałem, że wywinał naprawdę wielki numer!
- Sądziłem, że nadal przebywa w Otchłani.
- Wygląda na zalanego w pestkę.
- Tylko spójrzcie na niego, chłopaki!
- A czegoż można się spodziewać po pijanym demonie?
- Co on w ogóle zamierzał ze Szklaną Górą?
- Poslij ich do piekła, Azzie!
- Taaa... Do piekła. Do siarki i ognia! Niech użyją ciepła!

Moondrench stawał się irytujący. Agryppa nie uważał go już za tak atrakcyjnego, jak jeszcze przed chwilą. Przyjście rozkreciło się do pełnych obrotów. Przybywało coraz więcej jedzenia wnoszonego na srebrnych tacach przez ubrane w czarne smokingi demony. Zjawily się różne niezwykle dania, jak na przykład Chimera karmiacza piersia. Talerze miały male, odieczne znaki oraz napisy informujące biesiadnika o tym, co zawierały. Niektóre z części zastawy były nawet zdolne osobiscie się zaanonsować: „Halo! - mówiły. - Jesteśmy wysmienite!”

Dźwięk wszystkich tych prowadzonych rozmów i rozmówek stawał się ogluszający. By porozumieć się z kims siedzącym dwa lub trzy miejsca dalej, należało posłużyć się telefonem z morskiej muszli, jakie były zainstalowane przy każdym miejscu siedzącym.

Na pewnego rodzaju podium z desek, które otaczało cały stół biesiadny, prezentowano żywy obraz największych sukcesów z przeszłości - atrakcje makabry i cnoty. W miarę jak napływali coraz to nowi goście, każdego z nich musiano zaanonsować, pod względem rodu oraz dokonania, głosem majordomusa w białym futrze.

Azzie uparcie przepychał się do przodu, plynąc na grzbiecie posuwającej się fali chaosu.

Wtedy wstał Asmodeusz. Był gruby, a jego biała skóra nosiła zielonkawy odcień. Dolna warga sterczała wypukło tak daleko w przód, że bez trudu mógłby utrzymać na niej talerzyk. Ubrany był w płaszcz w kolorze butelkowej zieleni i kiedy obracał się wokół, można było dostrzec jego zakrecony, swinski ogon.

- Czolem, przyjaciele! - zagaił Asmodeusz. - Myśle, że wszyscy wiemy doskonale, w jakim celu zgromadziliśmy się tu dzisiaj?

- Zeby sie upic! - powiedzial na stronie jakis szkaradny duch.

- Jasne, ze tak, oczywiscie - zgodzil sie Asmodeusz. - Ale upijemy sie tej nocy z pewnej konkretnej przyczyny. Tym powodem jest celebrowanie wigilii Milenium oraz ogloszenie zwyciezcy Zawodów. Wiem, ze umieracie z ciekawosci, by sie dowiedziec, kto nim jest, ale na jej zaspokojenie musicie jeszcze troche poczekac. Najpierw dokonamy pewnych specjalnych prezentacji.

Azzie ruszyl do poczatku sali.

Asmodeusz poczal wywoływac imiona rozmaitych duchów, które wstawaly od stolu, klaniajac sie. Szczerzyly zeby, usmiechaly glupio, plaszczyly sie i klaniały przed rozentuzjzmowana publicznoscia. Przedstawiono takze Szkarlatna Smierc, która wstala jak inni; byla wysoka i spowita od stóp do głów w krwistoczerwona szate. Na ramieniu dzwigala kose.

- Co to za para, tam dalej? - zapytal Moondrench. - Ten wielki aniol blondyn i ciemnowlosa, mala wiedzma?

- Aniol nazywa sie Babriel - pouczyl go Agryppa - a czarownica to Ylith, dobra przyjaciółka Azziego, jednego z naszych najbardziej interesujacych i aktywnych demonów. Dopiero co tedy przechodzil.

- Slyszałem o nim - powiedzial Moondrench. - Podobno przygotowywal cos zupełnie specjalnego na tego roczne obchody, czyz nie?

- Tak mówiono. Teraz jest tam, na samym przedzie. Ciekawym, co zamierza?

Ku konsternacji biesiadników znajdujacych sie w jego poblizu, Azzie wspial sie na stół. Chwial sie. Buchal klebami dymu i wyrzucal z siebie iskry, kiedy sie tylko poruszyl. Kilka razy przymierzal sie do tego, by cos powiedziec, ale nie mógł zebrac sie w sobie. W koncu wyrwal karafke ze szponów jednego z gosci i osuszyl ja jednym haustem.

- Glupcy! Swinie! Bastardzi! - rozdarl sie Azzie. - Wy mniej niz czujace przedmioty! Zwracam sie szczególnie do tak zwanych moich braci w Ciemnosci, których byłem najlepszym przedstawicielem, w rezultacie zdradzonym przez wasza calkowita obojetnosc. Moglismy zwyciezyc, chlopcy i dziewczeta! Mielismy szanse! Moja koncepcja byla wspaniala, bezprecedensowa i - co najwazniejsze - to moglo zadzialac!

Przerwal na chwile i odkaszlnal. Ktos podal mu kolejna karafke i Azzie popil z niej. W calej sali panowala grobowa cisza.

- Ale czy otrzymalem jakas pomoc? Czy mogłem liczyc na wspólna prace? - kontynuowal. - Ani troche! Glupcy z Zaopatrzenia zachowywali sie tak, jakbym wysilal sie dla swej prywatnej chwały raczej, nizli dla wiekszej slawy i glorii nas wszystkich. Niech to szlag! Otrzymałem wiecej pomocy od tego glupka Babriela o dumnowatej twarzy, obserwatora z ramienia Sil Swiatlosci, niz od ktoregokolwiek z was! I wy macie czelnosc nazywac sie Zlem? Jestescie zywyimi dowodami, wszyscy jak jeden, banalnosc Zla. A teraz siedzicie tutaj, swietujecie i czekacie na ogloszenie wyników! Powiem wam, przyjaciele, ze w nadchodzacych wiekach Zlo obrosnie w nude i glupote. My, z Ciemnosci, stracilismy mozliwosc sterowania przeznaczeniem cywilizacji.

Azzie rozejrzal sie wokolo. Wszyscy siedzieli cicho, czekajac co powie dalej. Zrobil kilka kroków wzdluz stolu, pociagnal lyk z karafki, zachwial sie i odzyskal równowage.

- A wiec, niech was wszystkich pieklo pochlonie! Ja zamierzam skryc sie w odosobnieniu, by przemyslec sobie ostatnie zajscia i odpoczac. To cale wydarzenie bylo bardzo meczace. Chce wam wszystkim jednak powiedziec, ze to nie jest mój koniec. Na pewno nie. Wciaz znam jeszcze kilka pewnych sztuczek, moi panowie! Poczekajcie chwile, a zobaczycie, co przygotowalem dla waszej rozrywki!

Azzie rzucil podwójne zaklecie podrózy i zniknal wraz z hukiem piorunu. Zgromadzone demony i aniolowie spoglądali na siebie zaniepokojeni.

- Jak sadzisz, co on mial na mysli? - slyszalo sie kilka mrukliwych pytan.

Nie musieli dlugo czekac, by sie o tym przekonac.

Zanim zdolali wykonac jakis ruch, z zewnetrznej rzeczywistosci wynurzilo sie sunace majestatycznie, ryczace tornado, szarpiace i rozrywajace wszystko na swej drodze wiodacej poprzez sale bankietowa. Towarzyszyly mu wznoszące sie i pedzące wody. Uważnie przygotowane przemówienia starszych demonów i aniolów zostały wyrwane z ich dłoni i uleciały z wiatrem w niebiosy. Potem nastąpiła inwazja zab; tysiące, miliony tych plazów zaczęło spadać z nieba; sciany spłynęły krwią, a potem niezdrowa poswiata zamieniła się w dzień. A ponad tym wszystkim wznosił się ciężki śmiech - śmiech Azziego - tak cieszyło go, że zesłał do sali bankietowej niebezpieczeństwo po grozie, a makabre po strachu.

W sumie, sprowadzało się to do najbardziej niezapomnianego deseru.

Rozdział siódmy

Brigitka bawiła się swoim domkiem dla lalek, kiedy usłyszała za sobą szmer. Odwróciła się powoli, już z formującym się na ustach pytaniem, które nie padło jednak, rozplynawszy się w grymasie zaskoczenia, jaki pojawił się na jej buzi, kiedy dziewczynka poznała, kto za nią stoi; wysoki, porosnięty rudym włosami i ze skromnym uśmiechem na twarzy.

- Och, czesc, Azzie! Jak sie masz?

- Bardzo dobrze, Brigitte - odparł Azzie. - Ty tak ze wygladasz swietnie. I slysze dzwiek pióra skrobiącego po papierze w pokoju na górze, co oznacza, że Thomas Scrivener zachowuje się stosownie do swego nazwiska, zapisując coś z wydarzeń, jakie mu się ostatnio przytrafiły.

- Rzeczywiscie tak jest - potwierdzila Brigitte. - Ale powiedzial mi, ze nie zna jeszcze zakonczenia.

- Moze mu ono sprawic niespodzianke - rzekl Azzie. - Istotnie, zdaje mi sie nawet, ze moze ono zaskoczyc nas wszystkich. Ha, ha, ha!

- Cóż za okrutny śmiech, wujku Azzie! - powiedziała Brigitte. - W jakim celu przybyles?

- Przyniosłem ci prezent, dziecinko - odparł demon.

- Ooo, pokaz!

- Oto on. - Azzie wyjął pudełko wykonane z trudnej do zdobycia tektury i otworzywszy je, pokazał tkwiącą we wnętrzu małą gilotynkę.

- Jaka miłusia! - zachwyciła się Brigitka. - Wygląda jak idealna maszynka do ucinania głów moich lalek.

- Bo tak właśnie jest - upewnił ją Azzie. - Ale na prawdę nie powinnas tego robić, ponieważ kochasz swoje lalki i byłoby ci smutno widzieć je zdekapitowane.

- To prawda - zgodziła się Brigitte i zaczęła pochlipywać, wyprzedzając ewentualną zalobę.

- Jak mam zatem bawić się moją nową gilotynką, skoro nie mogę ścinać głów lalek? - Rozejrzała się wokół. - Może jeden z nowych szczeniaków...

- Nie, Brigitte - powiedział Azzie. - Jestem diabłem, ale nie jestem okrutny wobec zwierząt. Istnieje nawet specjalne Piekło dla tych, którzy się nad nimi znecają. Widzisz, moja droga, tych zabawek należy używać bardzo ostrożnie i bawić się nimi ze stosowną powagą.

- To nie jest zabawne, jeżeli nie mogę nikomu ścinać głowy - poskarżyła się Brigitka.

Jego plan, zdawałoby się odległy od realizacji, gdyż był tego rodzaju, że nawet Zło nazywało go wstretnym, postępował idealnie.

- Przeszan się mazac - polecił Azzie. - Zamierzam przynieść ci coś specjalnego.

- Co takiego?

- Coś, czego głowa może być odcięta!

- Och, wujku Azzie! - Mała podbiegła do niego i objęła mocno. - Kiedy dostanę to coś?

- Wkrótce, moja droga, bardzo szybko. Bądź grzeczną dziewczynką i baw się teraz. Wujek Azzie wróci niebawem z nowym prezentem.

Kompleta

Rozdział pierwszy

Książe Czarus i Królowna Scarlet zagospodarowali się w skromnym zamku położonym w pięknej okolicy nad Renem, a poleconym im przez Kopciuszka. Wszędzie dookoła rosły dzikie róże i Czarus z zapalem zamienił się w plantatora pachnących ziół. Dobre duchy unosiły się ponad głowami ich obojga, a duszki seksu zamieszkiwały ich sypialnie.

- Czarus! Móglbyś przyjść tutaj na moment? - zawołała Scarlet.

Książe spojrzał w górę z kłeczek, w takiej bowiem pozycji pracował w ogrodzie przy organicznej uprawie warzyw i jarzyn.

- Gdzie jesteś, kochanie?

- W sypialni.

- Już lece.

Wysoko, w północno-wschodnim rogu pokoju, gdy Czarus obejmował, całował i pieścił swą ukochaną, otworzyło się oko, przyglądając się im czas jakiś. Kiedy kochankowie upadli na wielkie, puchowe łoża obserwowani przez pobłażliwe duchy Dobra, świętujące na cześć Milenium, oko nadal śledziło miłośną parę, lecz gdy Czarus rozsznurował gorset królowny i zdejmował go jej przez głowę, oko zamknęło się.

Rozdział drugi

W swoim pałacu w Augsburgu Azzie wyłączył teleoko, jedną z ostatnich pozycji, jaką pobrał z Zaopatrzenia. Nagle z zewnątrz dał się słyszeć jakiś dźwięk; Azzie wyjrzał przez okno i zobaczył Bezimienny Horror idący ostrożnie ścieżką. Stworzenie miało niewyraźne ludzkie kształty, nosiło jeden szpon na temblaku, a na oku piracką opaskę.

- Cześć, Azzie! - pozdrowiła go paskuda.

- Czolem, Bezimienny Horrorze - powitał Azzie gościa. - Masz pięć sekund, by mi wyluszczyć powód, dla którego zakłócasz mi wzbudzającą grozę samotność, zanim wykopie cię twoja Bezkształtna Dupe!

Oko maskary zapłonęło w głębokim oczodole, a usta skrzywiły się w coś na kształt uśmiechu.

- Ach, milordzie Azzie, mówisz dokładnie tak, jak sadziłem, że powiesz! Od tak dawna odczuwam

pragnienie poznania cie!

- Co to wszystko znaczy, u licha? - zapytał Azzie.

- Jestem twoim ogromnym wielbicielem - wyjaśnił B. Horror. - Mam nadzieje dokonac wielkich rzeczy na swiecie. Na razie terminuje jeszcze w demonim fachu i odsługuje swoja kadencje, wykonujac robote Bezimiennego Horroru, ale wiem, ze kiedyś sie to skonczy i otrzymam status pelnego demona. Mam nadzieje byc wówczas dokladnie takim, jak ty!

- To smieszne - powiedzial Azzie, smiejac sie sardonicznie, choc czul sie mile polechtany. - Taki jak ja? Nieudacznik i przegrany?

- Jesli chodzi ci o ostatnie wydarzenia, to wcale tak nie jest - powiedziala makabra, tezejac nieznacznie, by dzieki wewnetrznemu skupieniu udoskonalic swa wypowiedz. - Moce Zla postanowily przyznac ci nagrode specjalna.

I potwór wyciagnal w strone Azziego male pudelko. Azzie otworzyl je, znajdujac w srodku stylizowana figurke demona wykonana we wstretnym oranzu; z wyjatkiem oczu, które byly zielone.

- A cóż to za kawalek smiecia? - zapytał Azzie.

- To jest Nagroda Specjalna za Najlepszy Zly Uczynek Tysiaclecia.

- Ale za co?

Skads z zanadrza swego bezkszaltnego ubioru Bezimienny Horror wyjal rulon papieru i przeczytal:

- Niniejszym przyznaje sie te nagrode w uznaniu mistrzowskiego przedstawienia podczas kolacji wydanej w czasie rozdania nagród Milenijnych, kiedy rzeczony Azzie Elbub przerwal i zakłócił zebranie rozmaitymi dopustami bozymi, wykazujac w ten sposób, ze nawet nie zdobywszy głównej nagrody, tzn. mozliwosci kierowania ludzkimi losami przez nastepnych tysiac lat, rzeczony Azzie Elbub okazal bezczelnosc i zimna krew znamionujaca prawdziwego pracownika w winnicy Zla.

Azzie przyjal nagrode i obracal ja przed oczyma w te i nazad. Byla to doprawdy bardzo przyjemna statuetka. Nie stanowila, co prawda, tej głównej, która Sily Dobra - mimo calkowitego fiaska ich katedry - zdobyly walkowerem jako kontynuacje poprzedniego ich zwyciestwa, ale bardzo dobrze bedzie sie prezentowac na kominku.

- No tak, dziekuje ci, mlody demonie - powiedzial Azzie. - To rodzaj nagrody pocieszenia, jak sadze, niemniej mile widzianej. Powiedziales, ze mnie podziwiasz, co?

- Dokladnie tak - potwierdzilo ochoczo okropienstwo i zaraz potem zaintonowalo cala litanie pochwal tak obrzydliwie przesadnych w swej przymilnosc, ze jakas inna istota na miejscu Azziego poczulaby sie zazenowana. Natomiast Azzie, który nie cierpial z powodu niskiej samooceny, tylko dla niedostatku innych kompleksów - byl zadowolony.

- Dzieki, Bezimienny Horrorze. Przyjmuje nagrode i powiedz, prosze, Komitetowi, który mi ja przyznal, iz wielce sie z niej ciesze. A teraz idz i czyn zlo!

- To jest wlasnie to, co mialem nadzieje uslyszec! - odparla paskuda i poszla sobie.

Rozdział trzeci

Bardzo miło było otrzymać nagrodę, ale to jeszcze nie był koniec całej sprawy. Wkrótce potem obok palacu w Augsburgu pojawiło się jasniejsze światło.

- Cóż znowu, u diabła? - zapytał Azzie.

Nie doceniał uroku odwiedzin, kiedy miał ochotę na naprawdę porządny zły humor. Świetlisty kształt materializował się coraz bardziej, aż przybrał wreszcie formę i treść Babiela.

- Cześć, Azzie! - krzyknął Babieli.

Był jak zwykle wysoki, jasnowłosy i wyglądał równie głupio, co przedtem.

- Taaa... Cześć, i tak dalej - powiedział Azzie bez entuzjazmu. - Przybywasz, jak sadze, by mi trochę podokuczać?

- Nie, wiesz przecież, że ja nigdy z nikogo się nie naigrawam.

- To prawda - stwierdził Azzie. - I to czyni cię tym bardziej dokuczliwym.

- Zawsze był z ciebie wielki łobuz - odparł Babieli. - Pozwól mi jednak powiedzieć, w jakim celu się tu zjawilem.

- Jeżeli musisz... Dla mnie to bez różnicy.

- Prawem nadanym mi przez Komitet Sił Światłości - czytał Babieli z rulonu wydobytego spod białych fałd swej szaty - niniejszym ofiarowuję specjalną nagrodę Mocy Dobra Azziememu Elbubowi, demonowi, lecz nie całkiem przekłętemu, za dobre usługi, jakie oddał Mocom Światła, pomagając nam zdobyć prawo do panowania nad losami rodzaju ludzkiego na następne tysiąc lat.

Co mówiąc, Babieli wyjął zza pazuchy małą podobiznę anioła, wykonanego w przyprawiających o mdłości kolorach żółci oraz bieli, ze świecącymi na niebiesko oczami i niewielkimi skrzydełkami.

- Dobra - powiedział Azzie, zadowolony wbrew samemu sobie. - W istocie to bardzo miło ze strony Sił Światłości. Bardzo miło.

Wzruszył ramionami, usiłując powiedzieć coś paskudnego, ale w tej chwili czuł się pokonany. Otrzymał nagrody od obu stron - Dobra i Zła. Miał niemal pewność, że był pierwszym, który je zdobył jednocześnie.

Po odejściu Gabriela Azzie popadł w stan zadumy. Postawił obie swe nagrody na stole i począł się im przyglądać. Były to raczej atrakcyjne przedmioty i patrzeć na nie, czuł wbrew sobie zadowolenie. Wściekłość nadal gotowała się w nim na myśl, jak blisko był zdobycia tej jednej jedynej, prawdziwej Milenijnej Nagrody, ale nie było sensu nadal tego rozpamiętywać. Teraz wszystko, czego potrzebował, sprowadzało się do krótkiego wypoczynku i - dziwne, skąd takie pomysły mogły się pojawić - miał ochotę trochę pogotować w domu, zanim schwyta swych wrogów i dostarczy ich Brigitce jako pokarm dla jej gilotyny.

Jego myśli zblądziły na osobę Ylith. Nie okazywał jej ostatnio nazbyt wiele uwagi; był zbyt zaabsorbowany wszystkim tym, co składało się na jego udział w Zawodach. Ale to już się skończyło.

Dumał. Należały mu się wakacje. Przypomnił sobie pewne miłe miejsce w Indiach, gdzie pokolenia morderców przyłączały się do wielkich pielgrzymek, trudząc się każdego roku zabijaniem tysięcy ofiar. Zabójcy zbudowali specjalny kurort na płaskim szczycie niskiej góry, gdzieś na północ od Gangesu, i Azzie był pewien, że znalazłby ponownie to miejsce. Miło by było pojechać tam z Ylith. Przypomnił sobie rozrywki, jakich zakosztował ostatnim razem - gre w kregle ludzkimi głowami, mecze krykieta rozgrywane szyjami żyraf, czy ping-pong galkami ocznymi. Tak, nadszedł czas, by dać Ylith odpocząć.

Rozdział czwarty

Właśnie wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Listonosz. Miał ze sobą ogromny wór z konskiej skóry, wysoki na jakieś trzy stopy. Przesyłka wierzyla się, a z jej wnętrza dochodziły żalosne jęki.

- Kto tam? - zapytał Azzie.

- To ja, panie - dał się słyszeć stłumiony głos Frike 'a. - Byłbym ci wdzięczny, gdybys poskładał mnie z powrotem do kupy.

- Tak też zrobię - zapewnił go Azzie - ale najpierw mam pewną robótkę do wykonania.

- Nic stąd nie widzę - poskarżył się Frike. - Zrekonstruuuj mnie, proszę.

Z góry domostwa dobiegł dźwięk czyjegos śpiewu.

- Wszystko w swoim czasie - stwierdził Azzie. - Zdaje mi się, że ja słyszę.

I pospieszył na pietra. Tak, to Ylith śpiewała melodie czarownic, stara już w czasach, kiedy budowano piramidy.

- Ylith, jesteś tam?

- Na koncu korytarza - odkrzyknęła.

Azzie ruszył biegiem do zapasowej sypialni, skąd dochodził jej głos, i wszedł do pokoju. Wiedźma pakowała niewielką walizkę; promieniała przy tym. Także coś w niej samej sprawiło wrażenie wielkiej odmiany. Coś w jej aparycji? Tak, miała kompletnie zmienioną cerę. A jej oczy w kolorze czerni nocy i cudownego okrucieństwa zdawały się niebieskie jak bławatek!

- Ylith! Co się z tobą stało? - zawołał zaniepokojony. - Czy to jakaś infekcja? Znam kilka czarów i naturalnych leków, które mogą cię uzdrowić....

- Ze mną wszystko jest w najlepszym porządku, Azzie - odparła wiedźma. - To, co widzisz, są to widome oznaki szczęścia.

- Ale co takiego się stało, że czujesz się szczęśliwa?

- Mój drogi, nie wiem, jak ci to powiedzieć...

- Więc nie mów - odparł Azzie. - Jeśli ktokolwiek zaczyna w ten sposób, to jest pewne, że będa to złe wiadomości. Na jakiś czas mam zupełnie dosyć złych wieści.

- Co tam takiego trzymasz? - zapytała Ylith.

- Och, nagrody. Jedną od Sił Światłości, a drugą od Mocy Ciemności. Sądzę, że obie strony uznały, iż powinienem je otrzymać.

- To cudownie, Azzie.

- Tak, miłe - przyznał demon. - Ale posłuchaj, Ylith. Wiele o tym myślałem. Nie traktowałem cię zbyt dobrze, ale sama wiesz najlepiej, jak to jest, kiedy poważnie traktuje się swoje obowiązki wobec Zła. Zawsze jest coś do zrobienia. Zgoda, ignorowałem cię przez długi czas. Chciałbym, abyś teraz wyjechała ze mną do bardzo miłego hotelu, jaki znam w Indiach. Indie są piękne o tej porze roku; rozerwiemy się, pofiglujemy i zabawimy się. Co ty na to?

- Och, Azzie - głos Ylith był miękki i zduszony. - Gdybyś tylko mógł wiedzieć, jak długo czekałam na te słowa!

- W porządku zatem, teraz je usłyszałaś. Dobrze, że się pakujesz, możemy wyjechać natychmiast.

- Kochany, nienawidzę tego, co muszę powiedzieć, ale kocham innego.

- Ouch! - Azzie usiadł, ale poderwał się natychmiast. - Okay, sądzę, że kimkolwiek jest, może jechać z nami. Na tym polega natura Zła, czyż nie - dzielić się, nawet jeżeli się tego nie chce?!

- Obawiam się, że to nie przejdzie - odparła Ylith. - Babil nie zgodzi się na to nie zgodzi.

- Babil?

- Tak, to jego kocham. Zaprosił mnie gdzieś daleko stąd, do pięknego, miłego miejsca pełnego zielonych pastwisk i kędzierzawych jagniat oraz jasniejących wszędzie wiosennych kwiatów.

- Brzmi to obrzydliwie! - stwierdził Azzie. - Co ty sobie myślisz, Ylith? To nie jest w naturze Zła mieć

oskome do jagniat, z wyjątkiem kotletów jagnięcych z odrobina rozmarynu i mietowa galaretką!

- Ten sam stary Azzie - powiedziała wiedźma, śmiejąc się. - Nic nie rozumiesz. Zmieniłam się, zdecydowałam się być dobrą.

- Nie, nie ty, Ylith. Potrzebujesz natychmiast egzorcyzmów!

- To nie jest tak - rzekła wiedźma. - Zakochałam się w Babrielu. Zostanę z nim i będę tą osobą, która i on będzie kochał oraz szanował.

Azzie przez spora chwilę starał się opanować. Potem zapytał:

- Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz?

- Absolutnie. Spójrz!

Odwróciła się do niego tyłem i Azzie ujrzał szczątkowe skrzydła wyrastające z jej pleców. Były bielsze od piór zalobnych golebic, bielsze nawet niż piana z najbardziej nieposkromionych mórz. Na razie drobne, ale najwyraźniej miały szczyry zamiar urosnąć. Ylith stała się Istotą Światłości.

- To obrzydliwe - powiedział Azzie. - Pozalujesz jeszcze tego, zapewniam cię.

Wychodząc, zostawił otwarte drzwi.

Rozdział piąty

Księżniczka Czarus i Królowa Scarlet! I ich szczęście! Na przekór własnej woli, Azzie był nim zafascynowany. Wrócił do swego magicznego lustra w pracowni. Było ogromne i miało lekki, niebieskawy odcień. Zatoczył się ku niemu, sciskając kurczowo w dłoni fiolkę ichoru, i stanął przed szklaną taflą. Zapatrzył się w nią i powiedział:

- Pokaż mi ich.

- Pokazać kogo? - zapytało lustro.

- Kurewsko dobrze wiesz, o kogo mi chodzi - odparł Azzie.

- Tylko jedna chwileczka, muszę dokonać połączenia - odparła szklana płyta.

Azzie czekał, wydychając z siebie dym. Obok niego, w skórzanej worku, kreciły się nerwowo szczątki Frike'a, ale Azzie ignorował je. Porwany przez swą demoniczną obsesję, natchniony bezbożnym dynamizmem obserwował, jak lustro metnieje, a potem tafle z wolna się przejasnia.

Pojawil sie obraz Czarusia i Scarlet. Jacy byli piekni! W swych jedwabnych strojach zdawali sie stanowic symbol wszystkiego, co dobre na tym swiecie. Azzie mógł ich takze slyszec: miekkie, modulowane glosy, podczas krótkiej rozmówki.

- Czyyy jessstes mój, szaaalonnnny chlopcze? - to mówila Scarlet.

- Twój na zawsze - odparl Czarus. - Wiem, ze zwykle w tych sprawach nie przewiduje sie takiego rozwiazania. Wiem takze, ze przyszle wieki zgodnym glosem stwierdza, iz ja cie oszukiwalem, a ty bylas sekutnica. Ale czyz mamy dbac o te cyniczne komentarze? Jesteśmy mlodzi, zakochani, i w przeciwnieństwie do powszechnych oczekiwan, bedziemy dazyc ta droga przed siebie dlugi czas i kochac sie wiernie bez miary.

- Jak miło to przedstawiles - powiedziala Scarlet, przeginajac sie w jego ramionach.

- Szczęśliwi, co? - warknal Azzie. - Zobaczymy jeszcze! Musi byc cos, co mógłbym zrobic w tej sprawie!

- Jest, panie! - powiedzial worek z konskiej skóry.

- Co takiego? - zainteresowal sie Azzie.

- Och, panie, poswiec chwile na zlozenie mnie w calego Frike'a, a bede szczęśliwy, mogac ci to powiedziec.

- To powinno byc lepsze niz dobre - mruknal Azzie, rozwiazujac worek. - Lepsze od chyzosci spadajacej stali!

Otworzył pokrowiec i wydobył z niego poszatkwane czesci Frike'a. Pracujac szybko, polaczyl je ze soba, umieszczajac co prawda w swym pijackim pospiechu ramiona nieco nieprecyzyjnie, wykonujac jednak w sumie budzaca zaufanie robote.

- Dzieki, panie! - powiedzial Frike.

- Gadaj teraz!

- Och, panie, ciagle jeszcze mozesz wziac srogi rewanz na tej nikczemnej parze pieknych i szczęśliwych mlodych ludzi. Pamietaj o swojej karcie o nieograniczonym kredycie! Nadal ja masz!

- Racja, Frike! Wkrótce zaplaca za swoja radoche!

Wyjal karte kredytowa z kieszonki kamizelki i postukal nia dwa razy w najblizsza wstretna powierzchownosc, jaka byla pod reka. Po bardzo krótkiej przerwie zjawil sie przed nim urzednik z Zaopatrzenia.

- Taaa... Co sobie wieszujesz?

- Mam specjalne zyczenie - powiedzial Azzie.

I usmiechnal sie skromnie; byl to wyraz twarzy, czesto przezen cwiczony, którego jednak nigdy wczesniej nie uzyl w praktyce, pozostawiajac go sobie na taka wlasnie chwile, jak obecna. Niech diabli

porwa zasady!

- Czego sobie zyczysz?

- Po pierwsze - ładnej katastrofy. Chce, by zamek Księcia Czarusia i jego małżonki Scarlet zawalił się im na głowy. Dalej - potrzebuje specjalnej Otchłani, by wrzucić ich tam na kilka tysięcy lat i udowodnić nieborakom, że nie należy chępnie się swym szczęściem przed demonem.

- Jaki rodzaj katastrofy masz na myśli? - zapytał urzędnik, sięgając po ołówek i formularz zamówieniowy.

- Wystarczy małe trzęsienie ziemi.

- Zrobi się - zgodził się urzędnik. - Potem pokaze ci nasz zbiór specjalnych Otchłani.

Zaopatrzeniowiec otworzył rejestr in folio; nagle podniósł wzrok do góry. Gdzieś rozdzwonił się wielki dzwon. Także Azzie to usłyszał. Faktycznie, w wiosce w pobliżu Chateau także zadzwieczyły dzwony.

- Co się dzieje? - zapytał Azzie. - Przecież dzisiaj nie jest niedziela?

Frike pospieszył do okna.

- Nie, panie. To zaczyna się świętowanie z okazji nadejścia nowego Milenium. Ludzie tanczą na ulicach. Och, panie, cóż za niestosowne zabawy rozgrywają się przed moimi oczyma!

- Do diabła z nimi! - powiedział Azzie, po czym zwrócił się do urzędnika - Na co czekasz? Chce trzęsienia ziemi!

Zaopatrzeniowiec uśmiechnął się pokornie i z trzaskiem zamknął swą wielką księgę rejestrów.

- Przykro mi, twoje polecenie zostało anulowane.

- Co ty wygadujesz? Zrobisz mi z twoich własnych flaków naszyjnik, jeżeli nie uczynisz tego, co powiedziałem!

- Nie uda ci się - odparł urzędnik. - Dzwony wybiły samo południe. Zawody Milenijne skończyły się! Wielka Rada Sił Ciemności unieważniła twoją kartę o nieograniczonym kredycie.

- Nie, nie mogą mi tego zrobić! Jeszcze nie teraz! Muszę uczynić tę ostatnią rzecz!

Podniósł kartę, machając nią szalenczo w powietrzu. Zaopatrzeniowiec uśmiechnął się z kwaśną satysfakcją i uczynił znak. Karta kredytowa stopiła się w dłoni Azziego.

Azzie wydal z siebie krzyk wściekłości; wydawał się szalony z powodu doznanego zawodu. Frike wycofał się profilaktycznie i skulił wewnątrz bogato rzeźbionej szafy. Azzie tupnął nogą. Podłoga otworzyła się pod nim. Pograżał się w niej, wciąż niżej i niżej, w głąb odległego, ciemnego, zimnego podziemnego tunelu, gdzie mógł poblakac się chwilę i odzyskać zimną krew. Frike pospieszył do otworu i zająrzył don. Widział Azziego zagłębiającego się coraz bardziej i bardziej w ciemnych czeluściach - i nadal toczącego dym z pyska.

A na zewnątrz, od wioski do wioski, przez cały kraj, niósł się radosny dzwonek dzwonów

zapowiadających nowe Milenium.

Spis treści

Jutrznia

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piaty

Rozdział szósty

Lauda

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piaty

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Prima](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piaty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiaty](#)

[Tercja](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piaty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Seksta](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piaty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiaty](#)

[Rozdział dziesiaty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Nona](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piaty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Nieszpory](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piaty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Kompleta](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piaty](#)